

Jeff Grubb

StarCraft:

Krucjata Liberty'ego

StarCraft: Liberty's Crusade

Przełożył: Wiktor Jaranowski

Wydanie oryginalne: 2001

Wydanie polskie: 2001

TMN

Powieść ta jest zadedykowana fanom *StarCrafta*, a w szczególności moim współpracownikom, którzy spędzili niezliczone godziny, doskonaląc atak mrowiem zerglingów.

Podziękowania

Powieść ta jest umieszczona w sercu wszechświata gry *StarCraft*, który nie powstałby bez ciężkiej pracy utalentowanych projektantów, artystów i programistów Blizzard Entertainment.

Antebellum

Mężczyzna w postrzępionym płaszczu stoi w ciemnym pokoju, skąpany w świetle. Nie, to nie tak: postać nie jest oświetlona, jest raczej schwytna przez światło, jasność załamuje się i zakrzywia na samej sylwetce i na holograficznej replice pierwowzoru. Człowiek przemawia do słabo oświetlonego pokoju, nieświadomy i obojętny czy jest ktoś poza granicami jego blasku. Widmowy dym, równie świecący, wije się z papierosa w jego lewej dłoni.

Postać ta to skrawek przeszłości występujący przed niewidoczną publicznością, zamrożony w świetle kawałek czegoś minionego.

– Znacie mnie – mówi lśniąca postać, przerywając, żeby zaciągnąć się swoim gwoździem do trumny. – Widzieliście moją twarz w Universe News Network i czytaliście moje relacje. Niektóre z nich nawet sam napisałem. Co do innych, powiedzmy, że miałem zdolnych redaktorów. – Gwiazdzista postać, znużona i niemal rozbawiona, wzrusza ramionami.

Nagranie pokazuje go niczym małą marionetkę, ale wygląda na to, że w rzeczywistości ma normalną budowę ciała, jeśli nie jest zbyt szczupły. Jego ramiona są lekko pochylone z powodu wyczerpania lub wieku. Jego szaroblond włosy naznaczone są jaśniejszymi pasemkami siwizny i spięte w kucyk, żeby ukryć wyraźny łysy placek. Jego twarz jest zmęczona, odrobinę zbyt wyrazista, żeby jej właściciel mógł prezentować tradycyjne wiadomości, ale tym niemniej rozpoznawalna. Jest to twarz sławna, twarz komfortowa, twarz dobrze znana w ludzkiej przestrzeni, nawet w tych rozdartych wojną dniach.

Ale to jego oczy są tym, co zwraca uwagę. Głęboko osadzone i wydające się docierać spojrzeniem poza nagranie. To jego oczy tworzą iluzję, że ta lśniąca postać rzeczywiście może zobaczyć publiczność i przejrzyć ją na wylot. To zawsze był jego talent, doskonały kontakt z publicznością odległą nawet o lata świetlne.

Postać ponownie zaciąga się dymem z rakotwórczego papierosa, a jej głowa otoczona jest aureolą dymu.

– Mogliście słyszeć oficjalne sprawozdania o upadku Konfederacji Człowieka i o chwalebnym powstaniu imperium nazwanego Terrańskim Dominium. Mogliście również słyszeć opowieści o przybyciu obcych – hord Zergów i nieludzkich, eterycznych Protossów. O walkach w konstelacji Sary i o upadku samego Tarsonis. Słyszeliście doniesienia. Jak już

powiedziałem, niektóre z nich były sygnowane moim nazwiskiem. Część z nich była nawet prawdziwa.

W ciemnościach, poza plamą światła, ktoś niewidoczny porusza się niespokojnie. Holograficzny projektor przepuszcza jedynie zbłąkane promyki światła, zbuntowane protony, ale widownia wciąż pozostaje zagadką. Gdzieś tam, za skrytą w ciemnościach publicznością, słysząc odgłos spadających kropeł wody.

– Czytaliście moje słowa i wierzyliście w nie. Jestem tutaj, żeby powiedzieć wam, że te przekazy, większość z nich, to doskonałe fałszerstwa, dostarczone przez różne siły, aby były wygodne i lekkostrawne. Kłamstwa były rozpowszechniane, zarówno małe, jak i duże; kłamstwa, które są częściowo odpowiedzialne za nasze dzisiejsze położenie. Położenie, które nie ulegnie poprawie, jeśli nie zaczniemy mówić o tym, co się naprawdę stało. Co stało się na Chau Sarze, Mar Sarze, Antidze Prime i na Tarsonis. Co stało się mnie, moim przyjaciołom, a także moim wrogom.

Postać przerywa, powiększając się do swego normalnego rozmiaru. Rozgląda się, jej niewidzące oczy omiatają zaciemnione pomieszczenie. Dociera spojrzeniem do samego dna duszy widzów.

– Nazywam się Michael Daniel Liberty. Jestem reporterem. Nazwijcie to moim najważniejszym, może ostatnim reportażem. Nazwijcie to moim manifestem. Nazwijcie to, jak zechcecie. Jestem tu tylko po to, żeby powiedzieć wam, co się naprawdę stało. Jestem tu po to, żeby sprostować nieścisłości. Jestem tu, żeby powiedzieć wam prawdę.

Rozdział 1

Werbunek

Przed wojną było inaczej. Do diabła, wtedy po prostu żyliśmy dniem powszednim, pracowaliśmy, pobieraliśmy pensje i kopaliśmy dolki pod naszymi bliźnimi. Nie mieliśmy pojęcia, jak bardzo złe czasy nas czekają. Byliśmy syci i szczęśliwi, jak muchy siedzące na padlinie. Pojawiająca się sporadycznie przemoc – rebelie, rewolucje i zbuntowane kolonie – wystarczała, żeby zapewnić zajęcie wojsku, ale, w rzeczywistości, nie mogła zagrozić stylowi życia, do jakiego przywykliśmy. Patrząc z perspektywy czasu, byliśmy utuczni i zbyt pewni siebie.

A gdyby doszło do prawdziwej wojny? Cóż, byłoby to zmartwienie wojska. Problem marines. Nie nasz.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Miasto rozpościerało się pod nogami Mike’a niczym przewrócone wiadro nefrytowych karaluchów. Z oszołamiającej wysokości biura Handy’ego Andersona można było niemal zobaczyć horyzont rozpościerający się między najwyższymi budynkami. Miasto sięgało aż tak daleko, tworząc wystrzępione, stożkowate rozdarcie wzdłuż krawędzi świata.

Miasto Tarsonis na planecie Tarsonis. Najważniejsze miasto na najważniejszej planecie Konfederacji Człowieka. Miasto tak wspaniałe, że otrzymało podwójną nazwę. Miasto tak wielkie, że jego przedmieścia miały większą populację niż niektóre planety. Lśniące centrum cywilizacji, strażnik wspomnień o Ziemi, teraz zredukowanej do historycznego mitu i wcześniejszych pokoleń.

Śpiący smok. A Mike Liberty nie mógł się powstrzymać przed skruceniem mu ogona.

– Odejdź od krawędzi, Mickey – powiedział Anderson. Naczelnny redaktor był pewnie usadowiony przy biurku, biurku tak odległym od panoramicznego widoku jak to tylko możliwe.

Michael Liberty lubił sądzić, że w głosie szefa słychać było nutę troski.

– Nie obawiaj się – odrzekł Mike. – Nie zamierzam skoczyć. – Powstrzymał uśmiech.

Mike i reszta ludzi z pokoju redakcyjnego wiedzieli, że naczelny ma lęk przestrzeni, ale nie mogli oprzeć się stratosferycznemu widokowi z jego biura. Więc przy rzadkich okazjach, gdy Liberty był wzywany do pokoju szefa, zawsze stawał blisko okna. Większość czasu on, inne woły robocze i pismaki pracowali dużo niżej na czwartym piętrze lub w kabinach w piwnicy budynku.

– To nie skakanie mnie martwi – stwierdził Anderson. – Z tym mogę sobie poradzić. Twój skok rozwiązałby wiele moich problemów i zapewniłby artykuł przewodni do jutrzejszego wydania. Obawiam się raczej, że zdejmie cię jakiś snajper z innego budynku.

Liberty odwrócił się przodem do szefa.

– Krwawe plamy są trudne do wyprania?

– Częściowo – Anderson uśmiechnął się. – Oprócz tego cholernie trudno wstawić szybę.

Liberty po raz ostatni rzucił okiem na ruch uliczny pełnący daleko w dół i wrócił do zbyt wyścielanego fotela stojącego naprzeciwko biurka. Anderson próbował być nonszalancki, ale Mike spostrzegł, że redaktor odetchnął z ulgą, kiedy Mike odsunął się od okna.

Michael usadowił się w jednym z foteli Andersona. Były zaprojektowane na podobieństwo zwykłych mebli, ale obite tak, że zapadały się o cal lub dwa, gdy ktoś siadał. Sprawiało to, że łysiejący redaktor naczelny ze swoimi komicznie przerośniętymi brwiami wyglądał bardziej imponująco. Mike znał tę sztuczkę, więc nie był pod wrażeniem. Położył nogi na biurku.

– Więc w czym problem? – zapytał reporter.

– Cygaro, Mickey? – Anderson wskazał dłonią na tekową cygarnicę.

Mike nienawidził nazywania go Mickey. Dotknął pustej kieszeni w koszuli, gdzie zwykle miał upchaną paczkę papierosów.

– Jestem na odwyku. Staram się rzucić.

– Są spoza embarga w Jaandaran – kusząco powiedział Anderson. – Skręcane na udach dziewczic o cynamonowej skórze.

Mike uniósł obie ręce do góry i szeroko się uśmiechnął. Wszyscy wiedzieli, że Anderson był zbyt skąpy, aby dostać coś poza zwykłymi *el ropos* wyprodukowanymi w jakiejś zakazanej piwnicy. Ale uśmiech miał mu dodać otuchy.

– W czym problem? – powtórzył Mike.

– Tym razem naprawdę przesadziłeś – westchnął Anderson. – Twój cykl artykułów o nadużyciach przy budowie nowego ratusza.

– Dobra robota. Powinny wytrącić z równowagi parę osób.

– Już wytrąciły – odparł Anderson, schylając głowę tak, że podbródek dotknął klatki piersiowej. Było to znane jako pozycja posłańca-ze-złymi-wiadomościami. Anderson nauczył się tego na jakimś kursie zarządzania, ale nadawało mu to wygląd tokującego gołębia.

Gównno, pomyślał Mike, zatrzyma resztę artykułów.

– Nie martw się, dokończymy serię – powiedział Anderson, jak gdyby czytając w jego myślach. – Jest solidnie zrobiona, dobrze udokumentowana i, co najważniejsze, prawdziwa. Ale musisz wiedzieć, że bardzo zaniepokoiłeś kilka osób.

Mike przebiegł myślami przez reportaże. Cykl ten był jednym z bardziej udanych, klasyka zawierająca płótkę, która została złapana w nieodpowiednim miejscu (parku miejskim) z nieodpowiednią rzeczą (umiarkowanie radioaktywnymi odpadami z budowy ratusza). Wspomniana płotka była więcej niż chętna, żeby wymienić imię człowieka, który wysłał ją na tę późnonocną eskapadę. Tamten z kolei zechciał opowiedzieć Mike’owi o kilku interesujących sprawach związanych z nowym ratuszem, i tak dalej, dopóki Mike, zamiast pojedynczej historii, miał cały cykl artykułów o ogromnej sieci łapówkarstwa i korupcji, który został wprost pochłonięty przez publiczność Universe Network News.

Mike pomyślał o ludziach z dzielnicy, małych zbirach i członkach rady miejskiej Tarsonis, których obsmarował w druku, wykluczając ich kolejno jako podejrzanych. Każda z tych dostojnych osób mogła chcieć dokonać na niego zamachu, ale taka groźba nie wystarczy, by zdenerwować Handy’ego Andersona.

Redaktor naczelny zauważył puste spojrzenie Mike’a i dodał – *Zalazłeś za skórę kilku czcigodnym osobom.*

Lewa brew Mike’a uniosła się. Anderson mówił o jednej z rządzących rodzin, władzy stojącej za Konfederacją przez większą część istnienia tej ostatniej, od wczesnych dni, gdy pierwsze statki kolonijne (więzienia, do diabła) wylądowały lub rozbiły się na kilku planetach w sektorze. Gdzieś w swoich reportażach pociągnął jakiś sznurek lub dotarł do kogoś zbliżonego do jednej z rodzin, tak że zdenerwowało to starych czcigodnych.

Mike postanowił wrócić do swoich zapisków i sprawdzić, jakie powiązania mógł ujawnić. Być może kuzyn po kądzieli jednej ze starych rodzin lub czarna owca, lub może nawet przekupstwo. Bóg jeden wiedział, jakie rzeczy zakulisowe wyprawiały stare rodziny od roku zero. Gdyby tylko mógł nakryć jedną z nich...

Mike zastanawiał się, czy ślini się zauważalnie na samą myśl.

Tymczasem Handy Anderson wstał ze swojego siedziska, przeszedł wzdłuż biurka i przysiadł na krawędzi najbliższej Mike’a. (Mike zdał sobie sprawę, że było to kolejne posunięcie żywcem wzięte z wykładów o zarządzaniu. Do diabła, Anderson polecił mu kiedyś napisać sprawozdanie z tych wykładów.)

– Mike, chcę, żebyś zrozumiał, że znajdujesz się na grząskim gruncie.

O Boże, nazwał mnie Mike, pomyślał Liberty. Zaraz będzie się żałośnie wpatrywał w okno, udając zamyślonego, zmagającego się z decyzją wielkiej wagi.

– Jestem przyzwyczajony do niebezpieczeństwa, szefie – powiedział na głos.

– Wiem, wiem. Martwię się tylko o tych wokół ciebie. Twoje kontakty. Twoich przyjaciół. Twoich współpracowników...

– Nie wspominając o moich przełożonych.

- ... wszystkich, którzy będą zrozpaczeni, jeśli stanie ci się coś strasznego.
- Szczególnie, jeśli staliby w pobliżu, gdyby coś się wydarzyło – dodał reporter.

Anderson wzruszył ramionami i spojrzał żałośnie przez panoramiczne okno. Mike zdał sobie sprawę, że czegokolwiek bał się Anderson, było to gorsze niż jego lęk wysokości. A jeśli biurowa plotka głosiła prawdę (a głosiła), to był to człowiek, który w zamkniętym pokoju w podziemiach trzymał błoto, którym można byłoby obrzucić większość znakomitości i ważnych mieszkańców miasta.

Cisza przeciągnęła się aż do minuty. W końcu Mike poddał się. Odchrząknął grzecznie i powiedział – Więc masz jakiś pomysł, jak poradzić sobie z tym grząskim gruntem?

Handy Anderson powoli przytaknął.

- Chcę wydrukować resztę. To dobra robota.
- Ale nie chcesz mnie widzieć w bezpośrednim sąsiedztwie, gdy następna część trafi na ulicę.

– Myślę o twoim bezpieczeństwie, Mickey, to...

– Grząski grunt – dokończył Mike. – Słyszałem. Będzie niebezpiecznie. Może nadszedł czas na dłuższe wakacje? Może chatka w górach?

– Myślałem raczej o specjalnym zadaniu.

Oczywiście, pomyślał Mike. W ten sposób nie będę miał sposobności dowiedzieć się, na czyj odcisk niechybnie nastąpiłem. A zamieszani dostaną czas na zatarcie śladów.

– Inna część imperium Universe News Network? – Uśmiechnięty szeroko Mike, mówiąc to, zastanawiał się w tym samym czasie, na jakiej zapomnianej przez Boga kolonii będzie przygotowywał reportaże rolnicze.

– Raczej coś z reportażu wędrownego – drażnił się Anderson.

– Jak bardzo wędrownego? – Uśmiech Mike'a nagle stał się niewyraźny. – Będę potrzebował kawałków spoza planety?

– Lepsze to niż dostanie kulki na planecie. Przepraszam, to kiepski żart. Odpowiedź brzmi tak – zdecydowanie myślę o przestrzeni.

– No dalej, powiedz. W jakiej mysiej dziurze chcesz mnie ukryć?

– Myślałem o konfederacyjnych Marines. Oczywiście jako korespondent wojskowy.

– Co?

– To tylko czasowy przydział – kontynuował redaktor.

– *Oszalałeś?*

– Coś w rodzaju „nasi waleczni żołnierze w kosmosie”, walczący z różnymi siłami rebelii, które zagrażają naszej wspaniałej Konfederacji. Są pogłoski, że Arcturus Mengsk zbiera posiłki w Zewnętrznych Światach. W każdej chwili może się zrobić gorąco.

– Marines – prychnął Mike. – Marines Konfederacji to największa zbieranina oprychów w znanym wszechświecie, poza radą miejską Tarsonis.

– Mike, proszę. Każdy ma w sobie trochę przestępczej krwi. Do diabła, wszystkie planety

Konfederacji zostały zaludnione przez wygnanych skazańców.

– Tak, ale większość ludzi woli sądzić, że pozbyliśmy się tego piętna. Dla wojska jest to natomiast podstawowa zasada rekrutacji. Do diabła, czy wiesz, jak wielu z nich przeszło pranie mózgu?

– Resocjalizację neuronową – poprawił Anderson. – Jak wiem, obecnie nie więcej niż pięćdziesiąt procent na oddział. Gdzieniegdzie nawet mniej. A resocjalizacja jest coraz częściej przeprowadzana metodami nieinwazyjnymi. Pewnie nawet nie zauważysz.

– Tak, i pompują w nich tyle stimpaków, że na rozkaz zabiliby własnych dziadków.

– Właśnie takim błędnym przekonaniom może zapobiec twoja praca – powiedział Anderson, unosząc obie brwi w wyćwiczonej szczerości.

– Posłuchaj, większość spotkanych przeze mnie polityków to zwykłe świry. Marines to świry i *tamci* zaczęli mieszać w ich głowach. Nie. Marines to żadne rozwiązanie.

– To nada się na dobre historie. Pewnie znajdziesz kilka nowych kontaktów.

– Nie.

– Reporterzy z doświadczeniem wojskowym mają dodatkowe korzyści – powiedział redaktor naczelny. – Dostaniesz zieloną przywieszkę do swoich akt, a to ma znaczenie dla większości czcigodnych rodzin Tarsonis. Może nawet wpłynąć na przebaczenie.

– Przykro mi, ale nie jestem zainteresowany.

– Dam ci kolumnę na własność.

Przerwa. W końcu Mike przemówił.

– Jak dużą?

– Całą kolumnę druku lub pięć minut programu. Oczywiście z twoim podpisem.

– Regularnie?

– Ty mnie, ja tobie.

Następna przerwa.

– W związku z tym podwyżka?

Anderson podał wysokość i Mike pokiwał głową.

– Robi wrażenie – stwierdził.

– To nie drobniaki – zgodził się redaktor naczelny.

– Jestem trochę za stary na skakanie po planetach.

– Nie ma prawdziwego niebezpieczeństwa, a jeśli coś się zdarzy, to jest dodatek bojowy.

Automatycznie.

– Pięćdziesiąt procent po praniu mózgu? – zapytał Mike.

– Jeśli tyle.

Kolejna przerwa. Potem Mike powiedział – No cóż, to brzmi jak wyzwanie.

– A ty jesteś człowiekiem wprost stworzonym do wyzwań.

– I to nie może być gorsze niż pisanie reportażu o radzie miejskiej Tarsonis. – Mike zadumał się, czując, że ześlizguje się po pochyłym zboczach w kierunku zgody.

– O tym samym myślałem – zgodził się jego redaktor.

– I to pomogłoby firmie... No – Mike pomyślał, że balansuje na krawędzi, gotów spaść w przepaść.

– Będziesz naszym światełkiem w ciemnościach – powiedział Anderson. – Dobrze opłacanym światełkiem. Pomachaj trochę flagą, zdobądź jakieś osobiste opowieści, przeleć się krążownikiem, pograj w karty. Nie przejmuj się nami w biurze.

– Ciepła posadka?

– Najcieplejsza. Wiesz, pociągnąłem kilka sznurków. Sam mam zieloną przywieszkę. Góra trzy miesiące pracy. Całe życie nagród.

Nastąpiła ostateczna przerwa, przepaść tak głęboka niczym betonowy kanion ziejący za oknem.

– Zgoda – powiedział Mike. – Zrobię to.

– Wspaniale – Anderson sięgnął do cygarnicy, lecz w połowie drogi powstrzymał się i zamiast tego, podał rękę Mike'owi.

– Nie pożałujesz.

Dlaczego mam wrażenie, że już żałuję? – zapytał się w myślach Michael Liberty, gdy mięsista, spocona dłoń redaktora ścisnęła jego własną.

Rozdział 2

Ciepła posadka

Służba w wojsku dla tych, którzy nie mieli nieszczęścia odbyć jej osobiście, składa się z długich okresów nudy przerywanych szatkującymi umysł zagrożeniami życia i zdrowia psychicznego. Na podstawie tego, co wydobylem ze starych nagrań, można stwierdzić, że zawsze tak było. Najlepsi żołnierze to tacy, którzy mogą natychmiast się obudzić, działać odruchowo i celować precyzyjnie.

Niestety wywiad wojskowy kierujący tymi żołnierzami nie ma żadnej z tych cech.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

– Panie Liberty – powiedziała energiczna morderczyni przy władze. – Kapitan chciałby zamienić z panem słowo.

Michael Liberty, reporter UNN przydzielony do elitarnego szwadronu Alpha Marines Konfederacji, odemknął jedno oko i zobaczył ją, uśmiechniętą, stojącą przy jego koi. Całnocna gra w karty dopiero co się skończyła i był pewien, że młoda porucznik marynarki poczekała, aż się położył, zanim wpakowała się do jego kwatery.

– Czy pułkownik Duke oczekuje mnie natychmiast? – westchnął głęboko reporter.

– Nie, sir – odrzekła morderczyni, potrząsając dla efektu głową. – Powiedział, że nie musi się pan śpieszyć.

– Jasne – powiedział Mike, przerzucając nogi przez krawędź koi i pozbywając się resztek snu ze swojej głowy. Dla pułkownika Duke’a „bez pośpiechu” zwykle znaczyło „w ciągu następnych dziesięciu minut, do cholery”. Mike sięgnął po papierosy i dopiero, gdy ręka zagłębiła się w pustą kieszeń koszuli, przypomniał sobie, że rzucił palenie.

– Tak czy owak, paskudny nałóg – wymamrotał do siebie. – Muszę wziąć prysznic. Kawa też by się przydała – powiedział do porucznik marynarki.

Porucznik Emily Jameson Swallow, osobista asystentka Liberty’ego, współpracowniczka, opiekunka i szpieg z ramienia swoich wojskowych zwierzchników, poczekała tylko, żeby się przekonać, czy poważnie zabiera się do wstawania, a potem pomknęła do mesy. Mike

ziewnął, policzył, że przespał całe pięć minut, rozebrał się i poczłapał do sonicznego czyściciela.

Był to oczywiście model wojskowy. Znaczyło to, że w budowie przypominał wysokociśnieniowe dysze używane w rzeźniach do zdzierania mięsa z kości. Mike przyzwyczał się do tego przez trzy ostatnie miesiące.

Przez ostatnie trzy miesiące Michael Liberty przyzwyczał się do wielu rzeczy.

Handy Anderson nie skłamał. Posadka była elegancka, przynajmniej na warunki wojskowe. *Norad II* był statkiem flagowym, jednym z klasy *Behemoth*, sama neostal i laserowe wieżyczki, jak przystało na najbardziej legendarną z jednostek wojskowych Konfederacji, szwadron Alpha.

Podstawowym zadaniem szwadronu Alpha było ściganie rebeliantów, a szczególnie Synów Korhala, rewolucyjnej bandy pod dowództwem krwiożerczego Arcturusa Mengska. Niestety Synowie Korhala nigdy nie byli tam, gdzie się ich spodziewano, i *Norad II* wraz z wyjątkową załogą spędzał wiele czasu na prezentowaniu flagi (umieszczonego na przekątnej niebieskiego krzyża pośród białych gwiazd na czerwonym tle, wspomnienia po legendzie o Dawnej Ziemi) i na kontrolowaniu kolonialnych rządów.

W konsekwencji największym wyzwaniem Mike'a było do tej pory radzenie sobie z nudą i znajdowanie wystarczającej ilości tematów do pisania, aby wypełnić swoją kolumnę. Flagowa propaganda wystarczyła na kilka pierwszych kilka odcinków, ale z powodu braku prawdziwej akcji i osiągnięć, Mike musiał się postarać. Naturalnie artykuł o pułkowniku Edmundzie Duke. Trochę interesujących dla ludzi wiadomości o dobrze naoliwionej załodze. Kawalek o neuronalnie zresocjalizowanych, który Anderson zdusił w zarodku (Handy wyjaśnił, że był pozbawiony poczucia przyzwoitości). Miejscowe obrazki z różnych planet. Tylko tyle, żeby przypomnieć każdemu (a Handy'emu Andersonowi w szczególności), że wciąż żyje i oczekuje regularnych wpłat na konto.

Był jeszcze dwuczęściowy artykuł o cudach krążowników klasy *Behemoth*, który został zredukowany do kilku akapitów przez cenzorów wojskowych. Tajemnice wojskowe, tak to wyjaśnili.

Jakby Synowie Korhala nie wiedzieli, czym dysponujemy, pomyślał Mike, wślizgując się w slipy i szukając wzrokiem mniej sfatygowanej koszuli i spodni. W jego szafie wisiał nowy strój podróżny, pożegnalny prezent od kolegów z pokoju redakcyjnego. Był to długi prochowiec, który sprawiał, że Mike wyglądał niczym mieszkaniec Dawnego Zachodu, ale jego koledzy najwyraźniej uważali, że jeśli Mike udaje się w przestrzeń międzyplanetarną, to powinien tak wyglądać.

Wślizgnął się w jakieś zwyczajne spodnie. Prawie na zawołanie pojawiła się Swallow z dzbankiem kawy i kubkiem. Nalała w czasie, gdy Mike dopinał koszulę.

Wywar miał wojskową klasę „A” – świeżo zaparzony i parzący, nadający się do wylewania na wieśniaków szturmujących zamek. Kawa była kolejną rzeczą, do której

przywykł.

Oczywiście przywykł także do trzech metrów kwadratowych, wystarczającej ilości czasu do pisania artykułów i nieustalonego wymiaru prywatności. Jak również do stale zmieniających się partnerów do pokera, z których wszyscy byli młodzi, nie mieli gdzie wydawać żołądów i nie mogli zablefować, nawet gdyby od tego zależało ich życie.

Przyzwyczał się nawet do porucznik Swallow, chociaż jej zwyczajowa, pozytywna postawa początkowo go zastanawiała. Naturalnie spodziewał się jakiegoś ochroniarza, jakiegoś wojskowego attache, który zaglądałby mu przez ramię w czasie pisania i uważał, żeby nie zrobił czegoś głupiego, jak upuszczenie pióra do cewek warpowych. Ale porucznik Emily Swallow była raczej jak z filmu szkoleniowego. Szczególnie lukrowanego filmu szkoleniowego, takiego, który pokazuje mamę i tatę przed wysłaniem swoich synów i córek na przedłużoną służbę w odległości pięciu systemów świetlnych. Do diabła, porucznik Swallow wyglądała, jak gdyby to ona *pisala* takie filmy szkoleniowe.

Malutka, drobniutka i zawsze uśmiechnięta, wydawała się przyjmować poważnie każdą prośbę Mike'a, nawet jeśli obydwójce wiedzieli, że istnieje jedynie nikła szansa, że zostanie ona spełniona. Nie miała żadnych wad, z wyjątkiem tego, że okazyjnie paliła papierosy, co kwitowała uśmiechem i usprawiedliwiającym wzruszeniem ramion. Co więcej, kiedy spytał o jej przeszłość, odmówiła odpowiedzi.

Większość załogi pochłonięta była opowiadaniem o życiu tam w domu, ale porucznik Swallow tylko przestawała się uśmiechać i przesuwała dłonią po twarzy, jak gdyby odgarniając zasłaniające ją włosy, których już tam nie było.

To wtedy Mike spostrzegł małe znamiona za jej uchem, ślady nieinwazyjnej resocjalizacji neuronowej, o której wspominał Anderson. Jasne, przeszła pranie mózgu, i to skuteczne. Nikt nie mógł być tak energiczny bez elektrochemicznej lobotomii.

Mike więcej nie nawiązywał do tematu, lecz zamiast tego przekupił jednego z komputerowych speców, żeby ten pozwolił mu spędzić trochę czasu z aktami personalnymi (kosztowało go to dwie awaryjne paczki papierosów, ale wtedy przetrzymał już najgorszy głód i lepiej było wykorzystać fajki do handlu niż do palenia). Dowiedział się, że zanim została przymusowo wcielona do marines, młoda Emily Swallow miała interesujący zwyczaj podrywania w barach młodych mężczyzn, zapraszania ich do domu, związywania i obierania skóry i mięsa z ich kości za pomocą noża do filetowania.

Większość ludzi byłaby zaniepokojona taką wiadomością, ale Michael Liberty uznał ją za pokrzepiającą. Morderczyni młodych mężczyzn z Hacylona była bardziej zrozumiała niż wiecznie uśmiechnięta, nadgorliwa kobieta wyglądająca jak z plakatu rekrutacyjnego. Teraz, podążając za nią korytarzami *Norada II* w kierunku mostka, Mike zastanawiał się, co myśli porucznik Swallow na temat swojego medycznego uwięzienia i przymusowej transformacji. Zdecydował, że ona po prostu tego nie pamięta i pogodziwszy się z tym stanem rzeczy, Mike postanowił już nie wspominać o tej sprawie.

Jak na tak duży statek *Norad II* miał bardzo wąskie przejścia, zbudowane jakby machinalnie po umieszczeniu stanowisk cumowniczych, ładowni, systemów bojowych, kambuzów, komputerów i innych niezbędnych rzeczy stłoczonych wewnątrz kadłuba. W korytarzach nadchodzący z przeciwka musieli przyciskać się do ścian. Mike zauważył duże strzałki namalowane na podłodze, które według porucznik Swallow były potrzebne, kiedy statek był w stanie pogotowia, a żołnierze w pełnym opancerzeniu. Mike uświadomił sobie, że chodniki byłyby jeszcze węższe, gdyby nie były przewidziane dla ludzi w zasilanych kombinezonach bojowych.

Minęli kilka dużych stanowisk, gdzie technicy rozmontowywali instalację elektryczną i pozostałe kable. Powodem tego był fakt, że *Norad II* szedł do kapitalnego remontu obejmującego także unowocześnienie działła Yamato. Dla okrętu z dodatkowymi bateriami laserowymi, myśliwcami klasy *Wraith* i, jak chodziły słuchy, bronią jądrową, ogromne działło byłoby niczym lukier na torcie.

Właściwie to właśnie Mike spodziewał się usłyszeć od pułkownika Duke'a, że *Norad II* zmierza do suchego doku w celu dokonania napraw i że on, Michael Liberty, poleci na Tarsonis najbliższym wahadłowcem. Taka wiadomość sprawiłaby, że obcowanie z tą żywą skamieliną byłoby niemalże warte zachodu.

Zmienił zdanie, gdy weszli na mostek, a Duke skrzywił się na jego widok. Co prawda Duke nigdy nie był szczególnie zadowolony, widząc kogoś z prasy, ale tym razem Mike zobaczył najbardziej chmurne i wrogie oblicze w swoim życiu.

– Pan Liberty zgłasza się zgodnie z rozkazem, sir – zameldowała porucznik Swallow, salutując tak wprawnie jak w każdym filmie rekrutacyjnym.

Pułkownik, wbity w brązowy mundur dowódcy, nie rzekł nic, tylko wskazał krótkim i grubym palcem na swoją kajutę. Porucznik Swallow zaprowadziła tam Mike'a i zostawiła go, by zająć się czymś, co robiła, gdy nie musiała być przy nim. Mike pomyślał, że prawdopodobnie miało to coś wspólnego ze zdzieraniem skóry ze szczeniąt.

Początkowe zainteresowanie Mike'a pogłębiło się, gdy rozpoznał człekokształtny obiekt spoczywający na wystającym ze ściany kajuty stelażu. Był to zasilany kombinezon bojowy, nie jeden ze standardowych CMC-300, ale kombinezon dowódcy z wbudowanym przenośnym systemem dowodzenia. Pancierz pułkownika Duke'a, teraz wypolerowany i naoliwiony czekał na swojego właściciela.

Mike już nie był tak przekonany, że lecą na wymianę Yamato. Większość marines trzymała swoje kombinezony w pogotowiu, a ćwiczenia były tak częste jak posiłki. Liberty'emu udało się uniknąć tego obowiązku, jako że uważano go za mięczaka niezdolnego do noszenia ciężkich kombinezonów. Patrzenie na rekrutów zataczających się pod ciężarem pełnego wyposażenia bojowego w wąskich korytarzykach było jednak całkiem zabawne.

Ale fakt, że kombinezon pułkownika wisiał tam, świeżo wypolerowany i gotowy, wróżył bardzo niedobrze.

Kombinezon był masywny i pod własnym ciężarem wyginał się do przodu na wieszaku. W ten sposób zdawał się być dopasowanym do właściciela. Pułkownik Duke przypominał Mike'owi wielką małpę z Dawnej Ziemi, jedną z tych, które wspinały się na budynki i strącały prymitywne samoloty. Goryle. Duke był starym, srebrnogrzbietym przywódcą swego stada i sam sposób, w jaki się pochylał, powodował lęk u jego podwładnych.

Mike wiedział, że Duke pochodził z jednej ze starych rodzin, pierwszych przywódców kolonii w sektorze Koprulu. Musiał jednak popełnić jakiś błąd w czasie swojej służby: Edmund Duke stanowczo zbyt długo czekał na swoje szlify generalskie. Mike zastanawiał się, jaki paskudny incydent stanął mu na drodze do awansu, i domyślał się, że musiał być głośny, brudny i głęboko zakopany w wojskowych aktach Konfederacji. Zastanawiał się, za jakie sznurki trzeba pociągnąć, by wydostać tę informację, i czy Handy Anderson miał ją w swojej niezbyt tajnej kryjówce.

Drzwi uchyliły się i pułkownik Duke wkroczył niczym opancerzony robot kroczący *Goliath*, rozpraszający przed sobą piechotę. Jego mina była jeszcze bardziej przerażająca niż przedtem. Opuścił dłoń, żeby pokazać Mike'owi, aby ten nie wstawał (Mike nie miał takiego zamiaru), okrążył biurko i usiadł. Oparł łokcie na wypolerowanym obsydianowym blacie i zaplótł palce.

– Ufam, Liberty, że czas spędzony z nami był dla pana przyjemny – powiedział. Miał lekką skłonność do przeciągania głosek, charakterystyczną dla starych rodzin Konfederacji.

Mike, niespodziewający się pogawędki, zdołał wymamrotać potwierdzenie.

– Obawiam się, że to nie potrwa dłużej – kontynuował pułkownik. – Zgodnie z pierwotnymi rozkazami mieliśmy zostać zastąpieni przez *Theodore G. Bilbo* i polecieć na przegląd w przeciągu dwóch tygodni. Obecne wydarzenia przejęły jednak nad nami kontrolę.

Mike milczał. Przez lata był na wystarczająco wielu odprawach, nawet cywilnych, żeby wiedzieć, by nie przerywać, dopóki nie usłyszy czegoś interesującego na tyle, aby się wtrącić.

– Kierujemy się do systemu Sary. Obawiam się, że to zadupie, ślepy zaułek świata. Konfederacja ma tam dwie planety z koloniami, Mar Sarę i Chau Sarę. To przedłużony patrol wykraczający poza nasze pierwotne założenia.

Mike ograniczył się do potaknięcia. Pułkownik krążył wokół sedna sprawy, zachowując się jak pies z kością kurczęcia w gardle – czymś, co jest kłopotliwe do przełknięcia i jeszcze gorsze do wykrztuszenia z siebie. Mike czekał.

– Muszę panu przypomnieć, że jako przedstawiciel prasy przydzielony do szwadronu Alpha, podlega pan kodeksowi wojskowemu Konfederacji w zakresie pańskich obowiązków i sposobu ich wykonania.

– Tak jest – odpowiedział Mike, wystarczająco surowo, żeby pokazać, że guzik go obchodzi kodeks wojskowy Konfederacji.

– I to dotyczy pańskiego obecnego zadania, jak i przyszłych wzmianek o wydarzeniach, które mają miejsce w czasie pańskiego pobytu tutaj. – Duke pokiwał swą spiczastą głową,

wyraźnie oczekując odpowiedzi.

– Tak jest – Mike rozdzielił słowa, aby zmniejszyć ich znaczenie.

Nastąpiła kolejna przerwa, w czasie której Mike usłyszał otaczający go warkot statku. Tak, *Norad II* wibrował teraz z inną częstotliwością, głośniejszą, wyraźniejszą, bardziej gorączkowo. Kobiety i mężczyźni przygotowywali statek do prędkości podświetlonej. A może do walki?

Mike nagle zaczął zastanawiać się, dlaczego nie brał udziału w ćwiczeniach z oprzyrządowaniem.

– Pan zna naszą historię – powiedział pułkownik Edmund Duke, pies z kurzą kością w gardle.

Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. Mike zamrugał, nagle nie wiedząc, jak zareagować. Zdecydował się na – Sir?

– Jak przybyliśmy do sektora i osiedliliśmy się tu. Wzięliśmy go sobie – podpowiedział pułkownik.

– Na pokładzie statków z komorami hibernacyjnymi, superładowców. – Mike przypomniał sobie lekcje z dzieciństwa. – *Nagglfar*, *Argo*, *Sarengo* i *Reagan* z załogami złożonymi z więźniów i wyrzutków ze Starej Ziemi dotarły do grupki prawdopodobnie nadających się do zamieszkania planet.

– I z miejsca znaleźli trzy takie planety. I dwie garstki innych w pobliżu, które również miały korzystne warunki lub nadawały się do eksploatacji. Ale nie znaleźli śladu życia.

– Upraszam pana pułkownika o wybaczenie, ale istniało intensywne miejscowe życie na wszystkich trzech planetach. Dodatkowo także większość kolonii i Zewnętrzne Światy miały własne ekosystemy. Terraformowanie często, lecz nie zawsze, niszczy naturalne formy życia.

– Ale nie było to nic mądrzejszego od zwykłego kundla – pułkownik zbył komentarz. – Parę udomowionych na Umoji robali i dużo innych rzeczy, które spalono, zanim planeta poszła pod pług. Ale nic *inteligentnego*.

– Inteligentne życie od zawsze było jedną z tajemnic wszechświata – przytaknął Mike. – Odkrywaliśmy świat za światem, ale nic, co by wskazywało, że istnieje tam coś równie rozumnego jak my.

– Aż do dzisiaj – powiedział pułkownik. – A pan będzie pierwszym reporterem obecnym w centrum wydarzeń.

Mike ucieszył się odrobinę na tę myśl.

– Na wielu planetach istnieją liczne, tajemnicze pozostałości mogące być śladami inteligentnego życia. Co więcej, przewoźnicy opowiadają o dziwnych światłach i niby-myśliwcach.

– To nie są światełka na niebie i stare ruiny. To żyjący dowód aktywności pozaziemskiej, świadczący o tym, że nie jesteśmy tu sami.

Duke pozwolił, żeby znaczenie jego słów dotarło do Mike'a, a pogardliwy uśmiešek

wykrzywił mu połowę ust. W najmniejszym stopniu nie poprawiło to jego wyglądu. Gdzieś tam na statku naciśnięto przycisk i olbrzymie silniki zaczęły mrużyć.

– Co wiemy jak dotąd? – zapytał Mike, gładząc się po brodzie. – Spotkaliśmy posłańca, przedstawiciela? A może odkrycie nastąpiło przez przypadek? Znaleźliśmy kolonię, czy to oni wysłali bezpośrednią misję?

– Panie Liberty, proszę pozwolić wyrazić mi się jasno – zachichotał szorstko pułkownik. – Nawiązaliśmy kontakt z obcą cywilizacją. Podczas tego spotkania obcy spowodowali, że wyparowała kolonia na Chau Sarze. Zrównali ją z ziemią, a następnie obrócili w perzynę samą ziemię. Udajemy się tam w tej chwili, ale nie wiemy, czy wciąż istnieje zagrożenie. A pan będzie pierwszym reporterem obecnym w centrum wydarzeń – powtórzył pułkownik. – Gratulacje, synu.

Mike nie był specjalnie usatysfakcjonowany tym wyróżnieniem.

Rozdział 3

System Sary

Pierwszy kontakt z inną rozumną rasą, a oni wysadzają planetę. Piekielna – wizytówka. Co prawda wysadzenie planety to nic nowego. Chryste, my ludzie sami to zrobiliśmy nie tak dawno temu.

Na planecie Korhal IV była kiedyś rewolta. Jej mieszkańcy w zbyt małym poważaniu mieli przekupstwo i korupcję, które były nieodłączną częścią Konfederacji. Próbowali się zbuntować. Na początek Konfederacja próbowała po dobroci: zlikwidowano przywódców buntu przy pomocy zabójców zwanych duchami i wyposażonych w urządzenie czyniące ich niewidzialnymi. Nic dziwnego, że rozzłościło to ludzi na Korhalu i pogłębiło rebelię. Konfederacja podjęła więc bardziej zdecydowane działanie.

Wywaliliśmy Korhala IV z orbity.

Pociski klasy Apocalypse. Jakieś tysiąc. Jakiś idiota z zielonym identyfikatorem z Tarsonis nacisnął guzik i 35 milionów ludzi stało się mgiełką, a ich domy niczym więcej niż wspomnieniem.

Oczywiście po fakcie nastąpiła seria oficjalnych wyjaśnień o złowieszczej, groźnej naturze Korhala i o tym, że oni planowali zrobić to samo nam, gdyby mieli choć cień szansy. Na nieszczęście dowód na potwierdzenie tych oskarżeń spoczywał na planecie pokrytej poczerniałym szklivem.

Sądzę, że tak naprawdę wojskowych w anihilacji Chau Sary przeraziło to, że istnieje ktoś, kto jest tak samo szalony jak my.

A oni byli bardziej szaleni niż my.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Mike dobrze wykorzystał czas, kiedy statek był w przestrzeni podświetlonej, żeby przestudiować dostępne archiwa komputerowe na temat systemu Sary. Był to dosyć zwykły system zewnętrzny, nierówna krawędź wciąż rozrastającego się obszaru podległego władzy Konfederacji.

System został odkryty przez poszukiwacza przed Wojnami Gildii i przejęty przez Konfederację po tym, jak ten jej dobrze zapowiadający się rywal zginął w kosmosie i stał się

następnie (według archiwów statku) domem rozwijającej się pary kolonii. Jediną rzeczą odróżniającą system Sary od tuzina innych podobnych światów, był fakt, że posiadał on dwie nadające się do zamieszkania planety zamiast jednej. Chau Sara była mniejszą, zewnętrzną planetą i miała większą kolonię. Została zasiedlona zgodnie z tradycją Konfederacji jako kolonia karna i wielu z jej mieszkańców (teraz już byłych) wciąż odsiadywało wyroki. Mar Sara była bardziej różnorodną mieszaniną byłych poszukiwaczy, żołnierzy i religijnych osobników, którzy nie zgadzali się z polityką tolerancji Tarsonis w stosunku do innych wyznań. Oba światy miały bogate złoża nadające się do eksploatacji, ale oczywiście Konfederacja położyła na nich łapę. Miejscowi musieli pracować na jej konto lub uciekać do nowych Zewnętrznych Światów.

Mike sprawdził najświeższe doniesienia UNN. Urywkowa wiadomość mówiła o zakłóceniach sygnałów z systemu Sary, ale większość przekazu poświęcona była najnowszemu zamachowi Synów Korhala (trujący gaz na rynku miejskim na Haji) i masowym zatorom kolei jednotorowej na Moirze.

Mike sporządził krótką notkę streszczającą jego rozmowę z pułkownikiem Duke'em i zanotował, że jego przyszła praca podlegać będzie wojskowym ograniczeniom. Oznaczało to, że jego relacje będą sprawdzane, zanim opuszczą okręt i ponownie przed rozpowszechnieniem.

Handy Anderson będzie jednocześnie narzekał na cenzurę wojskowych i tańczył dookoła biura, ciesząc się z rewelacyjnych wiadomości.

Jeśli mam szczęście, pomyślał Mike, będzie tańczył zbyt blisko tego cholernego okna.

Przygotował drugą relację, zaszyfrował za pomocą specjalnego klucza i zapisał na mini dysku. Tego nie zamierzał nigdzie wysyłać, ale jeśli coś mu się stanie i znajdą ciała, ktoś dowie się, co się stało. To była jego posępna polisa ubezpieczeniowa.

Dopiero co skończył drugą notatkę, gdy wielki cień zasłonił światło.

Mike spojrzał w górę, prosto w twarz porucznik Swallow, teraz wyżej o stopę i cięższej o kilkaset funtów. Znajdowała się w kombinezonie bojowym, a jej naturalna siła wspomagana była przez siłowniki i inną maszynię. Pusta ładownica u jej boku miała być szybko, na czas, gdy szła do akcji, wypełniona magazynkami do C-14 – ośmiomilimetrowego karabinu szybkostrzelnego o nazwie impaler.

Jej wizjer był otwarty, uśmiechała się do niego. Przypominała dziewczynę wyczekującą na swój pierwszy taniec na balu maturalnym.

– Sir, wkrótce wychodzimy z podprzestrzeni. Pułkownik oczekuje pana na mostku tak szybko jak to tylko możliwe – powiedziała i już jej nie było.

Co oznacza natychmiast, do cholery, pomyślał Mike, wychodząc z kajuty i podążając za Swallow.

Przejścia wcale nie stały się większe, a do tego obecność nieporęcznych kombinezonów uczyniła je jednokierunkowymi, z ruchem kierowanym przez wielkie strzałki na podłodze. Na

kilku skrzyżowaniach Swallow zatrzymała się, by przepuścić innych członków załogi, a Mike doznał uczucia bycia jedynym przedszkolakiem w szóstej klasie.

– Muszę dostać jeden z takich kombinezonów – zauważył.

– Nie wiedziałam, że umie pan obsługiwać zasilane kombinezony bojowe CMC – odrzekła Swallow.

– Czytałem instrukcje.

– Taka wiedza jest zbyt powierzchowna, aby ochronić pana w sytuacjach kryzysowych, sir. Aczkolwiek, jeśli coś się stanie, jestem osobiście odpowiedzialna za pana bezpieczeństwo.

– No to jestem zupełnie bezpieczny. – Mike uśmiechnął się do odwróconej Swallow, w razie gdyby miała wycelowaną w niego kamerę.

Przez statek przeszedł międzywymiarowy dreszcz, a silniki wyłączyły się z prędkości podświetlonej. Byli w pobliżu Sary.

Mostek był obecnie skąpany w czerwonym świetle, zaakcentowanym przez rzędy zielonych monitorów stojących na niższym pokładzie. Pułkownik Duke tkwił we własnym kombinezonie. Wyglądał niczym goryl w sali króla Artura. Goryl ze spiczastą głową noszący okrycie z płytek. Otaczał go zestaw monitorów, z których każdy przekazywał inne informacje.

– Pan Liberty zgłasza się zgodnie z rozkazem, sir – zameldowała Swallow, wykonując kolejny perfekcyjny salut, w czym nie przeszkodził jej ciężki kombinezon.

– Pułkowniku – powiedział Mike.

Duke nie oderwał spojrzenia od głównego ekranu.

– Zbliżamy się do Chau Sary – powiedział jedynie.

Z początku Mike myślał, że główny ekran ma awarię. Zbliżali się do Chau Sary z nocnej strony. Ogromny dysk zewnętrznego ze światów Sary stanowił pogmatwaną, tęczową plamę światła, wyglądającą niczym olej na powierzchni wody.

Wtedy Mike zdał sobie sprawę, że to *powierzchnia* Chau Sary tak wygląda. Błyszczała mieniącymi się kolorami przedzielonymi ostrymi pęknięciami czystej pomarańczowej barwy.

– Co... – zamrugła oczami Mike – co jest tego powodem?

– Pierwszy kontakt – powiedział pułkownik – najbardziej ekstremalny pierwszy kontakt, jaki może być. Jak odczyty?

– Nie mamy żadnych śladów życia. Większa część powierzchni została skroplona i wyjałowiona – odpowiedział jeden z techników. – Wygląda na to, że obszar ten ma od dwudziestu do pięćdziesięciu stóp głębokości.

– A osady? – zapytał Mike.

– Pomarańczowe pęknięcia wydają się być wylewami magmy przez płaszcz planety – kontynuował technik. – Są na miejscu znanych osad.

Pauza.

– I jeszcze w tuzinie innych miejsc.

Mike spojrział na wirującą, śmiertelną tęczę na ekranie. Słońce wschodziło na widnokręgu przed nimi, ale świat wcale nie wyglądał lepiej w świetle słonecznym. Zaledwie kilka ciemnych chmur, wąskich niczym krucze pióra, dryfowało po słonecznej stronie.

– Dodatkowo w czasie ataku zniszczono osiemdziesiąt procent atmosfery – ciągnął technik.

– Jakaś obecność na orbicie? – zapytał Duke, opancerzony monolit tkwiący w samym centrum.

– Sprawdzamy – powiedział technik.

W końcu nadeszła odpowiedź.

– Zaprzeczam. Nic naszego. Nic nieznanego pochodzenia. Może coś się pokaże, jeżeli zwiększymy zasięg monitorowania.

– Poszerzyć zakres monitorowania – zakomenderował Duke. – Jeśli jest tam coś, to chcę o tym wiedzieć. Obojętnie nasze czy ich.

– Sprawdzamy... Definiujemy znalezione kawałki. Prawdopodobnie nasze. Będziemy potrzebować grupy ratunkowej dla potwierdzenia.

– Dlaczego to zrobili? – zapytał Mike, ale nikt mu nie odpowiedział. Technicy w lżejszych kombinezonach i rękawicach nagrywali odczyty, a liczne oblicza z monitorów mówiły jednocześnie do pułkownika Duke'a.

– Co to zrobiło? Broń jądrowa? – Mike w końcu wymyślił pytanie, na które, jak sądził, mogli odpowiedzieć.

Wydawało się, że te słowa oderwały Duke'a od ciągłego strumienia napływających informacji. Popatrzył na reportera.

– Uzbrojenie atomowe pozostawia czarne szkliwo i spalone lasy. Nawet na Korhalu przetrwały nie zniszczone tereny, no przynajmniej przez chwilę. Chau Sara została wypalona miejscami aż do płynnego jądra planety. To o wiele bardziej niszczycielskie niż same bomby Apokalypse.

– To – Duke wskazał na ekran – jest działalność obcej rasy, Protossów. Z tego co wiem, pojawili się znikąd, bliżej planety niż my moglibyśmy kiedykolwiek spróbować. Mnóstwo ogromnych statków. Złapali transportowce i statki śmieciarzy i rozwalili je. Potem użyli czegoś na planecie i ugotowali ją jak jajko na miękko. Potem odlecieli. Mar Sara jest właśnie po drugiej stronie słońca i ludzie tam panikują na myśl, co może się jeszcze zdarzyć.

– Protossi. – Mike wolno potrząsnął głową, trawiąc informacje. Coś tu nie grało. Mike popatrzył na wyświetlacze techników pokazujące głębokie czasy radarów skierowane na magmę.

– Wie pan już wszystko, co konieczne do pańskiego raportu, panie Liberty – powiedział Duke. – Pozostaniemy w pogotowiu na wypadek kolejnych wrogich ataków w przewidywalnej przyszłości. Może pan wspomnieć w swojej relacji, że wkrótce dołączą do nas *Jackson V* i *Huey Long*.

– Sir, mamy nietypowe odczyty – powiedział technik, pociągając się za ucho.

– Położenie? – warknął pułkownik, odwracając się od Liberty’ego.

– Zed-dwa, kwadrat piąty, jeden AU. Liczne anomalie.

– Namiary?

– Sprawdzamy.

Pauza, a później stłumione wzruszenie wkradło się w słowa technika.

– Zmierzają w kierunku Mar Sary, sir.

– Przygotować się do przechwycenia nietypowych odczytów. Wysłać myśliwce, gdy znajdą się w zasięgu. – Duke pokiwał głową.

– Zwariował pan? – powiedział Mike, zanim zdążył pomyśleć.

– Mam nadzieję, że to pytanie retoryczne, synu. – Duke odwrócił się do reportera.

– Mamy tylko jeden statek.

– Mamy tylko jeden statek pomiędzy nimi i Mar Sarą. Będziemy przechwytywać.

Mike ledwo powstrzymał się przed powiedzeniem „łatwo panu mówić, ma pan solidnie opancerzony kombinezon bojowy”. Cokolwiek mogło zniszczyć skorupę planety, nie zostanie powstrzymane przez kilka warstw kombinezonu.

Zamiast tego Mike wziął głęboki oddech i chwycił się barierki, jak gdyby sądził, że to złagodzi ewentualne uderzenie.

– Mamy wizję – powiedział technik. – Przełączam na ekran.

Główny ekran zamigotał i rozjaśnił się, pokazując gromadę świetlików na tle nocnego nieba. Na tle ciemności wyglądały niemal przyjemnie. Wtedy Mike zdał sobie sprawę, że były ich setki i że to jedynie główne statki. Mniejsze komary krążyły wokół nich.

– Czy są w zasięgu Wraithów? – zapytał pułkownik.

– Będą za dwie minuty – odpowiedział technik.

– Wystrzelić je, gdy tylko będzie to możliwe.

Mike wziął głęboki oddech i pożałował, że nie brał udziału w ćwiczeniach z kombinezonami.

Nawet z daleka można było zdefiniować i opisać statki Protossów. Największe miały cylindryczne kształty, podobne do oświetlonych sterowców. Otoczone były przez wygłodniałe ćmy i Mike uświadomił sobie, że to musiały być ich myśliwce, ich odpowiedniki A-17 Wraithów, które właśnie czekały w hangarach na to, aby tamte znalazły się w ich zasięgu.

Inne złote statki tańczyły pośród większych transportowców, pobłyskując niczym małe gwiazdki.

W czasie gdy Mike patrzył, jeden z wielkich statków zdawał się rozpuszczać. Potem był błysk, słaba poświata i już go nie było. Po chwili był następny błysk i następne zniknięcie.

– Sir – powiedział technik – anomalne odczyty znikają.

– Technologia niewidzialności? – zapytał pułkownik.

– Na taką skalę? – mimowolnie zapytał Mike.

– Sprawdzamy. Długa pauza.

– Zaprzeczam. Wygląda na to, że otaczają się jakimś rodzajem pola podświetlnego. Wycofują się.

Kiedy Mike tak patrzył, coraz więcej statków zaczęło błyskać i znikać. Wielkie statki i stada mniejszych, mniejsze złote pojazdy, wszystkie znikły niczym nadprzyrodzone istoty znikające z nadejściem świtu.

Nadprzyrodzone istoty, które mogą spalić planetę aż do jej płynnego jądra, wypomniał sobie Mike.

– Dobrze, boją się nas. – Pułkownik pozwolił sobie na uśmiech. – Zatrzymać przygotowania, ale pozostać w pogotowiu na wypadek podstępu.

– To nie ma sensu – pokręcił głową Mike. – Mają wystarczające siły, żeby upiec planetę. Dlaczego mieliby się nas bać?

– To oczywiście – powiedział pułkownik. – Zużyli całą energię. Nie mają tyle siły, aby nawiązać z nami walkę.

– Mamy tylko jeden statek. – Mike pokręcił głową ze zdenerwowaniem. – Oni mieli dziesiątki.

– Obawiali się potencjalnych posiłków.

– Nie, nie. Coś się tutaj dzieje. Nie ma w tym krzty zdrowego rozsądku.

– Nie mamy tu do czynienia z ludzkim rozsądkiem – warknął Duke. – Niech pan spojrzy na ich siłę ognia.

– No właśnie. Ci Protossi przewyższają nas liczbą i siłą ognia, a to *my* zmuszamy ich do ucieczki? Po co tu przybyli?

– Panie Liberty, zadał pan już dzisiaj *dość* pytań. – Twarz Duke'a zachmurzyła się, ale Mike zignorował ostrzeżenie.

– Nie, coś tu się po prostu nie zgadza. Proszę spojrzeć na raporty o stratach. – Mike wskazał na jeden z monitorów. – Ugotowali całą planetę, ale w niektórych miejscach bardziej niż w innych. Każde ważniejsze miasto ludzkie, ale nie tylko. – Mike wskazał na tabelę z danymi. – Niektóre ze zniszczonych miejsc są położone na drugiej stronie planety, daleko od znanych osad ludzkich. Wiem, bo sprawdzałem archiwa.

– Powiedziałem, że już *dość* tych pytań. Mamy poważniejsze zmartwienia, jeżeli chodzi o Protossów, niż dokładność, z jaką wybierają swoje cele.

Twarz Mike'a zapłonęła, gdy połączył w głowie wcześniejsze wiadomości.

– A skąd znamy tę nazwę „Protossi”, pułkowniku? Wymyśliliśmy ją my, czy oni?

– Panie Liberty! – Twarz Duke'a przybrała kolor purpury.

– A jeśli to oni tak siebie nazywają, to skąd *my* o tym wiemy? Czy nie musieliśmy znać jej już wcześniej? A może przysłali ostrzeżenie, zanim zaatakowali? – Reporter podnosił ton swojego głosu, jak gdyby udawał kandydata w wyborach.

– Poruczniku Swallow – syknął Duke.

– Tak, sir? – Kolejny doskonały salut.

– Proszę wyprowadzić pana Liberty z mostka! Natychmiast! Mike mocno chwycił barierką obiema rękami. Okryte metalem ramię złapało go w pasie.

– Do cholery, Duke, wiesz więcej, niż mówisz! – krzyknął Mike. – Ten smród dosięgnie niebios!

– Powiedziałem natychmiast, poruczniku – zachnął się Duke.

– Tędy, sir – powiedziała Swallow, przełamując chwyt Mike'a i unosząc go z ziemi. Następnie pomknęła do windy ze swoją zdobyczą.

Michael Liberty opuścił mostek, wciąż wykrzykując pytania. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał przed zamknięciem drzwi, było polecenie Duke'a, żeby połączyć go z gubernatorem na Mar Sarze.

Rozdział 4

Na Mar Sarze

Jest taki okres wojny, między pierwszym a drugim uderzeniem. To moment ciszy, niemalże chwila spokoju, kiedy dopiero zaczyna się pojmować, co się wydarzyło, i każdemu wydaje się, że wie, co będzie dalej. Niektórzy gotują się do ucieczki. Inni do kontrataku. Ale nikt się nie porusza. Jeszcze nie.

To doskonały moment, chwila, w której rzucona piłka jest w najwyższym punkcie lotu. Czynność została podjęta i przez jeden, zamrożony ułamek czasu wszystko jest w ruchu, ale jednocześnie wszystko spoczywa.

Są wreszcie idioci, którzy nie potrafią pozostawić spraw ich własnemu biegowi. I wtedy piłka zaczyna spadać, nadchodzi drugie uderzenie i wpadamy w wir.

– MANIFEST LIBERTY'EGO

Michael Liberty miał zakaz wychodzenia z kabiny na czas trwania akcji nad Mar Sarą. Porucznik Swallow lub jeden z jej neurologicznie resocjalizowanych towarzyszy pełnili wartę przed jego kwaterą przez dwa dni. Po tym czasie został odeskortowany do statku desantowego i poleciał na piękną Mar Sarę.

Teraz, dzień później, siedział w hali prasowej, ogrywając miejscowych reporterów z ich oszczędności i czekając na coś, co przypominałoby odpowiedź ze strony władz.

Ta jednak nie nadchodziła. Oficjalne sprawozdania były uprzednio przygotowanymi kawałkami informacji, które podkreślały fakt, że atak na Chau Sara był niespodziewany, oraz sławiły Duke'a i załogę *Norada II* jako bohaterów, którzy odparli wroga, a także stwierdzały, że tylko nieustanna opieka Konfederacji mogła ochronić Mar Sarę. Protossi (wciąż nie wiadomo było, skąd pochodzi ta nazwa), byli pokazywani jako tchórze, którzy uciekli na sam widok prawdziwej walki. Delikatność ich imponujących, zasilanych światłem statków potwierdzała to spostrzeżenie: uciekli, ponieważ obawiali się trafień.

To była obowiązująca historia i marines trzymali się jej. Jeżeli ktoś z hali prasowej zbyt oddalał się od oficjalnej wersji, jego relacje nagle zaczynały ginąć w czasie

transmisji. To wystarczyło, żeby zapanować nad większością miejscowych. Wszyscy dostali przepustki z kodami paskowymi, które miały być okazywane na żądanie. I, jak wiedział Mike, miały służyć do kontrolowania miejsca pobytu ich posiadacza.

Wszyscy wyjadacze prasowi znali historię Liberty'ego z pokładu *Norada II*, ale jak dotąd nikt nie próbował jej wykorzystać w swoich doniesieniach.

Poza planetą obowiązywał zakaz poruszania się. Oficjalnie jako środek obrony cywilów (jak to ujęto w oficjalnej notatce prasowej), który w rzeczywistości posłużył wojsku do przejścia władzy nad miejscowym rządem. Miejscowi zostali spędzeni w punkty zborne, podobno żeby ułatwić ewakuację. Nie było żadnej wzmianki, skąd mają przybyć statki ewakuacyjne albo chociaż jaki był rozkład opuszczania planety. Tymczasem na każdym rogu umieszczono patrole marines i ci mieszkańcy, którzy pozostali w mieście, wyglądali na bardzo, bardzo zdenerwowanych.

Wobec braku czegoś, o czym można by napisać, dziennikarze przesiadywali w dużej kawiarni na parterze hotelu Grand, grali w karty, oczekiwali kolejnych oficjalnych pseudowiadomości i wysuwali szalone przypuszczenia. Mike, odziany w prochowiec, przesiadujący z nimi, wyglądał bardziej miejscowo niż każdy z nich.

– Człowieku, myślę, że w ogóle nie ma żadnych kosmitów – powiedział między rozdaniem pokera Rourke, wielki rudzielec z wyrazistą blizną na czole. – Myślę, że Synowie Korhala w końcu znaleźli sposób, by zemścić się za wysadzenie ich świata.

– Lepiej ugryź się w język – powiedział Maggs, żwawy stary wyjadacz z jednego z lokalnych dzienników. – Nawet żartowanie o Korhalach wystarczy, żebyś dostał kulkę.

– Więc jaką ty masz teorię? – odparł Rourke.

– Są ludźmi, ale innymi niż my – powiedział stary reporter.

– Są ze Starej Ziemi. Myślę, że gdy nas już nie było, zajęli się genetyką i takimi tam, teraz są klonami i przybyli, by oczyścić resztę rasy.

– Słyszałem o tym – przytaknął Rourke. – A Thaddeus z *The Post* uważa, że są robotami, które zaprogramowano tak, żeby nie mogły się bronić. To dlatego zwiali, kiedy namierzył ich *Norad II*.

– Wszyscy się mylicie – powiedział Murray, facet z jednej z korporacji religijnych. – Są aniołami i właśnie nadszedł dzień sądu ostatecznego.

Zarówno Maggs, jak i Rourke, wydali z siebie drwiące odgłosy.

– A co ty o tym myślisz, Liberty? – powiedział następnie Rourke. – Czym oni są według ciebie?

– Wiem tylko tyle, co widziałem – odpowiedział Mike – i zobaczyłem, że czymkolwiek są, skroplili powierzchnię sąsiedniej planety i mogą być tu szybciej, niż Konfederacja zdąży zareagować. A my siedzimy tu na dole i gramy w karty.

Cisza zapadła przez moment wokół stołu i nawet Murray, świętobliwy reporter, zamilkł na chwilę. W końcu Rourke odetchnął głęboko.

– Wy chłopcy z Tarsonis dobrze wiecie, jak spaprać dobrą imprezę – powiedział. – Wchodzisz czy pasujesz?

Mike nagle wyprostował się, wpatrując się uważnie w ulicę na zewnątrz. Mimowolnie Murray i Rourke obrócili się na krzesłach, ale dojrzeliby jedynie zwykłą grupkę marines, niektórych w kombinezonach bojowych, innych w przepisowych mundurach.

– Szybko, Rourke. Daj mi swoją licencję prasową – powiedział Mike.

Wielki rudzielec instynktownie chwycił tasiemkę wiszącą wokół szyi, jak gdyby od tego zależało jego życie.

– Nie ma mowy.

– Dobra, wobec tego wymieńmy się. – Mike wyciągnął swoją własną legitymację wystawioną przez marines.

– Jako to? – zapytał Rourke, przeciągając sznureczek przez głowę.

– Jesteś z prasy lokalnej – powiedział Mike. – Przepuszczą cię przez kordon w głąb planety.

– No tak, ale cokolwiek napiszę i tak nie przejdzie przez cenzurę – stwierdził duży facet, wręczając swoją plakietkę. – Nic się stąd nie wydostanie.

– Jasne, ale siedząc tutaj, dostanę kręćka. Daj mi też paczkę fajek.

– Myślałem, że rzucasz – powiedział Rourke.

– Nie marudź.

Jak tylko Mike wepchnął papierosy do kieszeni w koszuli, wyszedł z kawiarni tak szybko, że jego własna plakietka nie zdążyła jeszcze spocząć na stoliku.

– Wszyscy z Tarsonis są nienormalni – zauważył Rourke.

– Będziesz tak gadał, czy wreszcie rozdasz? – zapytał Maggs.

* * *

– Poruczniku Swallow! – krzyknął Mike. Powiesił sobie plakietkę Rourke'a na szyi i biegł, wzbijając w powietrze chmurę kurzu z ulicy.

Porucznik odwróciła się i uśmiechnęła do niego.

– Panie Liberty – powiedziała. – Dobrze znów pana widzieć. Jej uśmiech był ciepły, ale Mike nie był w stanie powiedzieć, czy wyrażał prawdziwe uczucie, czy był tylko rezultatem przeprogramowania.

Pozbyła się już swojego kombinezonu bojowego i miała na sobie regulaminowe khaki. Znaczyło to, że była w żandarmerii i raczej nie była aktywnie kontrolowana. Wciąż jednak u jednego biodra miała niewielki miotacz pocisków, a u drugiego groźnie wyglądający nóż wojskowy.

Mike sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów. Swallow, ze zmieszonym wyrazem twarzy, wyciągnęła jednego.

– Myślałam, że pan rzuca – powiedziała.

– Ja myślałem, że pani też – wzruszył ramionami Mike. Mike zdał sobie sprawę, że nie ma zapalek, ale Swallow wyjęła małą zapalniczkę. Mikroskopijny laser zaświecił na jej czubku.

– Przepraszam za tamto na statku. Służba nie drużba – powiedziała porucznik, zaciągając się głęboko.

Mike ponownie wzruszył ramionami.

– Moja praca czasami polega na zadawaniu trudnych pytań. Służba nie drużba. Siniaki się wygoiły. Jest pani zajęta?

– Nie w tej chwili. Czy ma pan jakiś problem, sir?

– Muszę mieć pojazd i kierowcę, aby wyruszyć w głąb planety. – Mike próbował sprawić, żeby brzmiało to jak prosta prośba np. o odstąpienie papierosa.

Twarz Swallow zachmurzyła się przez moment.

– Wypuszczają pana za kordon? To nic osobistego, sir, ale myślałam, że pułkownik miał pana osobiście wykopać z powrotem na Tarsonis po tym incydencie na mostku.

– Czas leczy rany – powiedział Mike, wyciągając legitymację Rourke'a. – Przedłużyli mój łańcuch. Chodzi mi tylko o trochę materiału z tła, wywiady z potencjalnymi uchodźcami.

– Ewakuowanymi, sir – poprawiła Swallow.

– No właśnie. Muszę napisać artykuł o bohaterских ludziach z Mar Sary znajdujących się w obliczu zagrożenia z kosmosu. Jest pani zainteresowana obwiezieniem mnie dokoła?

– No cóż, nie jestem na służbie, sir... – zawahała się Swallow, a Mike ponownie sięgnął po papierosy. – Nie widzę przeszkód. Czy jest pan pewien, że pułkownik nie ma nic przeciwko temu?

Mike uśmiechnął się zwycięsko i reżolutnie.

– Jeśli ma, to zawrócę nas na pierwszym punkcie kontrolnym i zapoznam panią z moimi grającymi w karty znajomymi w kawiarni.

* * *

Porucznik Swallow załatwiła transport, jeepa z szerokim nadwoziem i otwartym dachem. Legitymacja Rourke'a umożliwiła im przejście przez posterunek. Znudzony MP przeciągnął kartą przez czytnik i dał zielone światło dla „miejscowego reportera”. Władze zdawały nie przejmować się zbytnio ludźmi wydostającymi się z kordonu w głąb planety, szczególnie tymi z wojskową eskortą. Za to zdawały się bardziej przejmować tymi wracającymi.

Mar Sara ledwie nadawała się do zasiedlenia w porównaniu z poprzednio bogatymi dżunglami jej siostry na sąsiedniej orbicie. Tutaj niebo było brudnopomarańczowe, a większość powierzchni pokrywało wyschnięte błoto lub kępki karłowatej roślinności. Nawodnienie sprawiło, że część pustyni zakwitła, ale gdy wyjechali za miasto, Mike mógł zobaczyć pola już dotknięte brakiem wody. Urządzenia irygacyjne stały niczym samotne strachy na wróble ponad zbrązowiałymi uprawami.

Takie uprawy wymagały nieustannej troski, zapisał Mike w swoim urzędzeniu nagrywającym, a przemieszczenie ludności było dla nich tak samo śmiertelne jak atak z kosmosu. Porzucenie obszarów rolniczych było pewnym znakiem, że Konfederacja spodziewała się powrotu Protossów.

Pierwszy punkt zborny dla uchodźców (pardon, dla ewakuowanych), jaki zobaczyli, napotkali koło południa. Było to miasto przemysłowe, wzniesione na jednym z pól uprawnych, nadzorowane przez pojedynczego Goliata. Kolejny znudzony MP nawet nie zawracał sobie głowy wysłuchaniem całej opowieści Mike'a przed włożeniem karty Rourke'a do czytnika, i otrzymawszy informację, że Mike pochodzi z planety, wpuścił ich.

Swallow zaparkowała jeepa u stóp Goliatha.

- Chciałbym porozmawiać z ucho... ewakuowanymi na osobności – powiedział Mike.
- Sir, wciąż jestem odpowiedzialna za pańskie bezpieczeństwo – odpowiedziała Swallow.
- Więc proszę mnie obserwować z odległości. Ludzie nie otworzą się, jeśli jeden z konfederacyjnych będzie stał przy nich z pełnym ekwipunkiem.

Swallow zachmurzyła się.

- Oczywiście wszystko, czego się dowiem, będzie sprawdzone przed rozpowszechnieniem – dodał Mike.

Wydawało się, że to uspokoiło ją na tyle, że została w pobliżu jeepa, gdy Mike wyruszył nasiąknąć miejscowym kolorytem.

Placówka ewakuacyjna miała zaledwie kilka dni, ale jej wyposażenie było już dość zużyte. Wyglądało na to, że została przewidziana na około sto rodzin, ale obecnie dawała schronienie pięciuset. Nadmiar ludzi został już upchnięty w kanciaste autobusy, żeby przewieźć ich do innych głównych baz. Śmieci piętrzyły się na obrzeżach, a ślady kamienia znaczyły zbiorniki na destylowaną wodę.

Ewakuowani ludzie właśnie otrząsali się z szoku po stracie wszystkiego. Większość z nich została wygnana z domów w pośpiechu i zdążyła wziąć tylko to, co mogła unieść. W rezultacie niepotrzebne, pamiątkowe rzeczy zostały porzucone lub przehandlowane za jedzenie i ciepłe okrycie. Teraz, po tylu dniach, ewakuowani mieli czas, aby zastanowić się nad swoim położeniem i znaleźć winnych tej sytuacji.

Nic dziwnego, że Konfederacja była najbardziej obwiniana. W końcu to właśnie oni byli w zasięgu wzroku, z ich Goliathami i marines w pancerzach stanowili dobry punkt zaczepienia. Protossi byli jedynie pogłoską dostępną poprzez relacje z Konfederacji. Mar Sara znajdowała się po drugiej stronie słońca, więc ci ludzie przegapili świetlny pokaz, który zniszczył ich bliźniaczą planetę.

Mike opisał ciężkie położenie ewakuowanych i wysłuchał ich narzekań. Historie o rozdzieleniu z najbliższymi, o zostawionych kosztownościach, relacje o farmach i domach zarekwirowanych przez siły Konfederacji i wszelkiego rodzaju mniejszych i większych skarg przeciwko wojsku, które zastąpiło władze cywilne. Miejscowy sędzia pokoju sam został

uciekiniem przewodzącym grupce innych uchodźców w kolejnym punkcie zbiorczym. Nikt nie miał ochoty sprzeciwić się konfederacyjnym, ale uchodźcy byli wystarczająco rozłóższczeni, żeby się poskarżyć reporterowi.

Cały czas, poza skargami i mętną gadaniną, dawało się wyczuć wyraźny strach. Był to strach przed konfederatami, ale także strach, który powstał po uświadomieniu sobie, że rodzaj ludzki nie był już sam. Mieszkańcy Mar Sary widzieli sprawozdania o zniszczeniu Chau Sary i obawiali się, że to samo może się stać tutaj. W obozie panował niepokój i ogromne pragnienie, by być gdzieś indziej, wszystko jedno gdzie.

Mike, poruszając się wśród wysiedlonej ludności, odkrył, że było też coś jeszcze. Oprócz niespodziewanego pojawienia się Protossów nastąpiła fala tajemniczych zjawisk. Zauważono światła na niebie i zmutowane stworzenia na ziemi. Znajdowano zabite i okaleczone bydło. Dodatkowo Konfederacja wypędzała ludzi z określonych obszarów, jak gdyby wiedząc o czymś, o czym nie powiedziano ludziom. Opowieści o obcych i niespotykanych ksenomorfach na powierzchni mnożyły się. Oczywiście nikt nie widział ich na własne oczy. Był to zawsze znajomy znajomego krewnego z innego obozu, który ich widział lub przynajmniej o nich słyszał. Opowieści traktowały raczej o potworach z owadzimi oczami niż o stworzeniach w lśniących statkach, ale gdyby ktoś zobaczył statek Protossów, wojsko utajniłoby relację w ciągu minut.

Jakieś dwie godziny później Mike skierował się do jeepa. Porucznik Swallow była tam, gdzie ją zostawił, stojąc zaaferowana po stronie kierowcy.

– Mam dosyć materiału – zawiadomił. – Dziękuję za możliwość dostania się tutaj.

Możemy jechać.

Swallow ani drgnęła. Zamiast tego wpatrywała się w coś.

– Poruczniku Swallow?

– Sir – powiedziała. – Widziałam coś bardzo dziwnego. Czy mogę się tym z panem podzielić?

– A ta dziwna rzecz to?

– Czy widzi pan tamtą kobietę, tę rudą w ciemnym stroju? Mike spojrzał. Stała tam młoda kobieta ubrana w coś, co wyglądało jak spodnie z nocnym kamuflażem, ciemną bluzkę i kamizelkę z wieloma kieszeniami. Miała wspaniałe rude włosy spięte na karku w ogon. Wyglądała jakby wojskowo, lecz Mike nie znał jednostki, która by się tak ubierała. Może to jakaś lokalna milicja lub organizacja paramilitarna. Strażnicy, tak miejscowi nazywali przedstawiciele prawa, ale ona nie wyglądała na jedną z nich. Mike nagle uświadomił sobie, że nie widział żadnego reprezentanta miejscowych władz, odkąd lądowali tu marines, i założył, że podlegli ogólnej ewakuacji.

– Tak? – zapytał.

– Zachowuje się podejrzanie, sir.

– A co takiego robi?

– To samo, co pan. Rozmawia z ludźmi.

– Cóż, *to* z pewnością podejrzane. Porozmawiamy z *nią*? Ruda kobieta skończyła ostatnią rozmowę ze starszym mężczyzną i ruszyła dalej. Swallow ruszyła za nią. Mike również.

Gdy się przybliżyli, Mike dojrzał w kobiecie coś podejznanego: była mniej zakurzona niż reszta uchodźców. I mniej zmartwiona.

– Przepraszam, ma'am – powiedziała Swallow.

Ruda kobieta zawahała się w pół kroku i rozejrzała.

– W czym mogę pomóc? – zapytała. Jej nefrytowo-zielone oczy zwęziły się o włos, a Mike spostrzegł, że jej usta były ciut za szerokie w stosunku do reszty twarzy.

– Mamy kilka pytań – powiedziała porucznik, może bardziej szorstko niż życzyłyby sobie tego Mike.

– A kto miałby zadawać te pytania? – prychnęła kobieta. Zimny podmuch zdawał się przelecieć między kobietami.

Mike wsunął się między dwie kobiety.

– Jestem reporterem z Universe News Network. Nazywam się Michael...

– Liberty – dokończyła ruda. – Widziałam twoje relacje. Przeważnie są dobre.

– Są zawsze dobre, gdy je piszę – przytaknął Mike. – Jeśli coś z nimi nie tak, to wina redakcji.

Kobieta obdarzyła Mike'a przeszywającym spojrzeniem. Był przekonany, że może zamienić te zielone oczy w ostre sztylety, które dotarłyby do wnętrza jego duszy.

– Nazywam się Sarah Kerrigan – powiedziała po prostu, zwracając się do Mike'a, nie do porucznik Swallow.

Świetnie, pomyślał Mike. *Nie jest z żadnych lokalnych władz.*

– I skąd pani jest, miss Kerrigan? – zapytała porucznik Swallow. Wciąż się uśmiechała, ale Mike wyczuwał w tym uśmiechu odrobinę napięcia. Coś w Kerrigan działało porucznik na nerwy.

– Z Uniwersytetu na Chau Sarze – odpowiedziała Kerrigan, patrząc uważnie na oficera. – Należę do zespołu socjologicznego przebywającego tutaj, gdy nastąpił atak.

– To wygodna historyjka – powiedziała Swallow – szczególnie zważywszy na fakt, że nikt nie może jej teraz potwierdzić.

– Przykro mi z powodu twojej planety – wtrącił się Mike. Zamierzał tylko stępić niedopowiedziane oskarżenia Swallow, ale po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że naprawdę było mu przykro z powodu zniszczenia, jakie widział z orbity. Był także zażenowany, ponieważ nie pomyślał o tym wcześniej.

Rudowłosa skierowała swą uwagę z powrotem na reportera.

– Wiem – powiedziała po prostu. – Czuję twój smutek.

– I co pani tutaj robi, miss Kerrigan? – Swallow była ostrą niczym ulubiony nóż do papieru Andersona.

– To samo, co wszyscy inni, kapralu... – odpowiedziała Kerrigan.

– Poruczniku, ma'am – przerwała Swallow jeszcze ostrzej.

Kerrigan uśmiechnęła się rozbawiona.

– Wobec tego poruczniku. Próbuje dowiedzieć się, co jest grane. Czy istnieje plan ewakuacji, czy też konfederaci traktują ludzi niczym pionki w swojej grze?

– Co to ma znaczyć? – wybuchła Swallow, lecz Mike szybko przeformułował pytanie.

– Czy masz wrażenie, że z ewakuacją jest coś nie tak?

Kerrigan parsknęła śmiechem.

– Czy to nie oczywiste? Setki ludzi wypędzono z miast i umieszczono na pustkowiu.

– Miasta nie nadają się do obrony – zauważyła Swallow.

– A ta głusza się nadaje? – odcięła się Kerrigan. – Wygląda na to, że Konfederacja myli działanie z robieniem postępów. Są szczęśliwi, przemieszczając uchodźców jak warcaby na planszy bez żadnego prawdziwego planu ewakuacji.

– Domyślałam się, że takie plany są opracowywane – powiedział Mike uspokajająco.

– Też czytałam oficjalne raporty – odrzekła Kerrigan. – I oboje wiemy, ile jest w nich prawdy. Tak naprawdę to Konfederacja Człowieka goni własny ogon, przemieszczając ludzi z nadzieją, że zdążą się przygotować.

– Na co przygotować?

– Na następny atak – sucho odpowiedziała Kerrigan. – Przygotować na niekorzystny obrót spraw.

– Ma'am – powiedziała Swallow – muszę powiedzieć, że Konfederacja robi wszystko, co w ludzkiej mocy, aby pomóc ludziom na Mar Sarze.

– Robią wszystko, co w ludzkiej mocy, by chronić samych siebie, żołnierzu – zareagowała ostro Kerrigan. – Konfederacja zawsze miała gdzieś wszystko poza granicami własnej biurokracji, a w szczególności zawsze miała gdzieś swoich obywateli, a już najbardziej obywateli nie będących mieszkańcami Tarsonis.

– Ma'am, muszę panią powiadomić... – zaczęła Swallow z uśmiechem kruchym jak szkło.

– To ja muszę powiadomić *panią*, że historia Konfederacji potwierdza to, co powiedziałam, zupełnie jak jej obecne działania. Władze mają zamiar spisać system Sary na straty, tak samo jak to zrobiły z koloniami w wojnach Gildii i z Korhalem.

– Ma'am – powiedziała Swallow – muszę panią ostrzec, że jest pani w strefie wojskowej i takie niebezpieczne stwierdzenia będą odpowiednio potraktowane. – Mike spostrzegł, że ręka porucznik Swallow zmierza w kierunku rękojeści miotacza.

– Nie, poruczniku – odpowiedziała Kerrigan z roziskrzonymi oczami. – To ja muszę ostrzec *panią*. Konfederacja prowadzi was do rzeźni i spostrzeżecie to dopiero, gdy zobaczycie noże.

Swallow poczerwieniała.

– Proszę mnie nie zmuszać do zrobienia czegoś, czego będzie pani później żałować,

ma'am.

– Do niczego pani nie *zmuszam* – syknęła Kerrigan. – To te skurczybyki z Konfederacji *zmuszają* ludzi do robienia różnych rzeczy. Sięgają do twojego wnętrza i manipulują dopóty, dopóki nie staniesz się marionetką w ich rękach! Pytanie brzmi: Czy zamierzasz postępować zgodnie z tym, jak cię zaprogramowali, czy nie?

Mike odsunął się do tyłu, nagle zrozumiał, że te dwie kobiety mają zamiar zacząć bójkę. Rozejrzył się, ale reszta obozu nie zwróciła uwagi na ich zachowanie.

Dwie kobiety stały mierząc się wzrokiem przez dłuższą chwilę. W końcu porucznik Swallow zamrugła, dała krok w tył i odsunęła dłoń od kabury.

– *Muszę* panią zapewnić, ma'am – powiedziała porucznik Swallow, teraz śmiertelnie blada – że jest pani w błędzie. Konfederacja myśli wyłącznie o swoich obywatelach.

– Jak mus to mus – powiedziała Kerrigan, wyraźnie oddzielając słowa. – Czy jest coś jeszcze, czy też mogę ponownie zagłębić się w iluzoryczną wolność?

– Nie, ma'am. Może pani odejść. Przepraszam za zakłócenie spokoju.

– Nic nie szkodzi. – Przeszywające zielone oczy Kerrigan zmiękły na chwilę. Obróciła się do Mike'a.

– W odpowiedzi na twoje następne pytanie, część rozwiązania znajdziesz w osadzie Anthem Base. To około trzech klików na zachód. Ale nie idź tam sam – mówiąc to, zerknęła na porucznik.

W chwilę później już jej nie było. Przeszła przez obozowisko i szybko zniknęła pośród namiotów.

– Ta kobieta była w dużym stresie – rzuciła Swallow przez zaciśnięte zęby. Sięgnęła ręką i wyciągnęła stimpack z za pasa.

– Oczywiście – zgodził się Mike.

– Czy to nie zdumiewające, że ludzie obwiniają nas o swoje problemy? – kontynuowała porucznik, przyciskając pojemnik do guzka na karku. Stimpack zasyczał lekko.

– Jasne.

– A to nie jest dobre miejsce ani czas na jakiegokolwiek incydenty.

Kolor stopniowo powrócił na jej twarz i zaczęła oddychać regularnie.

– No właśnie.

– I lepiej byłoby, gdyby to pominąć milczeniem w relacji – powiedziała stanowczo.

Mike pomyślał o wcześniejszym hobby Swallow.

– Oczywiście – odrzekł.

– Powinniśmy już ruszać. – Porucznik Emily Jameson Swallow odwróciła się w kierunku jeepa.

– Aha – odpowiedział Mike, gładząc się po brodzie i spoglądając w kierunku, w którym zniknęła Kerrigan. Chciał pobiec za nią, ale uświadomił sobie, że i tak by jej nie znalazł, chyba że chciałaby być znaleziona. Chciał ją zapytać o wiele rzeczy.

Szczególnie o to, skąd wiedziała, jakie było jego następne pytanie.

Miał zamiar zapytać ją o zmutowane istoty. *To* było pytanie, jakie zamierzał zadać. Kerrigan mogła się tego dowiedzieć, rozmawiając z tymi ludźmi co on.

Albo coś innego pozwoliło jej zgadnąć, o czym wtedy myślał.

Cokolwiek to było, podążając za porucznik Swallow, postanowił nigdy nie zagrać w karty z Sarah Kerrigan.

Rozdział 5

Anthem Base

Natura nie znosi próżni, a ludzka natura braku informacji. Jeżeli czegoś nie możemy znaleźć, dalej szukamy. Czasami po prostu to wymyślamy.

Tak było w przypadku systemu Sary. Z celową ignorancją wyruszyliśmy w głąb planety, szukając odpowiedzi – odpowiedzi, których, jak się wkrótce okazało, wcale nie chcieliśmy znaleźć.

Byliśmy głupi, zakładając, że jest to właściwe. Byliśmy głupi, wyruszając tam na wpeł przygotowani. Byliśmy głupi, zmierzając tam nieuzbrojeni. Byliśmy głupi, myśląc, że rozumiemy, co nas tam czeka.

A najbardziej głupi byliśmy, sądząc, że Protossi byli pierwszą obcą rasą, jaką spotkała ludzkość.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Porucznik Swallow potrzebowała lekkiej zachęty, aby zboczyć z drogi i pojechać do Anthem Base. Powiedział jej to, co usłyszał w obozie od innych uchodźców, ale opisał to neutralnymi słowami, aby jej bardziej nie denerwować.

Cały czas jednak Swallow była mocno wstrząśnięta rozmową z Kerrigan i teraz milcząco prowadziła bocznymi drogami, znajdującymi się poza obszarem obozu. Stimpack pozwolił jej uzyskać kontrolę nad gniewem, ale nie wyeliminował go całkowicie.

Tumany kurzy wznosiły się ich śladem i Michael Liberty był pewny, że mieszkańcy Anthem spodziewają się ich przybycia.

Kiedy tam dojechali, miasteczko było puste.

– Wygląda na to, że też zostali ewakuowani – powiedział Mike, wysiadając z pojazdu.

Porucznik Swallow jedynie mruknęła i udała się na tył samochodu. Otworzywszy schowek, wyjęła impalera.

– Chce pan, sir? – zapytała.

Mike pokręcił głową.

– Może chociaż pistolet?

Ponownie pokręcił głową i poszedł w kierunku najbliższego budynku.

Było to miasto górnicze, nic poza tuzinem budynków z miejscowego drewna i prefabrykowanych konstrukcji. Było niczym miasto duchów. Żadnego bydła, psów, nawet ptaków.

Dlaczego więc, zastanawiał się Mike, miał wrażenie, że jest obserwowany?

W pierwszym budynku był punkt skupu kryształu. Drewniana podłoga, a na tyłach kwatery. Pomieszczenia wyglądały tak, jak gdyby ich użytkownicy dopiero co wyszli. Błękitne kryształy wciąż spoczywały na wagach u szczytu lady.

Mike wszedł do środka. Swallow ociągała się przy drzwiach, z ogromną bronią w gotowości. W powietrzu unosił się gryzący zapach.

– Ewakuowali się – powiedziała. – Powinniśmy zrobić to samo.

Mike podniósł dzbanek do kawy. Czajnik wygotował się zupełnie, pozostawiając w środku wyschniętą breję. Był ciepły w dotyku.

– Jest wciąż włączony – zauważył, wyciągając wtyczkę.

– Wynosili się stąd w pośpiechu – stwierdziła Swallow, a w jej głosie pobrzmiwały nutki zniecierpliwienia. – Mówił pan, że uchodźcy skarżyli się, że musieli odjeżdżać w pośpiechu.

Mike przeszedł za ladę i otworzył szufladę.

– Tu wciąż są pieniądze. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić kasjera zostawiającego gotówkę. Lub marines nie pozwalających mu na jej zabranie. Dziwne.

Zniknął w pokoju na zapleczu. Swallow krzyknęła za nim.

– Czyjeś kwatery. Wygląda na to, że była tu jakaś awantura – odpowiedział.

– Przymusowa ewakuacja – rzekła Swallow, spoglądając twardo na Mike'a. – Prawdopodobnie wyciągnęli go, zanim miał szansę zamknąć interes.

Mike przytaknął.

– Chodźmy sprawdzić pozostałe budynki. Pani weźmie jedną stronę, a ja drugą.

Porucznik Swallow wzięła głęboki oddech.

– Jak pan sobie życzy, sir. Ale proszę nie wchodzić do środka, tak żebym mogła pana widzieć.

Mike przeszedł przez ulicę w kierunku drugiego rzędu budynków. Świeży podmuch pognał kłęby kurzu wzdłuż głównej ulicy Anthem. Miejsce było kompletnie opuszczone zarówno przez ludzi, jak i zwierzęta.

Dlaczego więc, zastanawiał się Mike, wciąż miał na karku gęsią skórę?

Naprzeciwko punktu skupu stało kilka budynków mieszkalnych. Podobnie jak punkt wyglądały na niedawno opuszczone. W jednym był nadal włączony, bezgłośnie migający ekran wideo, który pokazywał jakieś wiadomości. Obraz przedstawiał krążownik, podpisany *Norad II*, niestrudzenie przemierzający przestrzeń kosmiczną.

W następnym była przewrócona puszka piwa obok bujanego fotela przed wideo. Mike zmiarkował, że bezwiednie szuka pozostawionych papierosów. Bez rezultatu.

Trzeci budynek był pawilonem handlowym i wyglądał na splądrowany. Pojemniki były przewrócone, a towary zrzucone z półek i rozwleczone po podłodze. Duża, szklana gablota na broń znajdująca się za kasą była rozbita. Broń zniknęła.

Może Kerrigan chciała, żebym znalazł właśnie to, pomyślał Michael. Oznaki zbrojnego oporu. Przeciwno ewakuacji? A może przeciwko Protossom?

Mike spojrzał przez ramię, żeby zobaczyć Swallow zmierzającą do dwupiętrowej tawerny po drugiej stronie ulicy. Dał krok do wnętrza sklepu i wdepnął w coś chrzęszczącego. Podłoga była pokryta jakimś rodzajem pleśni lub grzyba. Była to ciemnoszara substancja, z trzeszczącą, ale lekko elastyczną powierzchnią. Przebiegały przez nią ciemniejsze nitki ułożone na kształt pajęczej sieci, niemal niczym tętnice.

Coś tu się wylało, a jakiś rodzaj miejscowego grzyba szybko to wykorzystał. Bardzo szybko, pomyślał, to nie mogło się zdarzyć dalej niż dwa dni temu.

W tym miejscu było jeszcze coś innego, co zainteresowało Mike'a. Usłyszał jakiś szeleszczący dźwięk z tyłu pawilonu, odgłos przesuwania czegoś po drewnianej podłodze. Dźwięk zabrzmiał raz, a potem nastąpiła cisza.

Dziki zwierzę? – zastanawiał się Mike. Wąż? A może uchodźca, który uciekł przed ewakuacją lub już z ewakuacji. Mike zrobił następny krok do wewnątrz pomieszczenia. Pleśń chrzęściła mu pod butami.

Nagle doskonale zdał sobie sprawę, że nie ma broni.

Swallow krzyknęła z drugiej strony ulicy. Mike obrzucił spojrzeniem drzwi na tyłach pomieszczenia i cofnął się w kierunku Swallow. Wycofał się ze sklepu i przeszedł przez ulicę do baru. Swallow stała przyciśnięta do ściany obok drzwi.

– Wydaje mi się, że w sklepie coś jest – powiedział Mike.

– Znalazłam mieszkańców – syknęła Swallow. Żyły pulsowały wzdłuż blizn na jej karku i buzowały na skroniach, a oczy miała szeroko otwarte. Była przerażona, a strach wżerał się w jej programowanie resocjalizacyjne. Po zużytych opakowaniu leżącym na deskach ganku można było poznać, że znowu użyła stimpacka.

Mimowolnie Mike spojrzał przez otwarte drzwi do baru.

Został on zmieniony w rzeźnię. Ci, którzy kiedyś byli ludźmi, zwisali do góry nogami z grubych lin przymocowanych do sufitu. Wielu było pozbawionych ubrań i skóry. Inni nie mieli kończyn, a trzech nie miało głowy. Trzy czaszki stały wzdłuż baru z odciętymi wierzchami, tak aby odsłonić mózgi. Jeden z mózgów był przez coś obgryziony.

Podczas gdy tak patrzył, coś na podobieństwo gigantycznego wiją siadło na jednym z ciał. Wyglądało to jak ogromna, rdzawa larwa muchy. I żywiło się mięsem.

Mike nagle zaczął mieć kłopoty z oddychaniem i zapragnął użyć stimpacka. Dał krok do wewnątrz pomieszczenia. Jego stopy zachrzęściły na trzeszczącej pleśni pokrywającej podłogę. I zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

Poczuł czyjąś obecność, zanim to zobaczył. Uczucie byciem obserwowanym powróciło.

Zaczął się cofać z powrotem przez drzwi. Zaczął się obracać. Zaczął coś mówić do Swallow.

Coś zamazanego wyskoczyło zza baru, w jednym niemożliwym skoku zmierzając do drzwi. Nie trafiło Mike'a. Zamiast tego coś większego odepchnęło go w bok.

Mike z hukiem upadł na deski ganku i obróciwszy się, zobaczył porucznik Swallow, która właśnie strzelała do dużego psa na ulicy. Nie, to nie był pies. Miało cztery nogi, ale podobieństwo na tym się kończyło. Powierzchnie pomarańczowego mięsa z prześwitującymi mięśniami były pozbawione skóry. Głowa była ozdobiona parą wielkich kłów wystających z górnej szczęki.

Stwór był pod gradem metalowych pocisków z karabinu. Ponaddzwiękowe kule poszatkowały go w tuzinie miejsc, padł na ziemię, ale Swallow wciąż miała palec zaciśnięty na spuście.

– Swallow! – krzyknął Mike. – To nie żyje! Poruczniku Swallow, wstrzymać ogień!

Swallow puściła spust, jak gdyby to był żywy wąż. Pot spływał jej strugami po twarzy, piana zebrała się w kąciakach ust. Oddychała ciężko, a jej wolna ręka instynktownie sięgnęła po nóż.

Mike zrozumiał, że jej resocjalizacja została nadwerężona do granic możliwości i że kobieta zaraz może nie wytrzymać.

– Matko Boska – powiedziała – co *to* jest?!

Mike nie zwrócił uwagi na jej pytanie.

– Z powrotem do jeepa! – krzyknął zamiast tego. – Przyślemy tu uzbrojone oddziały! No dalej!

Zrobił dwa kroki i zauważył, że Swallow wciąż stoi na progu, gapiąc się na skórzastą psopodobną istotę na ulicy.

– Poruczniku! To rozkaz, do cholery! – ryknął Mike.

To poskutkowało. Istotą resocjalizacji było to, że sprawiała, że poddani jej ludzie byli posłuszni rozkazom, szczególnie pod działaniem stymulantów. Swallow nagle odzyskała kontrolę i pośpieszyła do jeepa, wyprzedzając Mike'a. Coś ruszyło za nimi z pawilonu. Więcej pso-stworów wybiegało przez drzwi. Mike zdał sobie sprawę, że mogą oddawać kolosalne skoki i dosłownie wskoczyć im na plecy w czasie ucieczki.

Pso-stwory nie zaatakowały. Zamiast tego pozwoliły im niemal dobiec do jeepa, kiedy nagle *coś innego* pojawiło się za pojazdem.

Dla Mike'a wyglądało to jak wąż, kobra szykująca się do ataku. Wąż z opancerzoną głową rozszerzającą się w tyle w szeroki kołnierz z chitynopodobnej kości niczym u prehistorycznej jaszczurki. Wąż miał dwa ramiona wystające z ciała po bokach, ramiona kończące się paskudnie wyglądającymi ostrzami.

Ostrzami, które teraz zagłębiły się w bagażniku jeepa, przyszpilając samochód do ziemi. Wężowy stwór wydał syczący dźwięk zwycięstwa.

Swallow zaklęła.

– Otoczyli nas!

Mike złapał ją za rękaw.

– Punkt skupu. Ma tylko jedno wejście! Idziemy tam! Skierował się w tamtą stronę, porucznik podążała zaraz za nim. Za sobą usłyszał kolejne salwy i wrzaski pso-stworów. Swallow szła tyłem, strzelając, osłaniając ich w czasie ucieczki.

Zatrzymał się w drzwiach i szybko sprawdził pokój spojrzeniem. Nic się nie zmieniło, odkąd był tu kilka chwil wcześniej. Pobiegł do lady i wrócił z prymitywną strzelbą. Złamał ją i zobaczył, że obie komory są naładowane.

Jasne, skup był pusty, bo właściciela gdzieś wezwano. Albo wywleczono.

Swallow stała w przejściu, strzelając seriami. Słysząc było następne nieludzkie okrzyki, potem zapadła cisza.

Wyjrzał przez drzwi i zobaczył pół tuzina ciał na ulicy, same pso-stwory. Teraz jeszcze mniej przypominały zwykłe zwierzęta. Nieporanione fragmenty ich ciał były pokryte krostami i zwojami mięśni. Jednemu z nich wciąż drgała kończyna, leżąca w kałuży mazi, która mogła być krwią.

Po wężo-stworze z ostrzami nie pozostał żaden ślad. Z jeepa pozostała kupa metalu na końcu ulicy, a wyciekające paliwo pobrudziło piasek.

– To te istoty zniszczyły Chau Sarę? – Swallow wyszczała pytanie zduszonym głosem. Jej oczy były praktycznie białymi kulkami.

Mike potrząsnął głową. Istoty, jakie widział w kosmosie, miały w sobie przerażające piękno. Były srebrno-złote i wyglądały na zrobione ze światła i samej mocy. Te tutaj były tylko mięśniami, krwią i szaleństwem. Sam ich widok mógł sprawiać ból.

– O Jezu, gdzie jest ten duży? – załkała Swallow.

Mike przełknął kurz i strach.

– Musimy się stąd wydostać, zanim się przegrupują. Swallow odwróciła się do niego, spanikowana, z szeroko otwartymi oczami.

– Wydostać się stąd? Dopiero co się tu dostaliśmy.

– Zamierzają się przegrupować i spróbować ponownie.

– To zwierzęta – warknęła, a lufa jej strzelby zaczęła się powoli kierować na Mike'a. – Zastrzel kilka, a reszta ucieknie.

– Wątpię. Zwierzęta nie wieszają swoich zdobyczy. Nie potrzebują trofeów.

Swallow wydała z siebie krótki i stłumiony jęk i cofnęła się do środka.

– Nie mów tak.

– Swallow. Emily, ja...

– Nie mów tak – powiedziała, wciąż się cofając. – Nie mów, że są inteligentne, bo jeśli są, to wiedzą, że jesteśmy w pułapce, i wiedzą, że mogą z nami zrobić, co im się żywnie podoba. Do cholery, mamy przesr...

Zrobiła kolejny krok do tyłu, gdy nagle podłoga załamała się pod nią. Wydała z siebie zduszony krzyk, a impaler wysunął się z jej rąk, gdy pod jej stopami otworzyła się rozpadlina.

Z głębi jamy dochodził groźny szmer.

Swallow, zgięta wpół, próbowała złapać deski podłogowe, żeby powstrzymać swój spadek. Szmer przybierał na sile.

Mike rzucił się do przodu, niemalże opuszczając własną broń.

– Emily, złap mnie za rękę!

– Liberty, uciekaj stąd! – wrzasnęła Swallow z oczami zakrytymi bielmem strachu. Wolną dłonią złapała nóż.

– O Boże, są dokładnie pod nami.

– Emily, złap mnie za rękę!

– Ktoś z nas musi wrócić – powiedziała, wyciągając nóż z pochwy i tnąc coś niewidocznego w dole otchłani. – Zaatakują nas także z góry! Zabieraj się stąd! Dotrzyj do obozu! Ostrzeż ludzi!

– Nie mogę...

– Ruszaj! To rozkaz, do cholery! – Swallow wrzeszczała, a resztki jej resocjalizacji pękały pod wpływem ataku stworów. Wydała z siebie ostatni krzyk i zaczęła zsuwać się w dół, wciąż ściskając nóż.

Mike odwrócił się do drzwi i spostrzegł tam jakiś cień. Bez namysłu pociągnął za oba spusty i został obryzganý posoką eksplodującego stworzenia.

Potem pobiegł. Biegł bez oglądania się do tyłu, wyrzuciwszy po drodze bezużyteczną strzelbę. Do jeepa. Porucznik Swallow wyciągnęła strzelbę ze schowka z tyłu samochodu. Jemu też proponowała. Musi tam wciąż być. Inna broń też.

Prawie mu się udało, gdy nagle pod jeepem eksplodowała ziemia.

Wężopodobny stwór z opancerzoną głową i ostrzami wystającymi z ramion już tam na niego czekał.

Mike rozplaszczony na ziemi przez wybuch szybko zaczął pełznąć w tył, byle dalej od wężowatego stworzenia. Patrzyły na niego żółte i błyszczące oczy stwora, osadzone głęboko pod ochronnym pancerzem.

W oczach tych odbijała się inteligencja i głód, ale nic, co przypominałoby duszę.

Potwór stanął na ogonie, górując nad zgruchotanym jeepem, gotowy do skoku. Mike zasłonił twarz ramieniem i krzyknął.

Jego wrzaski zostały zagłuszone przez odgłos szybkostrzelnego karabinu na pełnej szybkości.

Mike spojrział w górę i zobaczył wielką maszkarę skręcającą się i dygocącą pod niekończącą się salwą pocisków. Wijąc się strzelała kolcami, które wylatywały z jej opancerzonego ciała i przeszywały pobliski grunt niczym śmiercionośny deszcz.

Jeden z pocisków dotarł do znajdującego się w jeepie paliwa i cały pojazd stanął w

plamieniach, pochłaniając także węzo-stwora. Wywrzaskiwał on coś, co mogło być przekleństwem albo wołaniem do nieznanego boga.

Eksplozja przycisnęła Mike'a z powrotem do ziemi, a ognisty podmuch opalił nieosłoniętą twarz i ramiona. Spojrzał na ulicę. Po pso-stworach nie było śladu. Pozostały jedynie ciała.

Usłyszał dźwięk dochodzący zza pleców i obrócił się w miejscu, nie podnosząc się z ziemi. Spodziewał się kolejnych stworów, ale wiedział, że się pomylił, jeszcze w trakcie obracania się. To był dźwięk obutych stóp, a nie szponiastych łap.

Zwalista, na szczęście ludzka sylwetka zasłaniała światło słońca. Barczysta z ciężkim miotaczem pocisków wystającym z olstra nisko na biodrze.

Oszołomiony Mike początkowo myślał, że cień należy do kogoś z oddziału Swallow, że porucznik zdołała w jakiś sposób wezwać posiłki, kiedy się rozdzielili.

Gdy przyjrzał się dokładniej, zauważył, że postać nie nosiła munduru marines. Spodnie człowieka były z króliczej skóry, znoszone i wytarte. Nosił dzinsową koszulę, czystą, lecz wyblakłą, z podciągniętymi rękawami. Lekka kamizelka wojskowa, zrobiona z jakiegoś skórzanego materiału, sugerowała, że należy do jakiegoś rodzaju wojska. Również używany przez niego impaler na to wskazywał. Buty były dobrego gatunku, ale znoszone, podobnie jak reszta garderoby.

– Wszystko w porządku, synu?

Postać wyciągnęła rękę.

Mike schwycił ją i spokojnie stanął na nogi. Czuł się jak jeden wielki siniak, a głos wydawał mu się być odległy i metaliczny.

– Tak. Żyję – wykrztusił. – Nie jesteś z marines.

Teraz mógł dostrzec twarz wybawcy. Głowę zdobiły piaskowe blond włosy, starannie przystrzyżone wąsy i broda. Postać splunęła w kurz.

– Nie z marines? Zgaduję, że powinienem to potraktować jako komplement. Reprezentuję miejscowe prawo na tych terenach. Strażnik Jim Raynor.

– Michael Liberty. UNN, Tarsonis.

– Dziennikarz? – zapytał Raynor.

Mike przytaknął.

– Znalazłeś się daleko od domu, co?

– Taa. Przygotowujemy reportaż... O Boże.

– Co?

– Swallow! Porucznik! Zostawiłem ją w punkcie skupu! – Mike zataczając się, ruszył w kierunku budynku. Stróż prawa podążył za nim, trzymając się blisko i z bronią w pogotowiu. Na skutek wybuchu nie było widać żadnych pso-stworów.

Mike znalazł porucznik Swallow leżącą twarzą do dołu, wciąż do połowy tkwiącą w jamie, z jedną ręką zaciśniętą na rękojeści noża, a z drugą zaciśniętą luźno na desce z podłogi.

Strażnik obejrzał pomieszczenie.

– Synu – powiedział. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

– Pomóż mi z nią – powiedział Mike, łapiąc Swallow za rękę, w której trzymała nóż. – Możemy ją podnieść i... O Boże.

Porucznik Emily Swallow poniżej pasa nie istniała. Jej ciało kończyło się postrzępionymi nitkami mięsa, a kilka kręgów wisiało z rozerwanego kręgosłupa niczym koraliki z zerwanego naszyjnika.

– O Boże. – Mike puścił ciało. Ześlizgnęło się z powrotem do jamy z obrzydliwym ciamkaniem. Usłyszeli głuchy odgłos spadającego ciała i dźwięki wydawane przez coś innego poruszającego się na dole.

Mike upadł na kolana, pochylił w przód i z wymiotował. Potem drugi raz i trzeci, aż dotąd, dopóki nie dostał suchych torsji. Kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że coś wysssało mu całą krew z mózgu.

– Nie chciałbym przeszkadzać – powiedział Raynor – ale sądzę, że musimy ruszać. Myślę, że sprzątnąłem jednego z ich oficerów. Mianowicie kapitana, jeśli chcesz znać moje zdanie. Przegrupowują się. Lepiej chodźmy. Na zewnątrz mam pojazd. Przerwał na chwilę, a później dodał – Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki.

– Taa. – Mike w końcu złapał powietrze. – Mnie też.

Rozdział 6

Robale

Wojna jest tak łatwa do ogarnięcia na papierze. Wydaje się tak odległa i akademicko czarno-biała. Nawet przekazy wideo mają chłodny, bezstronny charakter, który nie pozwala odbiorcy na zrozumienie, jaka jest okropna prawda.

To nic innego jak mechanizm ochronny, pozwalający odbierającym informacje oddzielić relacje i liczby od strasznej rzeczywistości. To dlatego przywódcy armii mogą uczynić swoim oddziałom wszystkie rodzaje okrucieństw, o jakich nie pomyślałby żaden zdrowy na umyśle człowiek, nawet jeśli spojrzalby owym dowódcom w twarz. Dlatego zresztą nie ma takiej możliwości.

Ale kiedy patrzysz w oczy śmierci, kiedy musisz zdecydować, czy zadawać śmierć, czy samemu zginąć, to wszystko się zmienia.

Klapki z oczu spadają i musisz stawić czoła nedorzeczności.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

– Nazywają je Zergami – powiedział strażnik Raynor, wsiadając na swój powietrzny jednoślad. – Te mniejsze to zerglingi. Ten wężowy, którego wysadziliśmy w powietrze, jest nazywany hydraliskiem. Przypuszcza się, że są mądrzejsze niż te małe.

Mike wciąż miał w ustach smak, jakby płukał je wodą z kałuży, ale mimo tego zmusił się do ich otworzenia.

– Kto nazywał te stwory? Kto mianował je Zergami? – zapytał.

– Marines – odpowiedział Raynor. – To od nich znam te nazwy.

– Czy wspominali też o czymś nazywanym Protossami?

– Taa – przytaknął Raynor, zapinając pasy reportera. – Mają świetliste statki i rozwalili Chau Sarę. Jak rozumiem, mogą też przylecieć tutaj. To dlatego wszyscy martwią się o życie.

– Czy jedni i drudzy są tym samym?

– Nie mam pojęcia. A ty?

Mike wzruszył ramionami.

– Widziałem ich statki nad Chau Sara. Byłbym zdumiony, dowiedziawszy się, że te...

rzeczy... nimi kierowały. Może są sojusznikami? Może niewolnikami?

– Możliwe. To lepsze niż alternatywa.

– To znaczy?

– To, że mogą być wrogami – powiedział przedstawiciel prawa, odpalając silnik pojazdu.

– To byłoby katastrofalne dla kogoś znajdującego się między nimi.

Okrążyli martwą miejscowość Anthem Base po raz ostatni. Liberty nagrywał zniszczenia na swoim urządzeniu komunikacyjnym, podczas gdy Raynor odpalał granaty rozpryskowe, celując w drewniane budowle. Zostawili za sobą słup dymu.

Raynor wyjaśnił, że przeprowadzał zwiad dla grupy uchodźców. Ludzi z miejscowego rządu. Znajdowali się parę klików dalej w miejscu nazywanym Backwater Station.

– Jeden z obozów dla ewakuowanych znajduje się trzy kliki wcześniej w tamtą stronę – Mike pokazał w tył. – Nie zmierzasz w tamtym kierunku?

– Nie. Otrzymałem raport o kłopotach w Backwater i teraz lecimy to sprawdzić.

– Nie było tam wzmianki o obozie?

– Nie. Oczywiście wygląda *na to*, że Konfederacja chce, żeby mieszkańcy biegali w kółko niczym kurczaki z odciętymi głowami.

– Ktoś już mi to powiedział chwilę przed tym, jak tu przyjechaliśmy.

– Ktokolwiek ci to powiedział – rzekł Raynor z aprobatą – miał głowę na karku.

Lecieli gładko nad nierównym terenem. Raynor zmieniał kurs tylko po to, aby ominąć większe przeszkody. Powietrzny jednoślad Vulture był szerokonosym motorem, wyposażonym w technologię ograniczonej antygravitacji, która pozwalała mu unosić się około metra nad powierzchnią. Komputer pokładowy i czujniki na nosie utrzymywały go w równym locie, ignorując mniejsze głązy i krzaki.

Zapięty w pasy z tyłu Mike pomyślał, *muszę sobie taki załatwić... i przyzwoity kombinezon bojowy*. Znowu wspomniał o porucznik Swallow i zastanawiał się, jak by się jej powiodło, gdyby nosiła swój ochronny kokon z neostali.

W przeciągu godziny dotarli do uchodźców Raynora. Strażnik miał rację – to szczególne zbiorowisko stanowili ludzie z miejscowego rządu, przezornie wysłani w dżic z polecenia marines. Mike mógł sobie wyobrazić radość pułkownika Duke'a, z jaką wydał *ten* właśnie rozkaz. Marsz został przerwany, a Raynor zaczął jednego ze strażników na tyle.

– Coś przed nami, czego się nie spodziewaliśmy – powiedział żołnierz z jednego z oddziałów kolonialnych, ubrany w kombinezon CMC-300. – Wygląda jak stare stanowisko dowodzenia.

– Jedno z naszych? – zapytał Raynor.

– Coś jakby. Nie ma go na żadnych mapach. Wysłaliśmy resztę zwiadowców, żeby to sprawdzili.

Raynor obrócił się w fotelu.

– Chcesz się stąd wydostać? – zapytał Mike'a.

– Najchętniej z planety – powiedział Mike – ale jak długo tu jestem, chcę rzucić na to okiem. To moja praca. Obowiązek.

Pomyślał o Anthem Base i nagle zupełnie stracił zaufanie do starych budynków.

Raynor chrząknął na zgodę i pognął do przodu. Przelecieli przez wierzchołek niskiego wzgórza i pod drugiej stronie znaleźli placówkę.

Mike wiedział, czego spodziewać się po takich stanowiskach. Były wszechobecne, nawet na Tarsonis. Kopuły wypełnione czujnikami i komputerami były tylko trochę więcej niż małymi, automatycznymi fabryczkami, produkującymi roboty budowlane pracujące w kopalniach i nie miały zbyt wiele obsługi ani możliwości obrony. Jakiś genialny konstruktor wyposażył je kiedyś w silniki rakietowe umieszczone na spodzie, aby przenosić je tam, gdzie to konieczne. Niestety takie przenosiny wymagały wyłączenia wszystkich systemów.

Ta baza była jednak inna. Wyglądała na nieco wgniecioną z jednego boku. Nieuszkodzoną z zewnątrz, ale raczej skurczoną do środka, jak jabłko, które zbyt długo leżało na słońcu. Ściany porośnięte były płataniną pnączy i dzikiej róży. Kolonialne oddziały, miejscowi żołnierze w sfatygowanych zielonych pancerzach, zbliżyły się ostrożnie, tworząc półkole naprzeciwko bazy.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – ocenił Raynor. – Wszystko zarośnięte i w ogóle. Wygląda tak źle, że musiała się tu znaleźć jeszcze przed założeniem kolonii.

Mike spojrzał na ziemię wokół podstawy bazy.

– Spójrz tam – pokazał.

– Co?

– Ziemia. Jest na niej ta sama pełzająca masa. Znaleźliśmy to w Anthem przed atakiem Zergów.

– Myślisz, że to ma jakiś związek?

– Tak. – Mike pokiwał głową.

– Dla mnie to wystarczy – powiedział strażnik, włączając mikrofon pojazdu. – Chłopcy, ten budynek został zaatakowany przez Zergi. No dalej! Dajmy im popalić!

Mike włączył swój komunikator i powiedział – Powiedz im, żeby uważali na zerglingi. Lubią zakopywać się w ziemi.

Nie musiał dawać ostrzeżenia. Ziemia przed bazą rozwarła się i wypluła z siebie grupkę psopodobnych stworów. Oddziały kolonialne były przygotowane i skoszono je, gdy tylko się pojawiły. Zerglingi nie miały szans i po pierwszych salwach zostały starte na miazgę. Po rozprawieniu się z początkowym zagrożeniem lokalna milicja odpaliła pociski zapalające, celując w środek bazy. Budynek stanął w płomieniach.

Raynor pozostał w pojeździe, odpalając z pękatej wyrzutni granaty odłamkowe, dopóki dach nie pękł niczym stłuczona skorupka jajka. Mike mógł zajrzeć do wnętrza. Cały budynek był niczym więcej jak kłębowiskiem zakażonych pnączy, mieniących się pomarańczowo, zielono i fioletowo. Worki brudnego proto-*czegoś* wisiały wzdłuż jednej ze ścian. Gdy

dosięgał je ogień, wydobywał się z nich wrzask.

– Masz wszystko? – zapytał Raynor, gdy dach zawalił się, grzebiąc pod sobą dymiące relikty zakażenia.

– Taa. – Mike zamknął komunikator. – Teraz potrzebuję podłączyć się gdzieś, żeby sporządzić relację.

– Mówiłem ci – Raynor uśmiechnął się – ci uchodźcy to ludzie z rządu. Jeśli ktoś ma przyzwoity system łączności, to właśnie oni.

Strażnik Raynor miał rację. Uchodźcy mieli bardziej niż przyzwoity system łączności. Niestety gdy Mike się podłączył, stało się jasne, że system miał ogólnoświatowe problemy. W sieci były wyraźne dziury i wysoki poziom zakłóceń w tle. Tak jak uprawy, sieć komunikacyjna została dobitnie zaniedbana, co spowodowało natychmiastowe konsekwencje.

Sklecił wiadomość najlepiej jak umiał, zastanawiając się, co wytną wojskowi cenzorzy, zanim przekażą ją do UNN, i co zmieni Handy Anderson. Bez względu na to, społeczeństwo i wszyscy do których ta wiadomość dotrze, zanim ludzie ją zobaczą, muszą dowiedzieć się, co się dzieje.

Umieścił w niej materiał z obozu uchodźców, ale pominął sprzeczkę między Swallow a Kerrigan. Szczegółowo opisał wydarzenia w Anthem Base i dołączył film o spaleniu stanowiska dowodzenia. Zakończył uwagę, że stanowisko to nie znajdowało się na żadnych mapach kolonii, pewien, że cenzorzy, jeśli będą chcieli cokolwiek wyciąć, to wytną akurat to zdanie.

Był także przekonany, że przepuszczą obrazki z dzielnymi oddziałami kolonialnymi, rozwalającymi zerglingi. Takie triumfalne akcje zawsze robiły dobre wrażenia na wojskowych cenzorach.

Kiedy raport sączył się przez złącze do ogólnej sieci, Mike oczyścił swój płaszcz z pomarańczowego kurzu. Potem znalazł Raynora w namiocie z mięsem. Piaskowowłosy mężczyzna zaproponował mu kubek kawy. Była to wojskowa klasa B – wygotowana do tężejącej masy i zostawiona do wystygnięcia. Picie tego przypominało picie roztopionego asfaltu.

– Przekazałeś swój reportaż? – zapytał przedstawiciel prawa.

– Aha – odpowiedział Mike. – Pamiętałem nawet, jak się pisze twoje nazwisko.

Zzieleniał trochę.

– Wszystko w porządku? – zapytał Raynor. Zabrzmiało to jak „ystkowporz”.

– Wytrzymam. – Mike wzruszył ramionami. – Pisanie pomaga mi przez to przejść.

– Widziałeś już śmierć, tak?

– Na Tarsonis? – Mike ponownie wzruszył ramionami. – Pewnie. Przypadkowe strzelaniny. Zabójstwa. Potyczki gangów i wypadki samochodowe. Niektóre rzeczy mogłyby rywalizować z tymi ciałami wiszącymi w barze – wziął głęboki oddech – ale przyznaję, nigdy czegoś takiego. Nie to, co stało się z porucznik.

– Taa, to gorsze, kiedy rozmawiasz z ofiarą na chwilę przed tym, jak to się stanie – powiedział Raynor, pociągając kolejny łyk „asfaltu”. – I kiedy to stanie się nagle. I wiesz co, odpowiedź brzmi: nie. To nie była twoja wina.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał Mike, nagle zirytowany. Był zupełnie przekonany, że to on ponosił odpowiedzialność za przybycie Swallow do Anthem i za jej śmierć.

– Wiem to, ponieważ jestem strażnikiem. I dlatego, że nigdy nie widziałem czegoś takiego jak Anthem Base. Byłem w sytuacjach, kiedy niektórzy ludzie przeżyli, a inni umarli. Po wszystkim żyjący czuli się winni, że wciąż żyją.

Mike usiadł na chwilę.

– Co pan poleci, doktorze Raynor?

– Dokładnie to, co robisz – wzruszył ramionami Raynor. – Żyj dalej. Rób to, co musisz. Nie rozklejaj się. Jesteś wytracony z równowagi, ale otrząśniesz się z tego.

– Wiesz co – przytaknął Mike – mówiąc o dalszym życiu, jest jedna rzecz, którą zamierzam zrobić.

– A to jest...?

– Nauczyć się używać kombinezonów bojowych. Przegapiłem okazję, gdy leciałem z flotą, i wciąż tego żałuję. Wygląda na to, że może to być umiejętność na miarę przetrwania.

– Dokładnie tak. – Raynor spojrzał na reportera ponad swoim kubkiem. – Taa, myślę, że mamy wolny pancerz, który by na ciebie pasował. I zostaniemy tu, aż skontaktujemy się z marines. Masz trochę czasu, żeby się nauczyć.

Pół godziny później Mike stał w kombinezonie na zewnątrz mesy. Znalezienie kombinezonu pośród reszty ładunku przywiezionego przez uchodźców zajęło mu dziesięć minut, a jego prawidłowe założenie następnych dwadzieścia. Wiedział, że Swallow mogła się wślizgnąć w swój kombinezon w ciągu trzech minut, najwyżej. *Raczkuj, zanim nauczysz się chodzić*, powiedział sobie Mike.

Pancerz przypominał zasilane kombinezony bojowe używane przez załogę na *Noradzie II*. Był odporny na małokalibrowy ogień, miał ograniczony system podtrzymywania życia (w przeciwieństwie do kombinezonów marines przeznaczonych do wychodzenia w przestrzeń kosmiczną), zawierał także podstawowe środki ochrony przed bronią jądrową, biologiczną i chemiczną. Niemniej jednak był to wcześniejszy model niż te używane przez wojsko, praktycznie zabytek. Lokalne władze najwidoczniej dostawały rzeczy z demobilu od rządu Konfederacji.

Kompletny kombinezon ze zbyt dużymi butami, zawierającymi własne komputery stabilizujące, by trzymać go prosto, sprawił, że Mike stał się o stopę wyższy. Upijał go też trochę w kroku, dopóki Raynor nie pokazał mu dźwigni pozwalającej na podniesienie podpór dla stóp. Kombinezon mógł być uszczelniony i mógł działać przez siedem dni, przetwarzając odchody. Fakt ten sprawił, że Mike poczuł przez chwilę mały dreszczyk emocji.

Ramiona także były zbyt duże, ponieważ zawierały dodatkową amunicję i różne czujniki.

Plecak był wielkim urządzeniem klimatyzacyjnym, odciągającym ciepło z ciała. Bardziej zaawansowane modele miały tłumiki, aby zatrzymać hałas i wydzielanie ciepła, ale to był model zabytkowy, sponiewierany i łatany wiele razy.

Niektóre części były trochę ciasniejsze, owinięte wokół rąk i nóg na podobieństwo szerokich taśm. Inne były luźne i przestrzenne.

– Te ciasniejsze kawałki to część systemu ratunkowego – powiedział Raynor, zapinając Mike’a. – Jeśli otrzymasz cięższe uderzenie w rękę lub nogę, kombinezon zamienia się w opaskę uciskową. Tracisz coś, ale przeżywasz.

– Pod ramionami jest chyba puste miejsce – powiedział Mike.

– Taa, to dodatkowe miejsce dla marines. To tam noszą stimpacki. Nie używamy ich w oddziałach kolonialnych. Zbyt wielu ludzi uzależnia się od narkotyków, jakie zawierają. – Zamknął ostatni zatrzask i kompletnie odciął Mike’a od świata zewnętrznego.

Reporter zakołysał się w przód i tył, czując się jak żółw na szczudłach.

Raynor był w swoim pancerzu wyglądającym na równie zmaltretowany i zużyty. Strażnik skinął głową zza otwartego wizjera.

– Pancerz powstrzyma większość zwykłych pocisków, ale dobry karabin z igłowymi pociskami potrafi go przedziurawić – ostrzegł. – To dlatego większość frontowych oddziałów nosi impalery C-14, karabiny szybkostrzelne strzelające ośmiomilimetroowymi pociskami.

– I co teraz?

– Teraz pójdziesz – powiedział Raynor.

Kilku innych żołnierzy również zaczęło im się przyglądać i szybko przed mesą zaczął się tworzyć mały tłum.

– No idź. – Strażnik ponownie pokiwał głową.

Mike spojrział na wskaźniki na obrzeżu wizjera. Wcześniej, na statku, przeczytał podręcznik i wiedział, że małe światełka oznaczały, że wszystko było w porządku. Dał krok do przodu.

Spodziewał się, że będzie to jak wygrzebywanie się z błota, ponieważ podnosił ogromnie ciężkie buty. Zamiast tego noga owinięta czujnikami i wspomagana przez stertę kabli, podskoczyła niemal do pasa. Podnosząc ją tak wysoko, Mike stracił równowagę i przechylił się do tyłu. Serwomechanizmy zapiszczały w odpowiedzi, a Mike obracając się, upadł na bok z dużym hukiem.

Raynor zakrył twarz dłonią, starając się wyglądać poważnie, ale nie wystarczyło to, by ukryć szeroki uśmiech, jaki zagościł na jego twarzy. Mike ujrzał innych żołnierzy przekazujących sobie pieniądze. *Świetnie, robią zakłady*, pomyślał Mike. Wskaźniki wzdłuż wizjera migwały ostrzegawczą żółcią. Spojrział na nie, w pamięci porównał z podręcznikiem i zdecydował, że oznaczały „Hej, głupku, przewróciłeś się”.

– Przydałaby się jakaś pomoc – powiedział Mike.

– Lepiej zrób to sam – w głosie Raynora słychać było radość.

Cudownie, pomyślał Mike, powoli przekręcając się na brzuch. Odkrył, że może oprzeć się na dłoniach, ale poruszanie przerośniętymi nogami nie było łatwe. W końcu prawie pozbierał się do pionu.

– Dobrze – powiedział Raynor. – Teraz idź. No dalej.

Tym razem Mike próbował szurać i kombinezon z mozołem posunął się naprzód, wzbudzając chmurę pomarańczowego pyłu. Przeszedł tak dziesięć stóp, obrócił się i zrobił następne dziesięć. Za drugim nawrotem zyskał na tyle pewności, aby zrobić prawdziwy krok, i kiedy nie upadł, zaczął iść normalnie. Wskaźniki znowu świeciły na zielono i ulżyło mu, że nie uszkodził kombinezonu. Był także zadowolony z siebie, że nie śmiał się zbyt mocno z nowych członków załogi podczas musztr na *Noradzie II*.

Raynor podszedł do kolonistów i wrócił z karabinem. Wręczył go Mike'owi, a jego opancerzona dłoń zamknęła się na większym z dwóch uchwytów. Ten mniejszy, używany przez nieopancerzonych żołnierzy, wymagał od strzelca użycia obu dłoni, żeby zrównoważyć długą lufę. W pancerzu Raynor mógł utrzymać go z łatwością.

– Strzel w tamtą skałę – powiedział strażnik, mężnie powstrzymując uśmiech.

Początkowo Mike myślał, że strażnik był jedynie rozbawiony jego przemarszem, ale podnosząc broń, zdał sobie sprawę z tego, co robi. Opancerzony żółw na szczudłach miał zaraz strzelać.

– Poczekaj – powiedział. – Jaki to ma odrzut?

Raynor odwrócił się do innych kolonistów.

– Widzicie? Mówiłem wam, że jest mądrzejszy, niż wygląda.

Niektórzy żołnierze sięgnęli po portfele.

– Musisz napiąć się, szeroko rozstawić nogi – powiedział do Mike'a. – Kombinezon zna ten manewr. To pochłania odrzut.

Mike odwrócił się do skały, napiął mięśnie i otworzył ogień. Salwa pocisków bluznęła z wylotu lufy i podziurawiła głaz. Wszędzie latały odłamki skały, a Mike zobaczył, że wyżłobił białą rysę na powierzchni kamienia.

– Nieźle – pochwalił Raynor, teraz uśmiechając się szeroko. – Ta skała zastanowi się dwa razy, zanim zaatakuje dobrych, bogobożnych ludzi.

Mike miał wrażenie, że podniesiono mu z pleców ogromny ciężar. Swallow nie żyła, a dziwne ksenomorfy grasowały po pustkowiu wypełnionym uchodźcami, ale przynajmniej próbował coś z tym zrobić.

Jeżeli o niego chodzi, zrobił ważny, opancerzony, pierwszy krok.

* * *

Uciekinierzy Raynora mieli czekać na kontakt z marines. Mike zorientował się, że mógł poczekać z nimi dzień lub dwa, a potem albo zabrać się z wojskiem do miasta, albo pojechać z powrotem na własną rękę. Co tam, gdy wiadomości o potyczce kolonialnych oddziałów

będą pokazane w lokalnych wiadomościach, może nawet przesuną ich grupę do przodu kolejki.

Nie przejmował się relacją, aż do momentu gdy następnego dnia przybyli prawdziwi marines.

Zjawili się z wyciem z pomarańczowego nieba niczym stalowe furie. Statki desantowe Konfederacji wylądowały w kluczowych punktach wokół obozu, uniemożliwiając łatwą ucieczkę. Zaraz po wylądowaniu wysypali się z nich ciężko opancerzeni marines w kompletnych nowoczesnych strojach bojowych. Towarzyszyły im firebaty, specjalne oddziały uzbrojone w plazmowe miotacze płomieni. Pojedynczy Goliath wylazł z wnętrza jednego ze statków i zajął pozycję na dalekim końcu obozu.

Marines szybko okrążyli obozowisko i wkrótce znaleźli się pośród uciekinierów. Każdego napotkanego żołnierza z kolonii wzywali do złożenia broni i poddania się. Zdumieni i zbici z tropu koloniści wykonali polecenie.

Mike, teraz ubrany w cywilne ciuchy i długi prochowiec, skierował się do namiotu Raynora. Dotarł tam w momencie, gdy strażnik krzyczał w kierunku ekranu.

– Zwariowaliście? Gdybyśmy *nie* spalili tej przeklętej fabryki, cała kolonia mogłaby zostać zaatakowana! Może gdybyście trochę się wtedy pośpieszyli...

– Poprosiłem cię grzecznie, chłopcze – powiedział z ekranu znajomy głos, który zmroził duszę Mike'a. Nie mógł dojrzeć twarzy, ale wiedział, że osobą na drugim końcu połączenia był pułkownik Duke.

– Nie przylecieliśmy tu na pogaduszki. A teraz oddajcie im broń!

– Zgaduję, że nie byłbyś w konfederatach, gdybyś nie był *zupelnym* dupkiem – mruknął Raynor, zanim się rozłączył.

– Typowe myślenie tych z Konfederacji – powiedział do Mike'a. – Odwalamy za nich robotę. Więc naturalnie wkurzają się na konkurencję.

Dwóch marines z pełnym oprzyrządowaniem pojawiło się przy wejściu.

– Strażniku Jamesie Raynorze, mamy nakaz aresztowania pana za zdradzieckie działania...

– Taa, taa – westchnął – dostałem miłosny liścik od waszego pułkownika.

Położył swoją broń na biurku.

– W czasie zamachu na stanowisko dowodzenia obecny był także Michael Liberty z Universe News Network – powiedział żołnierz, zwracając się do Mike'a.

– Cóż, on... – rozpoczął Raynor.

– Wyjechał – odrzekł Mike, podnosząc swoją legitymację prasową. – Nazywam się Rourke. Z prasy lokalnej. Mike wyjechał wczoraj po wysłaniu raportu.

Marine przeciągnął dokument przez czytnik, potem chrząknął. Mike miał nadzieję, że uszkodzenia w sieci globalnej uniemożliwią ściągnięcie zdjęcia Rourke'a.

Panie Rourke – powiedział żołnierz – znajduje się pan w obszarze zamkniętym. Musi pan

natychmiast stąd wyjechać.

– O co tu... – zdziwił się Raynor.

– Oczywiście, sir – przerwał mu Mike. – Już mnie tu nie ma.

– Muszę panu przypomnieć – kontynuował marine – że ze względu na stan wojenny cokolwiek pan napisze, będzie podlegać cenzurze wojskowej. Zdradzieckie artykuły będą zgłoszone do sądu, a autor zostanie ukarany w całej rozciągłości prawa.

– Oczywiście, stary. To znaczy, sir – powiedział Mike.

– Hej, Rourke! – krzyknął Raynor do Mike'a. – Lepiej weź mój motor. – Rzucił kluczyki reporterowi. – Wygląda na to, że przez chwilę nie będę go potrzebował.

– Jasne, strażniku – odrzekł Mike.

Stróż prawa spojrzał hardo na Mike'a.

– A kiedy spotkasz tego kwiatka Liberty'ego – powiedział grobowym głosem – powiedz mu, że oczekuję, że zrobi coś z tym bałaganem. Słyszysz?

– Głośno i wyraźnie – odpowiedział Mike. – Głośno i wyraźnie.

Reporter nie pozwolił sobie na odpoczynek, dopóki nie oddalił się od obozu na dobre pięć klików. Kiedy odjechał, ludzie Raynora zostali zagnani na statki. Jeśli Duke postępował według standardowej wojskowej procedury Konfederacji, zostaną przewiezieni do statku więziennego wysoko na orbicie.

Mike pocieszył się myślą, że przynajmniej tam będą mniej narażeni na atak Protossów lub Zergów.

Początkowo plan Mike'a zakładał złapanie statku odlatującego z planety, dostanie się na Tarsonis i tam zdanie relacji z jego nieautoryzowanego rekonesansu Handy'emu Andersonowi. Ale pomysł zostawienia Raynora na pastwę losu w jakimś wojskowym więzieniu wydał mu się nieetyczny. Strażnik był jednym z tych starych, dobrych chłopaków, którzy wydawali się dobrze sobie radzić w Zewnętrznych Światach, ale nie był zły. I to on ocalił Mike'owi tyłek w Anthem.

Na krótko twarz porucznik Swallow zagościła w jego wspomnieniach. Pomogła mu, a on ją zawiódł. Pomimo tego, co powiedział Raynor, czuł się za to odpowiedzialny. Czy Raynora też zawiedzie?

– Zawieść to takie paskudne słowo – wymamrotał, ale wiedział, że nie mógłby zostawić strażnika zdanego na łaskę Duke'a. Gdy osiągnął granice miasta, wiedział już, że musi złapać wahadłowiec na *Norada II* i porozmawiać z pułkownikiem.

Może dostaniemy z Raynoreem sąsiednie cele, pomyślał.

Miasto zostało kompletnie ewakuowane. Nawet przy głównych wjazdach nie było posterunków. Ulice były nienormalnie opustoszałe i nie było widać nawet oddziałów wojskowych. Przemierzając puste ulice, Mike zastanawiał się, co się stało z tłumem z kawiarni przy hali prasowej. Czy wciąż tam byli, czy może ich też ewakuowano do jakiejś dziury na pustkowiu?

Rozległ się *trzask* i motor podskoczył pod nim. Spojrzawszy do tyłu, Mike ujrzał innego Vulture'a, który uderzył w jego tyły zderzak. Za spolaryzowanym oknem dojrzał sylwetkę kierowcy wskazującego na swoje ucho. Uniwersalny gest oznaczający „włącz radio, idioto”.

Mike włączył komunikator i na ekranie pojawiła się twarz Sarah Kerrigan.

– Jedź za mną – powiedziała.

– Chcesz mnie zabić?

– To głupie pytanie, zważywszy na to, że już nie żyjesz.

– Co?! – parsknął Mike.

– Podali to w wiadomościach godzinę temu. Powiedziano, że jakiś terrorysta w skradzionym kombinezonie firebata ostrzelał autobus pełen reporterów. Ofiary zidentyfikowali na podstawie ich plakietek. Gratulacje, dostałeś największy nekrolog.

– O Boże – Mike poczuł, że porusza mu się żołądek. Rourke miał jego odznakę prasową. Przebiegła mu przez głowę myśl, że to konsekwencje jego skandalu na budowie dotarły za nim do tego dalekiego zakątka wszechświata.

– To nie skandal z budowy na Tarsonis – wybuchła śmiechem Kerrigan. – Ktoś tutaj chce twojej śmierci. Za dużo pan wie, panie Liberty.

Żołądek Mike'a wywrócił się na lewą stronę.

– Co masz na myśli?

Frustracja wylała się przez złącze.

– O to, że twoje relacje z pola powaliły lokalne siły na kolana. Fakt, że to oni, a nie marines, walczą z Zergami, jest boleśnie oczywiste, więc Duke kazał aresztować miejscowych i wysłał ich z planety. Chcą pozostawić to miejsce bez obrony. Czy to nie oczywiste? Jeśli naprawdę chcesz pomóc miejscowym, jedź za mną.

– A jeśli odmówię? – potrząsnął głową Mike.

– Zepchnę cię z drogi i zaciągnę siłą – zakrakał komunikator. – O rany, prowadzisz jak stara baba.

Mówiąc to, Kerrigan przyśpieszyła i szybko skręciła w lewo. Liberty pośpieszył za nią, nagle zbyt świadomy, że brał zakręty zbyt szeroko.

Skierowali się do dzielnicy pełnej magazynów, których część była już tylko pustymi szkieletami. Vulture Kerrigan prześlizgnął się przez otwarte drzwi jednego z nich. Mike również wjechał do środka, a Kerrigan zamknęła za nim drzwi.

– Zderzanie się tam ze mną było dosyć niebezpieczne – powiedział Mike, wysiadając z Vulture'a. – Musisz uważać się za bardzo dobrego kierowcę.

– Bo nim jestem. Jestem *też* świetna, jeżeli chodzi o noże. I strzelby. Ukradłeś go? – spytała, spoglądając na motocykl.

– Dostałem od przyjaciela.

– Twój przyjaciel źle obchodzi się ze sprzętem. To bezpieczne miejsce. Jeszcze tylko jedna rzecz, zanim będziemy mogli pójść.

Zanim Mike zdążył zareagować, Kerrigan wyciągnęła rękę i złapała jego identyfikator prasowy. Jednym płynnym ruchem wyrzuciła go w powietrze, wyciągnęła pistolet laserowy i usmażyła odznakę w szczytowym punkcie lotu. Stopione resztki wylądowały z pluskiem na betonowej podłodze.

– Sądźmy, że odznaka prasowa może być namierzona. To wyjaśniałoby, dlaczego tego faceta z twoją legitymacją spotkały złe rzeczy. W końcu zorientują się, że jeden z reporterów wciąż żyje i wtedy przyjdą po ciebie. Teraz chodź tutaj. Muszę rozstawić sprzęt.

Obróciła się, zostawiając prychającego Mike'a. Zaczęła przesuwać jakieś przedmioty na tyłach magazynu.

– Posłuchaj, skoro wiesz, że nie możesz obecnie ufać siłom Duke'a, to może przynajmniej wysłuchasz mojej strony? – pochyliła się, by sprawdzić jakieś wtyki.

– To cały system holo – Mike rozpoznał wyposażenie.

– Najlepszy w swoim rodzaju – uśmiechnęła się Kerrigan.

– Mój dowódca miał dość szczęścia i dostał najlepszy.

– Faktycznie ma szczęście, jeśli może sobie pozwolić na posiadanie własnych telepatów.

Kerrigan zamarała jedynie na ułamek sekundy, ale wystarczyło to, by Mike się uśmiechnął.

– No cóż – powiedziała. – Nie zrobiłam za wiele, żeby to ukryć?

– Chciałem wierzyć, że jesteś moją wielką fanką – powiedział Mike – ale znalezienie mnie, gdy wjeżdżałem do miasta, to było *zbyt* wiele, abym mógł w to uwierzyć. Myślałem, że tylko duchy z oddziałów marines Konfederacji są telepatami.

– Cóż, kiedyś byłem duchem. Zmęczyłam się tym i odeszłam.

– Nie muszę być telepatą, żeby wiedzieć, że nie mówisz mi wszystkiego. – Mike pojednawczo wzruszył ramionami i dodał – To nie praca, z której odchodzisz na emeryturę. Myślałem też, że telepaci mają ograniczniki, żeby nie naruszać prywatności normalnych ludzi.

– To zupełnie na odwrót – w głosie Kerrigan słychać było cień gorczy. – Ograniczniki powstrzymują twoje brzydkie myśli z dala od *mojego* umysłu. Ciężko jest żyć, wiedząc, że każdy wokół ciebie jest do pewnego stopnia niegodny zaufania. – Spojrzała hardo na Mike'a, błyskając zielonymi oczami. – Łazienka jest w tylnym narożniku. Nie, nie ma okna, którym mógłbyś się stąd wyślizgnąć. Nie chciałabym ci przestrzelić kolan, żeby cię tu zatrzymać, ale wiedz, że to zrobię.

– Dlaczego ja? – wymamrotał Mike, zmierzając do ubikacji.

– Dlatego, idioto – Kerrigan krzyknęła przez pomieszczenie – że jesteś dla nas ważny! A teraz przypudruj nos i wracaj z powrotem.

Kiedy Mike powrócił, skończyła rozstawiać platformę holograficzną. Miała ona pełny ekran projekcyjny, ale mogła się zmieścić w kilku walizkach.

– Nie jest – powiedziała, gdy podszedł.

– Czytanie w myślach nie jest zaletą dla reportera? – Mike załapywał dziwny skrótowy sposób rozmawiania z telepatą.

– Nie – pokręciła głową Kerrigan. – Większość z tego, co łapię, jest bardzo powierzchowna, a nawet to jest niewyraźne. Podstawowe potrzeby i takie tam bzdury. I sekrety. Do cholery, tajemnice wypełniły całe moje życie. To szybko się nudzi, naprawdę szybko.

– Przykro mi. – Mówiąc to, Mike uświadomił sobie, że nie wie, czy naprawdę tak myśli.

– Tak, naprawdę ci przykro. Po prostu nie wiesz, że tak myślisz. I nie, nie mam papierosów. No to zaczynamy.

Nacisnęła przycisk i łagodnie powiedziała coś do mikrofonu. Niższa platforma przekaźnika holograficznego zawarczała lekko i humanoidalna aura pojawiła się w świetle. Wyglądało na to, że tworzy się wyrzeźbiona ze światła postać, postawny człowiek o szerokich ramionach, w paramilitarnym mundurze, z dużymi wąsami i wydatnym podbródkiem. Jego włosy były czarne z pasemkami siwizny, ale wciąż bardziej czarne niż siwe. Mike momentalnie rozpoznał go z setek plakatów z nakazem gończym, wiszących w całej Konfederacji.

– Panie Liberty, cieszę się, że mógł pan do nas dołączyć – powiedziała świecąca postać. – Jestem Arcturus Mengsk, przywódca Synów Korhala. Chciałbym zaproponować panu, żeby się pan do nas przyłączył.

Rozdział 7

Układy

Arcturus Mengsk. Imię równoznaczne z terrorem, zdradą i przemocą. Żyjący przykład tego, że cel uświęca środki. Zabójca Konfederacji Człowieka. Bohater wysadzonej planety Korhala IV. Król wszechświata. Dziki barbarzyńca, który nigdy nie pozwala, by ktoś lub coś stanęło mu na drodze.

Ale oprócz tego, jest także czarującym, inteligentnym erudytą. W jego obecności ma się wrażenie, że naprawdę jest się wysłuchanym, że twoje zdanie się liczy, że jesteś kimś ważnym, jeśli się z nim zgadzasz.

To zadziwiające. Często zastanawiałem się, czy czasem ludzie tacy jak Mengsk nie pozostają cały czas we własnych kulach podprzestrzeni, także wszyscy, którzy się do nich zbliżą, zostają przeniesieni do innego wymiaru, w którym piekielne rzeczy, jakie tamci mówią i robią, nagle zyskują sens.

Przynajmniej tak Mengsk działał na mnie.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Świecąca postać zamilkła na chwilę, potem przemówiła – Czy połączenie funkcjonuje bez zakłóceń, poruczniku?

– Odbieramy pana głośno i wyraźnie, sir – odpowiedziała Kerrigan.

– Panie Liberty, czy pan mnie słyszy? – zapytał Arcturus.

– Tak słyszę – odrzekł Mike. – Po prostu nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Jest pan najbardziej zniechęconym człowiekiem w całej Konfederacji.

Arcturus Mengsk zachichotał i zaplótł dłonie na wydatnym, miękkim brzuchu.

– Pochlebia mi pan, ale muszę powiedzieć, że jestem tylko najbardziej zniechęconym człowiekiem dla elit Konfederacji. Tych elit, które za cel stawiają sobie panowanie nad wszystkimi. Pozbywają się tych, którzy myślą inaczej. Ja przeżyłem i dlatego jestem dla nich zagrożeniem.

Słowa Mengska spłynęły na Mike’a niczym rozgrzany miód. Zachowanie i głos tego człowieka na każdym kroku krzyczały „polityk”. Postać ta byłaby jak najbardziej na miejscu

w radzie miejskiej Tarsonis albo pośród starych rodów Konfederacji.

– Znam wielu reporterów, którzy chcieliby z panem porozmawiać – stwierdził Mike.

– Mam nadzieję, że pan się do nich zalicza. Od wielu lat jestem wielbicielem pańskich artykułów. Muszę przyznać, że bardzo zdumiałem się, widząc pańskie znakomite nazwisko podpisane pod zwykłymi raportami wojskowymi.

– Były okoliczności łagodzące. – Mike wzruszył ramionami.

– Oczywiście. – Mengsk uśmiechnął się ponownie pod obfitymi, szpakowatymi węsami.

– W moim przypadku również. Obawiam się, że mój wagabundzki styl życia uniemożliwił zorganizowanie odpowiedniego wywiadu. Tymi kilkoma dziennikarzami, którym się udało, szybko zatroszczyła się Konfederacja. Myślę, że rozumie pan, co mam na myśli.

Mike pomyślał o Rourke, umierającym z jego identyfikatorem, i o ludziach Raynora, zamkniętych na orbicie, i o uchodźcach czekających na transportowce, które nie wydawały się przylatywać. Przytaknął.

– Wiem, że moja reputacja mnie wyprzedza, Michael. – Mengsk przywołał się do porządku. – Czy mogę się do ciebie zwracać po imieniu?

– Jeśli chcesz.

Kolejny na wpół skrywany uśmiech.

– I muszę ci powiedzieć, że ta reputacja jest w pełni zasłużona. Jestem, według Konfederacji, terrorystą, przedstawicielem chaosu występującym przeciwko staremu porządkowi. Moim ojcem był Angus Mengsk, który jako pierwszy powiódł mieszkańców Korhala IV do rebelii przeciwko Konfederacji.

– I przypłacił to śmiercią planety.

– Tak – Arcturus Mengsk sposepniał – i każdego dnia mojego życia noszę w sobie dusze jej mieszkańców. Przez konfederatów zostali nazwani rebeliantami i rewolucjonistami, ale jak dobrze wiesz, to zwycięzcy mają przywilej pisania historii.

Mengsk przerwał na moment, ale Mike nie odezwał się, aby potwierdzić lub zaprzeczyć.

– Nie zamierzam przeproszać za czyny Synów Korhala – powiedział Mengsk w końcu. – Na moich rękach jest krew, ale daleko mi jeszcze, żeby osiągnąć 35 milionów istnień zabranych przez Konfederację na Korhalu.

– Czy to liczba docelowa? – zapytał Mike, szukając luki w gardzie polityka.

Spodziewał się wybuchu gniewu lub szybkiej riposty. Tymczasem Mengsk uśmiechnął się krótko.

– Nie mam szans, aby wygrać z bezduszną biurokracją Konfederacji Człowieka. Wymachują sztandarami starej Ziemi, ale żaden starożytny rząd nie tolerowałby takich nieludzkich działań, jakie Konfederacja uważa za chleb powszedni. A ci, którzy podnoszą alarm, są albo uciszani przemocą, albo przekupywani komfortem ciepłych posadek.

– To bylibyśmy my, dziennikarze – stwierdził Mike, myśląc o biurze Andersona.

– To byłby dobry przykład – Mengsk wzruszył ramionami – ale nie zamierzam drążyć

tego tematu. Wiem, że jeśli o ciebie chodzi, nigdy nie wahałeś się szukać prawdy, co czyni cię prawdziwą rzadkością.

– Więc to wszystko – Mike wskazał na wyposażenie i Kerrigan – jest po to, żeby stworzyć możliwość wywiadu?

Znowu śmiech.

– Na wywiad będzie czas później, ale w chwili obecnej mamy bardziej naglące sprawy. Znasz sytuację uchodźców w dalszych rejonach?

– Odwiedziłem kilka – przytaknął Mike. – Opróżnili miasta, a teraz ludzie czekają w głuszy na przybycie transportowców Konfederacji.

– A co powiedziałbyś, gdybym ci zakomunikował, że żadne statki nie przylecą?

Mike zamrugał, nagle uświadamiając sobie, że patrzy na niego Kerrigan.

– Byłoby mi ciężko w to uwierzyć. Mogą się spóźnić, ale nie porzucą mieszkającej tu ludności.

– Obawiam się, że to prawda – westchnął Mengsk. Mike zapragnął mieć jakąś moc telepatyczną o dużym zasięgu, żeby przekopać się przez powłokę dobrych manier tego człowieka. – Żadne statki nie przylecą. W rzeczywistości pułkownik Duke był bardzo zajęty przez kilka ostatnich dni, przemieszczając budynki wojskowe, przygotowując się do ucieczki na pierwszą oznakę pojawienia się Protossów, lub na przytłaczające zwycięstwo Zergów.

– A co ty wiesz o Protossach i Zergach? – ostro zapytał Mike.

– Więcej niż chcę powiedzieć. – Mengsk uśmiechnął się szeroko. – Wystarczy powiedzieć, że są wiekowymi rasami i nienawidzą się nawzajem. Poza tym nie mają pożytku z ludzi. W ten sposób są bardzo podobni do Konfederacji.

– Widziałem działanie Protossów, jak i Zergów – powiedział Mike. – Ciężko mi uwierzyć, że mogą być w czymś podobni do nas.

– Nawet jeśli, to Konfederacja planuje porzucić ludzi z Mar Sary! Pozwolić Zergom zalać ich od spodu lub Protossom wyparować ich z góry. Ten system jest niczym więcej jak wielkim poligonem doświadczalnym dla biurokratów na Tarsonis, gdzie mogą obserwować pojedynki tych dwóch ras i planować, jak ocalić własne kryjówki. Czy potrafisz, jako człowiek, stać z boku i pozwolić, żeby tak się stało?

Mike pomyślał o śmiertelnej, radioaktywnej tęczy na powierzchni Chau Sary.

– Masz jakieś rozwiązanie – powiedział to tak, że zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie. – I to rozwiązanie w jakiś sposób dotyczy mnie.

– Jestem człowiekiem z ogromnymi, ale nie niewyczerpalnymi zasobami – odrzekł Arcturus Mengsk, nagle uzyskawszy siłę nadchodzącej burzy. – Mam własne statki, które właśnie lecą, aby zabrać tak wielu ludzi, jak tylko zdołają wydostać z systemu. Kerrigan znalazła większość obozów i rozpowszechniła wystarczająco wiele antykonfederacyjnych idei, byśmy zostali powitani jak bohaterzy. Skontaktowałem się z częścią rządu planety. Potrzebuję jednak przyjaznej twarzy, żeby zapewnić ich, że rzeczywiście przybywamy z

pokojowymi zamiarami.

– I tu ja się pojawiaam.

– Tak, i tu się pojawiaasz – powtórzył Mengsk. – Twoja reputacja również cię wyprzedza.

Mike pomyślał o tym, świadomy zarówno Zergów pod spodem, jak i Protossów na górze.

– Nie będę dla ciebie robił propagandy – powiedział w końcu.

– Wcale cię o to nie proszę – powiedział Mengsk, rozpościerając szeroko ręce.

– I relacjonuję to, co widzę.

– To więcej niż pozwala ci Konfederacja, gdzie jesteś pod ścisłymi regulacjami wojskowymi. Nie oczekiwałbym czegoś innego od reportera twojego kalibru.

Następna przerwa.

– Jeśli jest coś jeszcze, w czym mógłbym ci pomóc... – zakończył ją Mengsk.

Mike pomyślał o ludziach Raynora.

– Mam kilku... współników... w areszcie Konfederacji.

Mengsk uniósł brew i spojrział na Kerrigan.

– Lokalne oddziały i przedstawiciele prawa, sir. Złapano ich i umieszczono w statku więziennym. Mogę ustalić położenie.

– Hmm. Nie zadajesz sobie trudu, prosząc o małe przysługi, co, Michael? – Mengsk potarł podbródek, ale nawet mimo dzielącej ich odległości, Mike wiedział, że już się zdecydował.

– Dobrze, ale będziesz mi musiał w tym pomóc. Jednak najpierw...

– Wiem – powiedział Mike ze wzruszeniem ramion. – Muszę napisać twoje cholerne oświadczenie prasowe.

– Dokładnie – potwierdził Mengsk z iskrzącymi oczami. – Jeśli się dogadaliśmy, to szczegółami pozwolę zająć się porucznik Kerrigan.

I mówiąc to, świetlista postać rozwiała się.

Mike wypuścił oddech.

– Czy wciąż czytasz w moich myślach? – zapytał w końcu.

– Trudno się powstrzymać – ucziwie powiedziała Kerrigan.

– Więc wiesz, że mu nie ufam.

– Wiem – odpowiedziała porucznik Kerrigan. – Jednak wierzysz mu, że dotrzyma swojej części umowy. Chodź, musimy zabrać się do pracy.

* * *

Statek więzienny *Merrimack* był starym gratem, krążownikiem klasy *Leviathan*, pozbawionym czegokolwiek użytecznego poza systemem podtrzymywania życia, ale nawet ten był zdziwaczały i niestabilny. Nawet napęd został wyłączony i statek został przyciągnięty na pozycje wysoko ponad biegunem północnym Mar Sary. Jego ładownie wypełnione były nieuzbrojonymi ludźmi, więźniami przetrzymywanymi z różnych powodów, którzy byli

uważani za zbyt niebezpiecznych, by żyć na powierzchni. Było tam wielu żołnierzy pochodzących z oddziałów lokalnych, strażników, a także więcej niż kilku wygadanych miejscowych przywódców.

Więźniowie upchnięci za zamkniętymi przegrodami nie mieli pojęcia, że są nadzorowani jedynie przez najniezbędniejszą załogę, będącą zaledwie ułamkiem normalnego personelu takiego więziennego kolosa. Większość ważnych oficerów została już odesłana, a z większych statków, które w przeciągu kilku ostatnich dni odwiedziły Mar Sarę, na orbicie pozostał jedynie *Norad II*.

Kapitan Elias Tudbury, najwyższy rangą oficer pozostały na pokładzie *Merrimacka*, warknął sprawdzając monitory doków. Ostatni wahadłowiec spóźniał się przynajmniej o godzinę, a jeśli doniesienia radiowe były prawdziwe, Protossi z ich świecąca bronią mogą tu być w każdej chwili.

A kapitan Tudbury nie przeżyłby tak długo, dowodząc statkiem więziennym, gdyby narażał się na niebezpieczeństwa. Teraz, gdy wahadłowiec dotarł do doku, ciężko przestąpił z nogi na nogę. Za jego plecami oficer komunikacyjny sprawdzał częstotliwości.

Im szybciej przyleci statek, tym szybciej on i jego maruderzy będą się mogli stąd wydostać, zostawiając więźniów na spotkanie z ich przeznaczeniem.

Głośnik zakrakał mu nad głową.

– Wahadłowiec więź... pięć-cztery pro... o pozwol... na dokow...

Resztę zagłuszył szum.

– Proszę o powtórzenie transmisji, pięć-cztery-sześć-siedem. Powtarzam, proszę o powtórzenie transmisji – powiedział oficer komunikacyjny, poprawiając słuchawki.

Głośnik ponownie zaskrzeczał.

– ...zienny ...sześć-siedem. Prosi o pozwolenie na... nie.

– Jeszcze raz, pięć-cztery-sześć-siedem – powtórzył oficer komunikacyjny. Tudbury praktycznie eksplodował ze zdenerwowania, ale głos oficera komunikacyjnego był łagodny i mechaniczny.

– Proszę powtórzyć.

– Zakłóce... – nadeszła odpowiedź. – Odlec... i sprób... jeszcze raz.

– O nie – powiedział Tudbury, sięgnąwszy nad swoim oficerem i wcisnąwszy przełącznik. – Wahadłowiec pięć-cztery-sześć-siedem, możecie dokować. Posadźcie swój tyłek i zabierzcie nas z tej balii!

Hydraulika zasyczała, gdy dwa statki się połączyły, a oficer komunikacyjny wskazał na naruszenie standardowego protokołu.

– Synu, to nie jest standardowa sytuacja – odpowiedział Tudbury już w połowie drogi do doku, niosąc swój spakowany worek marynarski. – Złap się za sprzęt i powiedz wszystkim, że wynosimy się z tego wraka!

Śluza powietrzna otworzyła się, a kapitan Tudbury spojrzał w głąb lufy ciężkiego

karabinu. Drugi koniec karabinu trzymał szczupły mężczyzna z kucykiem, który wyglądał jak ktoś, kogo Tudbury widział na kanale UNN.

– Buu – powiedział Michael Liberty.

* * *

Zatrzymanie reszty załogi, z której większość była uzbrojona jedynie w worki marynarskie i wielką ochotę, żeby odlecieć, zajęło dziesięć minut, a następnych dwadzieścia przekonanie jej członków, żeby ponownie uruchomili silniki i przenieśli *Merrimacka* poza orbitę planety. Raynor i jego ludzie wsiedli na wahadłowiec z Libertym.

– Przyznaję – stwierdził były strażnik Raynor – że kiedy ci mówiłem, żebyś coś zrobił, akurat nie tego się spodziewałem.

Michael Liberty zarumienił się.

– Powiedzmy tylko, że zawarłem pakt z diabłem i podziałało to na naszą korzyść.

Jak na sygnał, szeroka twarz Mengska wypełniła ekran wahadłowca.

– Gratulacje, Michael. Musimy powiedzieć, że nam również się udało. Ludzie na Mar Sarze przywitali nas z otwartymi ramionami i do tej pory statki ewakuują uchodźców. Doszedłem do wniosku, że nawet pułkownik Duke nie będzie chciał strzelać do statków wypełnionych niewinnymi ludźmi, a przebieg wydarzeń szczerze go zaskoczył.

Raynor pochylił się w kierunku ekranu.

– Mengsk? Tu Jim Raynor. Chciałem tylko podziękować za pomoc w wydostaniu nas z tego pudła.

– Ach, strażnik Raynor. Michael najwidoczniej bardzo ceni pana i pańskich ludzi. Zastanawiałem się, czy chciałby mi pan pomóc w pewnej małej sprawie. – Uśmiech Mengska wypełnił ekran.

– Poczekaj chwilę, Mengsk – przerwał Mike. – Mieliliśmy układ i obaj się z niego wywiązaliśmy.

– I umowa skończona, Michael – kontynuował przywódca terrorystów, który ocalił populację planety. – Ale teraz chciałbym przedstawić podobną propozycję byłemu strażnikowi i jego ludziom. Coś, co mam nadzieję przyniesie pożytek *wszystkim* ludziom.

Rozdział 8

Zergi i Protossi

Łatwo byłoby powiedzieć, że Arcturus Mengsk był doskonałym manipulatorem, którym rzeczywiście był, albo że regularnie oszukiwał innych, co również było prawdą. Ale byłoby błędem stwierdzić, że ludzie, którzy wpadli w jego sieć, nie ponosili za to odpowiedzialności.

Teraz zadawanie się z tym człowiekiem zakrawałoby na szczyt głupoty, ale pomyślcie o sytuacji, kiedy umierał system Sary. Po jednej stronie były bezrozumne bestie Zergów, po drugiej przeklęta furia Protossów. A w środku była przestępcza biurokracja dawnej Konfederacji Człowieka, która miała zamiar pozbyć się ludności dwóch planet po to, aby lepiej poznać swoich wrogów.

Z taką nadwyżką diabłów we wszechświecie, czy miało to znaczenie, że był jeszcze jeden?

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Kompleks Jacobsa został zbudowany we wnętrzu góry odległej od głównych miast Mar Sary. Nie był wymieniony w archiwum planety, jakie znalazł Michael Liberty, ale Mengsk skądś o nim wiedział. Gdzieś tam w kompleksie Jacobsa był komputer z danymi. Mengsk powiedział, że nie wie, co to za dane, ale wie, że są ważne. I wiedział, że ich potrzebuje. I wiedział, że Raynor je dla niego zdobędzie.

Wszystko to sprawiło, że Mike zastanawiał się, co jeszcze wie Mengsk. Sprawilo też, że reporter pomyślał o innych głębokich kraterach na Chau Sarze. Czy na tamtej planecie też były miejsca nieznane większości ludzi, ale przyciągające Protossów? Czy Mengsk także o nich wiedział?

Planeta zdążyła się już zmienić. Na ekranach transportowca, który wiozł Raynora i jego oddział, mógł dojrzeć spustoszenie. Wiele mil poprzednio rolniczych gruntów było porośniętych plechą, pulsującym, żywym organizmem, pokrywającym ziemię i zapuszczającym kosmyki głęboko w litą skałę pod spodem. Krajobraz usiany był dziwnymi budowlami, wyglądającymi niczym dziwaczne, wykoślawione przez naturę grzyby, a

skorpionopodobne stworzenia rozrywały i pożerały wszystko na swojej drodze. Michael mógł dojrzeć gromadę bezskórych zerglingów, wiedzionych przez większe węzowate hydraliski. A raz na horyzoncie dojrzał grupę stworzeń, które wyglądały jak uskrzydłone działa.

Plecha jeszcze nie osiągnęła Kompleksu Jacobsa, ale dziwne wieże Zergów już widniały na horyzoncie. Główna brama była otwarta, a ludzie próbowali uciec z obiektu. Desantowiec dostał się pod ogień, gdy wysadzał Raynora i jego oddział. Nawet w relatywnym bezpieczeństwie słabego kombinezonu technika, Liberty ociągał się.

Nie robię tego dla Mengska, pomyślał sobie. Robię to dla Raynora.

Straże były bardziej zainteresowane ucieczką niż walką, więc żołnierze Raynora szybko je rozproszyli. Michael podążył za olbrzymimi opancerzonymi ludźmi do wnętrza bazy.

Jak tylko weszli do środka, opór zwiększył się. Działka obronne wmontowane były w ściany, a automatyczne stanowiska rakietowe wyrastały spod podłogi na każdym zakręcie. Raynor stracił dwóch ludzi, zanim zaczął być bardziej ostrożny.

– Musimy znaleźć komputer sterujący – powiedział Mike.

– Jasne – zgodził się Raynor. – Ale jestem gotów się założyć, że jest on na drugim końcu tych działek.

I w tym momencie był już na korytarzu, rozsiewając pociski szerokim łukiem, mierząc w cele niewidoczne jeszcze chwilę przedtem. Mike podążył za nim z gotową bronią tak blisko, jak tylko śmiał, ale gdy dotarł za róg, Raynor stał już w zadymionym korytarzu. Zwęglone stanowiska tkwiły w spalonych ścianach i podłodze.

Kolejne sto stóp i następne skrzyżowanie. I następne wieżyczki wyskakujące z podłogi niczym mechaniczny klaun, zalewające korytarz pociskami.

Raynor i Liberty skoczyli do jednego pomieszczenia, trzej inni żołnierze do następnego. Jeden nie był wystarczająco szybki i złapał go strumień kul, jego upadek w przód został spowolniony przez nieustanne uderzenia pocisków w hełm i strzaskany napierśnik.

– Dobra, musimy to załatwić – stwierdził Raynor.

– Poczekaj – powiedział Mike. – Myślę, że coś znalazłem.

Pokój wyglądał jak zwykłe centrum dowodzenia, z ekranami po jednej stronie i całym mnóstwem przycisków. Ale jeden z ekranów pokazywał coś, co wyglądało jak diagram budynku.

– To mapa – powiedział Raynor.

– Brawo! – zawołał Mike. – Jeszcze lepiej, to mapa, którą możemy wykorzystać.

Kilka punktów świeciło na czerwono, oznaczając miejsca, gdzie przechodzili napastnicy. Inne, tak jak ten za drzwiami, migwały na zielono. Prawdopodobnie stanowiska obronne w gotowości.

– Dobra – stwierdził Mike. – Wiesz cokolwiek o komputerach?

– Musiałem kiedyś wymienić kartę pamięci w moim Vulturze – odrzekł Raynor.

– Świetnie – Osobiste doświadczenie Mike'a sprowadzało się do naprawy w terenie

skomplikowanych komunikatorów, ale nic nie powiedział. Sprawdził poszczególne przyciski i przełączniki. Wszystkie były ponumerowane, ale brakowało głównego spisu.

Przesunął przełącznik i jedno z zielonych światełek zgasło. Przesunął inny i zgasło kolejne. Zaczął dziko przełączać przełączniki i wciskać przyciski. Po jakichś piętnastu sekundach staccato na korytarzu ucichło.

– Dobra robota – pochwalił Raynor.

– Zobaczymy, jak się wiedzie innym. – Mike złapał za małe pokrętło i przekręcił je. Gdzieś we wnętrzu kompleksu odezwała się syrena, a pod stopami wyczuli drgania.

– Co to u licha było? – zapytał Raynor.

– Dźwięk, który oznaczał, że przesadziłem ze swoim szczęściem – odpowiedział Mike.

– Więc dlaczego to zrobiłeś?

– Wyglądało na to, że to właściwa rzecz do zrobienia we właściwym czasie.

Raynor wydał z siebie westchnienie frustracji i powiedział – Możesz wy dostać informacje, których szukamy, z tego terminala?

Mike pokręcił głową, wodząc palcem po schemacie instalacji.

– Tutaj – pokazał. – Tu jest oddzielny system, nie połączony z głównym komputerem.

– Myślisz, że to jest to?

– To musi być to. Najlepszym sposobem ochrony informacji przed hakerami jest odseparować komputer, w którym się znajduje. Podstawowa zasada bezpieczeństwa komputerowego.

– Więc chodźmy rozwalić paru skurczybyków. – Raynor dał znak reszcie ocalonych żołnierzy.

– Taa – powiedział Mike. – Dowalmy skurczybykom.

– Wyszli na zewnątrz... i momentalnie wskoczyli do środka, gdy kolejna salwa pocisków odbiła się od ścian korytarza.

– Liberty! – ryknął Raynor. – Myślałem, że wyłączyłeś wszystkie stanowiska.

– To nie automaty, Jim! – krzyknął Mike, kuląc się we wnące przy drzwiach. – To żywe cele.

Rzeczywiście, na korytarzu pojawiły się sylwetki w białych kombinezonach, podobnych do pancerza Mike'a, z wyjątkiem koloru. Żołnierze mieli szybkostrzelne karabiny i ostrzeliwali z nich korytarz.

Mike uniósł broń i wychylił się, żeby oddać strzał. Sylwetka w białym pancerzu pokazała się na celowniku.

A Mike odkrył, że nie może strzelić. Jego cel był człowiekiem, żyjącą istotą ludzką. Nie mógł strzelić.

Sylwetka w białym kombinezonie nie miała takich skrupułów i oddała serię. Framuga drzwi rozprysnęła się pod gradem pocisków, gdy Liberty wturlał się do pokoju.

– Co się stało?! – krzyknął Raynor – Są w ukryciu?

– Oni... – zaczął Mike, a potem pokręcił głową. – Nie mogę do nich strzelić.

Raynor spojrział z dezaprobatą.

– Załatwiłeś Zerga z dwururki. Widziałem.

– To było co innego. Ci są ludźmi.

Mike spodziewał się, że jego wyznanie wzbudzi niechęć w strażniku, ale zamiast tego Raynor przytaknął i powiedział – W porządku. Wielu ludzi ma problemy ze strzelaniem do innych. Dobra wiadomość jest taka, że *oni* nie wiedzą, że nie chcesz do nich strzelać. Celuj trochę ponad ich głowami. To ich przestraszy.

Wypchnął Mike'a z powrotem przez drzwi. W korytarzu dwójka marines wymieniała strzały z postaciami w białych pancerzach.

Mike wyturłał się z wnątki, wycelował w tę po prawej, podniósł lufę o włos i wypuścił serię. Biała sylwetka ukucnęła, podczas gdy jej towarzysz uklęknął na jedno kolano, starając się wycelować broń.

Mike uśmiechnął się mimowolnie. Wtedy pierś żołnierza, w którego strzelił, wybuchła fontanną krwi. Jego towarzysz wycelował, ale zrobił to zbyt wolno. Jego głowa rozprysła się w mgiełkę, w momencie gdy pękł wizjer hełmu.

Mike spojrział w górę, żeby zobaczyć stojącego nad nim Raynora, wychylającego się z przejścia. To on, pojedynczymi strzałami, sprzątnął obu żołnierzy.

– Rozumiem, że masz problem ze strzelaniem do ludzi – stwierdził Raynor, spoglądając na niego z góry. – Na szczęście ja nie mam. Chodźmy.

Karabiny w ścianach i podłodze milczały, a oddział niemal biegiem przemierzał kolejne korytarze. Mike, w lekkim pancerzu, wysforował się do przodu.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie było to najmądrzejsze.

Skręcił za róg i wpadł na zerglinga.

Jednym nieskoordynowanym skokiem Mike poszybował w przód, przetaczając się nad bezskórą bestią. W czasie tego bezładnego lotu mógł niemal poczuć pulsowanie mięśni stwora i dreszcz pod sobą. Wylądował na ramieniu i poczuł przeszywający ból w prawym boku.

– Zerg! – krzyknął Mike. – Zabijcie to! – Zignorował ból i przekręcił karabin, modląc się, żeby nie został uszkodzony w czasie wypadku.

– Ogień krzyżowy! – ryknął Raynor. – Pozabijamy się nawzajem!

W korytarzu zapadła chwilowa cisza – Mike po jednej stronie, oddział Raynora po drugiej, a Zerg w środku. Mike czuł odór jego oddechu. Sama jego skóra wydawała się wydzielać zapach zepsucia i zgnilizny.

Zergling obrócił się w kierunku żołnierzy, potem w stronę reportera, jakby próbując zdecydować, kogo zaatakować pierwszego. W końcu jakiś organiczny obwód w jego pokręconym umyśle zamknął się i stwór się zdecydował.

Wysunął pazury i z rozdzierającym skrzykiem skoczył na Liberty'ego.

Mike dał nurka w przód, pod skaczącym potworem, i podniósł swój karabin. Trafił w żołądek stworzenia, przebijając go w pędzie lufą. Bestia i karabin przesuwaly się nad nim powolnym łukiem. Na samym jego szczycie Mike pociągnął za spust i salwa pocisków poszatkowała zerglinga. Te, które przeszły przez ciało, wbiły się w metalowy sufit korytarza.

Mike, przemoczony posoką bestii, parsknął. Podbiegł do niego Raynor.

– Co tu robi Zerg? – zapytał.

– Może szukają tego samego co my? – zasugerował Mike.

– Wobec tego znajźmy te informacje. – Raynor skierował resztki oddziału do przodu.

– Lepiej znajźmy prysznic – wymamrotał Mike, ścierając wnętrzości Zerga z poplamionego pancerza.

Kompleks potrafił ich jeszcze zaskoczyć. Przejście doprowadziło ich do większego pomieszczenia. Trzy kolejne zerglingi zostały powalone gwałtownym ogniem, zanim zdążyły zareagować. Wzdłuż jednej ze ścian stał rząd otwartych klatek. Emanował z nich cuchnący zapach zerglingów.

– Trzymano je tutaj – powiedział Raynor. – Zwierzaki? Badania?

– Ciekawe jak długo? – Mike dotarł do wolnostojącego komputera i zaczął wciskać przyciski. – Chryste, zobacz na to!

– Informacje?

– I nie tylko. Zobacz, to sprawozdania o Zergach sprzed kilku miesięcy.

– Ale to niemożliwe – powiedział Raynor. – Chyba że...

– Chyba że Konfederacja przez cały czas wiedziała o Zergach. Wiedzieli, że tu są. Do diabła, oni mogli je tu *sprowadzić*.

– Samuel J. Huston na rowerze – powiedział Raynor. Mike przyjął, że to jakieś przekleństwo. – Nagraj to na dysk i zmywajmy się stąd – dodał Raynor.

– Pracuję nad tym – odrzekł Mike. Wypalarka dysków dyszała przez chwilę, a potem wyrzuciła z siebie srebrzysty krążek.

– Mam. Spadamy!

W chwili gdy Mike wyciągał dysk z maszyny, oświetlenie nagle stało się czerwone. Gdzieś z góry zabrzmiał damski głos.

– Zapoczątkowano sekwencję autodestrukcji.

– Gówno – przeklął Mike. – Musieli przygotować pułapkę!

– Ruszajmy! – powiedział Raynor. – Nie zróbcie głupich błędów!

Mike, w lżejszym pancerzu, prowadził, teraz nie bojąc się natknąć na inne niespodzianki. W swojej drodze na zewnątrz nie napotkali niczego oprócz śmierci, delikatny głos ostrzegał ich – Dziesięć sekund do detonacji – a potem – pięć sekund do detonacji.

Potem byli na zewnątrz pod zgniłopomarańczowym niebem. Mike biegł, zamierzając nie zatrzymywać się aż do statku desantowego.

Raynor dogonił go i przewrócił na ziemię.

Mike zaklął w kierunku strażnika, ale przekleństwo zostało uciszone przez eksplozję.

Detonacja wstrząsnęła całym zboczem góry, znajdując ujście przez bramę obiektu. Gorejący podmuch przemknął nad Libertyni i leżącymi marines, a szczyt góry zapadł się do środka. Mike wtulił się w dudniącą ziemię i modlił się. Gdyby stał, zostałby zmieciony przez wybuch.

– Dzięki – powiedział do Raynora.

– Wyglądało na to, że to właściwa rzecz do zrobienia we właściwym czasie – powiedział były strażnik. – No dalej, wracajmy, zanim znajdą nas tu Zergi.

* * *

Mengsk czekał na nich na mostku własnego statku flagowego, *Hyperiona*. W porównaniu do mostka *Norada II*, ten był bardziej przytulny, bardziej przypominał gabinet/bibliotekę niż nerwowe centrum floty. Obwód pomieszczenia był usiany technikami mówiącymi do mikrofonów. Wielki ekran przykrywał jedną ze ścian.

Mike nie spostrzegł żadnego śladu porucznik Kerrigan.

– Tam były Zergi! – powiedział Raynor, przekazując dysk.

– Konfederaci musieli badać tych przeklętych obcych przez miesiące!

– Przez lata! – Mengsk nie okazał zdziwienia. – Sam widziałem Zergów w laboratorium Konfederacji, a to było ponad rok temu. To jasne, że Konfederacja знаła te stwory od jakiegoś czasu. Z tego co wiemy, mogli zajmować się ich *rozmnażaniem*.

Mike nic nie powiedział. Wieko z puszek Pandory Konfederacji odpadło. Nie było już nic, czym mogli go jeszcze zaskoczyć.

Raynorowi z wrażenia opadła szczęka.

– Masz na myśli to, że używali mojej planety jako jakiegoś laboratorium dla tych... rzeczy?

– Twoją planetę i jej siostrzany świat – powiedział Mengsk.

– I bogowie jedni wiedzą, ile jeszcze innych Światów Zewnętrznych. Posiali wiatr, a teraz zbierają burzę.

Po raz pierwszy Raynor nie wiedział, co o tym myśleć. Ogrom zbrodni, pomyślał Mike, był zbyt wielki dla mózgu lokalnego stróża prawa. Kogo aresztować, jeżeli zbrodnią jest ludobójstwo. Jak go ukarać za taką zbrodnię?

– Mam reportaż do wysłania – przemówił Mike. – Podsumowuje wszystko, co dotąd odkryliśmy.

– Mamy dla ciebie przygotowany kodowany przekaźnik – odrzekł Mengsk. – Ale wiesz, że nigdy tego nie puszczą.

– Jednak muszę spróbować – stwierdził Mike, ale w duchu musiał zgodzić się z Mengskiem. Jeśli stare rodziny na Tarsonis były wystarczająco paranoiczne, aby grozić mu za ujawnienie skandalu na budowie, jak bardzo chętnie przyznałyby się do kontaktów z

planetożernymi obcymi?

Mike nagle ucieszył się, że nie było przy nich telepatki.

Łagodny dzwonek zabrzączał, a jeden z techników oznajmił – Odczytujemy sygnały z podprzestrzeni na pozycji cztery-kropka-pięć-kropka-siedem.

– Odlecieć na bezpieczną odległość, maksymalne skanowanie – zakomenderował Mengsk. – Panowie, możecie tu pozostać, jeżeli macie ochotę zobaczyć ostatni akt tej szczególnie tandetnej sztuki.

Ani Mike, ani Raynor nie poruszyli się, a Mengsk odwrócił się przodem do ekranu. Wielka pomarańczowa kula Mar Sary wyłoniła się nad nimi. Pasma białych chmur były rozsiane wysoko nad północną półkulą. Jednakże większość pomarańczowej powierzchni była już usiana cętkami, zniszczona, przeżarta przez plechę i stwory, które w niej żyły.

Sama powierzchnia planety zdawała się pulsować i bulgotać, falując niczym żywa istota. Plecha rozprzestrzeniała się nawet nad oceanami, na podobieństwo szerokich dywanów, wijących się jak żywy chodnik z wodorostów.

Na planecie definitywnie nie pozostało nic ludzkiego.

Promień światła rozbłysnął po jednej stronie dysku planety i Mike wiedział, że przybyli Protossi. Ich świetliste statki wychynęły z podprzestrzeni. Błysk niebiesko-białej elektryczności i już tam byli. Złote transportowce z rojem ciem i metaliczne konstrukcje o skrzydłach nietoperzy, które przemykały się pośród większych statków. Moce wojny podniesione do poziomu sztuki, zapierające dech w piersiach i śmiertelne.

Mengsk przemówił cicho do mikrofonu przygardłowego, a Mike poczuł zapłon silników. Przywódca terrorystów przygotowywał się do natychmiastowego wycofania na wypadek, gdyby Protossi ich zauważyli.

Niepotrzebnie się obawiał. Protossi byli zupełnie skupieni na zainfekowanej planecie leżącej pod nimi. Luki w kadłubach większych statków otworzyły się i potężne promienie energii, tak intensywnej, że niemalże bezbarwnej, wystrzeliły w kierunku powierzchni. Obcy skierowali na planetę pustoszący ogień zaporowy.

Gdziekolwiek dotarły promienie energii, paliły. Nawet niebo poddało się, gdy promienie przebiły się przez powłokę atmosfery. Powietrze zostało wypchnięte z planety siłą uderzeń.

A gdy promienie osiągały powierzchni, eksplodowały, gotując ziemię, którą dotknęły, wykorzystując zarówno zainfekowaną przez plechę, jak i zdrową ziemię. Śmiertelna tęcza promieniowania, najbardziej piękna, jaką kiedykolwiek widział Mike, wirowała z atakujących punktów, bezlitośnie obracając w niwecz ziemię i wodę, zniekształcając substancję planety.

Wtedy inne statki z chirurgiczną precyzją zaczęły strzelać cieńszymi promieniami, zwiększając siłę rażenia w poszczególnych miejscach. To miasta, uzmysłowił sobie Mike. Celowali w miasta i upewniali się, że nic tam nie przeżyje. Żadna ludzka osada, łącznie, jak zauważył, z Kompleksem Jacobsa.

Rzeczywiście, zdążyli o włos, pomyślał, a jego żołądek nieprzyjemnie podjechał do góry.

Jeden z pulsujących promieni przebił się przez skorupę planety i ziemia wybuchła wulkanicznym strumieniem. Magma wypłynęła na powierzchnię, pochłaniając wszystko, co już i tak zniszczyły promienie. Większa część atmosfery spłonęła, wydarta z ochronnej powłoki, która trzymała ją na orbicie, a to co zostało, przekształciło się w huragany i tornada, które wkrótce też zostały zniszczone przez następne promienie.

Teraz błyszczące pasy wulkanicznej czerwieni przykrywały północną półkulę. Nad resztkami lądu falowała śmiertelna tęcza. Nic, obojętnie czy ludzkiego, czy nie, nie mogło przeżyć ataku.

– Eksterminatorzy – cicho powiedział Mike. – To kosmiczni eksterminatorzy.

– Rzeczywiście – przyznał Mengsk. – I *nie potrafią* lub *nie chcą* odróżnić nas od Zergów. Może dla nich nie ma różnicy. Powinniśmy przygotować się do odlotu. Mogą nas zauważyć w każdej chwili.

Mike spojrzał na Raynora. Były strażnik stał jak skamieniały z ponurym wyrazem twarzy, trzymając kurczowo barierkę przed sobą. W świetle ekranów pokazujących niebieską poświatę statków Protossów wyglądał jak posąg. Jedyne jego oczy były żywe i przepełnione nieskończonym smutkiem.

– Raynor?! – zawołał Mike. – Jim? Wszystko w porządku?

– Nie – wykrztusił Jim Raynor. – To znaczy, czy może być w porządku po czymś takim?

Mike nie miał na to odpowiedzi i tak stali, podczas gdy planeta umierała, a Arcturus Mengsk szeptał do przygardłowego mikrofonu. Po chwili przywódca terrorystów powiedział – Jesteśmy gotowi do odlotu.

– W porządku. – Raynor nie spuszczał oczu z ekranu. – Ruszajmy.

Rozdział 9

Strażnik i duch

Jim Raynor był najbardziej przyzwoitym człowiekiem, jakiego spotkałem podczas upadku Konfederacji. Wszyscy inni, co mogę śmiało stwierdzić, byli albo ofiarami, albo złoczyńcami, lub też całkiem często i jednym, i drugim.

Na pierwszy rzut oka Raynor wyglądał jak wiejski kowboj, jeden z tych, których można zobaczyć w barach wymieniających się kłamstwami o dawno minionych dniach. Jest w nim jakaś zarozumiałość, zbyt pewność siebie, która początkowo denerwuje. Jednak z czasem można w nim dostrzec cennego sojusznika i – czy mam odwagę to powiedzieć? – przyjaciela.

Wszystko to wywodzi się z wiary. Jim Raynor wierzył w siebie i w tych, którzy go otaczali. Z tej wiary powstała siła, która pozwoliła mu i tym, którzy podążali za nim, przeżyć wszystko, co wszechświat miał dla nich w zapasie.

Jim Raynor był najbardziej porządnym i honorowym człowiekiem. Przypuszczam, że to dlatego przeżył on największą tragedię w tej zapomnianej przez Boga wojnie.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Dla Liberty’ego Mengsk wydawał się być kolejnym politykiem. Mimo wszystkich koszmarów, jakie go dręczyły, jego motywy były równie widoczne, jak te najmniej ważnego radnego na Tarsonis. Wciąż gromadził swoje siły i niechętnie chciał je przekazywać potencjalnym sojusznikom. To dlatego, zdał sobie sprawę Mike, wiedział, że ten człowiek dotrzyma swojego słowa – wciąż był w pozycji, w której niedotrzymanie go mogłoby mu zagrozić.

Mengsk z powodu przejść Raynora mianował go kapitanem, a Liberty uzyskał serię wywiadów w cztery oczy. Mike unikał takiej ilości propagandy, jakiej Mengsk najwidoczniej pragnął, ale to uczyniło charyzmatycznego przywódcę bardziej przystępnym dla Mike’a i jego pytań. Oporność Mike’a sprawiła, że dowódca rebelii bardziej pragnął jego aprobaty.

Powoli Mike zauważył, że coraz bardziej podziela zdanie Mengska o Konfederacji. Do diabła, sam to mówił w swoich reportażach, chociaż w bardziej ostrożny sposób.

Konfederacja Człowieka była przestępczą biurokracją, wypełnioną karierowiczami i łapówkowiczami, z zawołaniem wojennym „gdzie jest mój udział?”.

A Mengsk miał rację co do innej sprawy. UNN nigdy nie puściła żadnego z jego reportaży o zniszczeniu Mar Sary ani o współodpowiedzialności Konfederacji za atak. Ograniczyli się do powiedzenia ludziom, że we wszechświecie istnieje nie jedna, lecz dwie wrogie potęgi – skrywające się w ziemi Zergi i atakujący z powietrza Protossi. Obydwie rasy zostały przedstawione jako nieprzejednani wrogowie ludzkości, a jedynym ratunkiem przed nimi miało być zebranie się razem pod sztandarem Konfederacji, żeby odeprzeć atak.

– Taka jest natura tyranów – zauważył Mengsk pewnego późnego wieczora na pokładzie obserwacyjnym *Hyperiona*. Jego nietknięty kieliszek z brandy stał na stoliku między nimi. Szklanka Liberty’ego, już dawno opróżniona, stała obok szachownicy, na której leżał przewrócony biały król. Mengsk z przyzwyczajenia grał czarnymi, Liberty zwykle przegrywał białymi. Nieużywana popielniczka stała na odległym końcu stołu. Michael znowu rzucał palenie, ale Mengsk mimo tego zapewnił mu taką możliwość.

– Tyrani przeżyją tylko wtedy, gdy pokażą większego tyrana jako groźbę – kontynuował Mengsk. – Konfederacja nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa innej tyranii, która teraz nad nami czyha.

– Przed Protossami i Zergami – stwierdził Mike – ich ulubioną groźbą *byłeś ty*.

Mengsk zachichotał.

– Muszę przyznać, że uważam życzliwy despotyzm za najlepszą formę rządów. I nie sądzę, żeby zgodzili się z tym panujący oligarchowie.

– Czy ty pokazujesz większych tyranów, aby ukryć swoje nadużycia? – zapytał Mike.

– Oczywiście, że tak – powiedział Arcturus Mengsk. – Ale pomaga mi fakt, że nasi wrogowie są większymi tyranami niż my. Albo zawsze zamierzali być – podniósł przewróconego króla Mike’a z szachownicy. – Może jeszcze partyjkę?

Mike nie widział Kerrigan, a kiedy zapytał Mengska, ten powiedział jedynie, że jego zaufany porucznik najlepiej sprawdza się w polu. Mike zrozumiał to tak, że przygotowywała do rebelii kolejną planetę.

Miał rację. Dwa dni później Mengsk wezwał Liberty’ego i Raynora na pokład obserwacyjny. Graficzny wyświetlacz pokazywał kolejny świat, tym razem czerwonawo-brązowy. Zza niego wychylał się gazowy gigant, wyglądający niczym nadopiekuńczy rodzic.

– Antiga Prime – Mengsk postukał w ekran. – Graniczna kolonia Konfederacji Człowieka. Jej mieszkańcy są bardzo, bardzo zmęczeni wojskiem Konfederacji, które od pojawienia się Zergów i Protossów stało się bardziej surowe. Chciałbym, żeby kapitan Raynor wspomógł rewoltę Antigan na powierzchni. Oznacza to rozprawienie się z jednostką szwadronu Alpha, która pilnuje głównych naziemnych szlaków komunikacyjnych.

– Z przyjemnością, sir – odpowiedział Raynor. Mike zauważył, że Raynor wyglądał na spokojniejszego, bardziej opanowanego niż wtedy, gdy opuszczali system Sary. Włączenie

ocalonych z własnej jednostki do Synów Korhala Mengska najwidoczniej pomogło mu przetrzymać stratę Mar Sary, a śmiała beczelna natura z powrotem kipiała. Palił się do akcji.

Mengsk odwrócił się.

– A ty, Liberty, chcesz towarzyszyć tej jednostce?

– Może przeoczyłeś ten fakt, Arcturus – powiedział Liberty – ale wciąż nie pracuję dla ciebie.

– W tej chwili nie pracujesz dla nikogo – odpowiedział Mengsk. – UNN jest zauważalnie pozbawiona twojej znakomitości. Myślałem tylko, że będziesz zawodowo zainteresowany...

– I...? – Liberty zachęcił do kontynuowania wypowiedzi.

– I twój giętki język i mądre notatki mogą wystarczyć, żeby zachęcić Antigę do zrzucenia okowów. – Szeroki, odrobinę zawstydzony uśmiech zagościł na jego twarzy i Mike zrozumiał, że leci na planetę.

Antiga Prime była kiedyś wodnym światem, ale oceany zniknęły bez śladu. Jedyne co pozostało, to obszary pokryte wyschniętym błotem i niskie, płaskie rośliny pokryte purpurowym kwieciem. Z ziemi z rzadka wystawały zbieleńskie kości jakichś skamieniałych morskich stworów, jedyna pamiątka po istotach większych niż ludzie, które tu kiedyś były. Pamiątka piękna w swojej jałowości i martwocie.

Statek desantowy wysadził ich na niskim wzniesieniu, które wyglądało jak każde inne wzniesienie na Antidze.

Mengsk wspominał, że kiedy wylądują, skontaktuje się z nimi jego zwiadowca. Mike nie miał wątpliwości, kim będzie ten wysłannik. Kiedy rebelianci zabezpieczali okolice statku, utworzył stałe połączenie z Mengskiem i okręgowymi dowódcami.

Kerrigan pojawiła się znikąd, pomimo że wokół nie było gdzie się ukryć. Była ubrana w pancerz ducha – przystosowany do wrogiego środowiska – i przez plecy miała przewieszony potężny karabin. Jej hełm był otwarty i rude włosy błyszcząły w zbyt jasnym słońcu Antigi.

Kerrigan oddała szybki salut.

– Kapitanie Raynor, zakończyłam sprawdzanie terenu i... Ty świnię!

Mike szybko przyciszył swój komunikator. Raynor odskoczył do tyłu jak uderzony.

– Co? – zapytał – Nawet się do ciebie nie odezwałem!

Zbyt szerokie wargi Kerrigan ułożyły się w pogardliwy uśmiech.

– Tak, ale miałeś to na myśli.

– Ach tak, więc jesteś telepatką – domyślił się Raynor, obdarzając Mike'a takim spojrzeniem, że nawet reporter mógł je odczytać. *Dlaczego mnie o tym nie uprzedziłeś?* Do porucznika Kerrigan powiedział – Dobra, więc po prostu zabierzmy się za robotę, okay?

– W porządku – prychnęła Kerrigan. – Centrum dowodzenia jest parę klików na zachód na jednym z tych wzniesień. Szwadron Alpha, ale bez Duke'a. Przykro mi, chłopcy. Zdejmiemy ich, a miejscowe siły powstaną w rebelii. Jest tam kilka wież, które musimy zniszczyć, jeśli mam się tam dostać.

– Dobra – zmarszczył brwi Raynor. – Nie *muszę* ci mówić, że masz wyruszać.

– Nie, nie musisz – odpowiedziała Kerrigan – ale jest jeszcze coś.

– No dalej, poruczniku – powiedział Raynor. – Ja nie czytam w myślach.

– Wzrasta liczba raportów o ksenomorfach w tym rejonie. – Kerrigan niemalże uśmiechnęła się na myśl o reakcji na jej słowa.

Raynor zachmurzył się.

Mike niemal podskoczył na siedzeniu.

– Ksenomorfy? Zergowie? Tutaj?

– Okaleczenia bydła, tajemnicze zaginięcia, potwory z owadzimi oczami – potwierdziła Kerrigan. – Zwykle podejrzenia. Nie za wiele, ale wystarczająco dużo.

– Gówno – wymamrotał Raynor. – Konfederaci i Zergowie. Wygląda na to, że idą ręką w rękę. Okay, więc ruszajmy.

Szerokie, wyschnięte błota Antigi Prime były idealne do rozwijania dużych prędkości i zupełnie nieodpowiednie, aby znaleźć osłonę. Zwiadowcy marines dwa razy pojawiali się na południu, zmuszając Raynora na swoim Vulturze, żeby się nimi zajął, podczas gdy Kerrigan, oddział Raynora i Mike powoli wspinali się na płaskowyż. Brakowało im jeszcze około trzystu jardów, kiedy dostrzegli wieżę strażniczą.

Komunikator Mike'a zakrakał – Cholera – powiedziała Kerrigan – mają tam czujniki. Nie mogę nawet kichnąć, żeby mnie nie zauważyli. Czy możesz dostać posiłki, żeby się nią zajęły?

– Pracuję nad tym – warknął Mike, gdy kolejny pocisk trafił w występ skalny nad jego głową. – Raynor! Tu Liberty! Jesteśmy przygwożdżeni! Potrzebujemy twojej siły ognia, *muy pronto*.

Mike nie był pewny, czy były strażnik otrzymał jego wiadomość, dopóki nie usłyszał wysokiego zawodzenia silników Vulture'a. Kapitan przemierzył pobliskie wzniesienie w pojedynczym skoku, zbliżając się do wieży w momencie, gdy ta próbowała wycelować w niego swoje działko. Była zbyt wolna i z przodu pojazdu Raynora z rozbrzmiewającym grzmotem wyleciała salwa granatów odłamkowych. Płomienie objęły podstawę wieży.

Kerrigan krzyknęła i pozostała część oddziału wyległa z dotychczasowych schronień i poszatkowała wieżę ogniem pocisków. Raynor powtórzył bombardowanie, ale to była przesada. W momencie, gdy druga seria eksplozji ogarnęła podstawę, wieża była już przechylona i kiedy Raynor odlatywał, przewróciła się kompletnie.

Prywatna linia Mike'a zakrakała – Następnym razem postaraj się o coś poważnego! – powiedział kapitan.

– Co powiedział? – zapytała Kerrigan, a potem dodała – Nieważne. Jest świnią, ale całkiem kompetentną świnią.

Mike pokręcił głową.

– Kapitan Raynor jest jednym z najbardziej prawych, przyzwoitych ludzi, jakich

spotkałem od momentu opuszczenia Tarsonis.

– Jasne, taki jest z wierzchu – powiedziała Kerrigan. – Wszystko pod naprawdę dokładną kontrolą. Pod spodem, jak większość ludzi, jest świnia. Zaufaj mi, jeżeli o to chodzi.

Mike nie wiedział, co powiedzieć.

– Ostatnio żyje w dużym stresie – zdobył się w końcu.

– A kto nie? – Kerrigan znowu prychnęła.

Mogli już zobaczyć centrum dowodzenia, kolejną, standardowo produkowaną półkulę, przenośną jednostkę. Ta połyskiwała w słońcu, wyraźny znak, że Zergi jej jeszcze nie zainfekowały.

Nastąpiło kolejne połączenie. Tym razem to Raynor potrzebował wsparcia. Czy Kerrigan mogła mu odesłać na dół swoich żołnierzy?

– On chce... – rozpoczął Mike.

– Wyślij ich – powiedziała Kerrigan.

– Ale ty masz dostać się do...

– Muszę dostać się do środka. I mogę to zrobić albo ze wsparciem żołnierzy, albo bez niego. To tylko dodatkowe cele. Odeślij ich i kiedy będziesz mógł, podążaj za mną.

Mike przekazał rozkazy, w czasie gdy Kerrigan założyła hełm i kaptur stroju ducha. Mike patrzył, jak zapina hełm, dotyka urządzenia na pasie i...

Znika.

Nie, nie zupełnie zniknęła. Wokół niej było lekkie falowanie, takie, które można było dojrzeć, jeżeli wiedziało się na co patrzeć, i wpatrywało bardzo dokładnie. Strażnicy przy wejściu do centrum dowodzenia nie wiedzieli na co patrzeć i nie patrzyli wystarczająco dokładnie. Po salwie ognia z niewidzialnego karabinu o dużej sile rażenia obaj strażnicy rozpadli się, każdy na kilka kawałków. Potem była eksplozja przy głównym wejściu, które nagle szeroko się otworzyło. Przez moment w dymie widać było sylwetkę, kobiecą postać z wielkim karabinem. Następnie zniknęła ona w głębinach wrogiego centrum dowodzenia.

Mike szedł wolno, bardzo świadomy, że nie ma urządzenia do znikania i psionicznego talentu, który umożliwił powstanie telepatycznych duchów. Zatrzymał się na krótko przy martwych strażnikach. Nosili mundury szwadronu Alpha, ale ich krwawiące głowy były zasłonięte hełmami odbijającymi antygańskie słońce. Postanowił nie zdejmować przyłbic: to mogli być ludzie, których znał. Ludzie, którzy wciąż byli mu winni pieniądze z pokera.

Mike wślizgnął się do zdewastowanego budynku.

Łatwo było rozpoznać, dokąd poszła Kerrigan. Mike po prostu poszedł śladem połamanych i skrwawionych ciał. Kobiety i mężczyźni w kompletnych pancerzach zostali porzuceni jak szmaciane lalki i teraz leżeli porozginiatani w kałużach własnej krwi.

Michael Liberty na krótko przypomniał sobie porucznik Swallow i zdał sobie sprawę, że zaczął się przyzwyczajać do świeżych, martwych ciał. Może tworzył emocjonalny pancerz, niezbędny, żeby przetrwać we wszechświecie wojny.

Znalazł karabin Kerrigan wbity w przednią powłokę pleksiglasową przewróconego Goliatha. Z góry dochodziły odgłosy walki. Mimowolnie chwycił swój własny karabin i pośpieszył naprzód.

I został nagrodzony przywilejem oglądania Sarah Kerrigan w walce.

Była to krwawa poezja, balet wojenny. Znajdowała się w centrum placówki dowodzenia, teraz uzbrojona w nóż i mały miotacz pocisków. Pojawiała się na chwilę, podrzynała gardło i na powrót znikła w niebycie. Marines ruszali w tamto miejsce, a ona pojawiała się kilka stóp dalej, strzelając z bliska w hełm swojej ofiary. Potem znikła i znowu się pojawiała, tym razem z obrotowym kopnięciem, które łamało kark krzyczącemu oficerowi.

Mike podniósł broń, ale spostrzegł, że nie może strzelić. To było coś więcej niż niechęć odebrania ludzkiego życia. Nie mógł odróżnić, gdzie znajdowała się Kerrigan. A pośród tego wszystkiego ona poruszała się z kocią gracją i determinacją niszczącą wszystkich przeciwników, na których się natknęła.

Bardzo dobrze obchodziła się z nożami. Co ważniejsze była jak Protossi – wspaniała i zabójcza.

Stał w wejściu zaledwie przez minutę, ale tyle czasu wystarczyło Kerrigan, żeby uśmiercić wszystkich wrogów w centrum dowodzenia. Przeżyli jedynie ci, którzy na samym początku wybrali ucieczkę.

Dopiero wtedy Kerrigan pojawiła się, osuwając się wyczerpana na kolana tyłem do Liberty'ego.

Michael stanął za nią i wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia.

Jego ręka nie dosięgła jej. Bez wahania kobieta obróciła się w miejscu, jedną ręką złapała go za wyciągnięty nadgarstek, a drugą podniosła nóż.

– Nie – *rób* – tak. – powiedziała, wyraźnie oddzielając każde słowo. Potem upuściła nóż i ukryła twarz w dłoniach. – Boisz się mnie.

Mike zawahał się przez moment, a potem przytaknął – Możesz się założyć.

– Przepraszam – powiedziała. – Przykro mi, że musiałeś na to patrzeć.

Mike wziął głęboki oddech.

– Po prostu nigdy wcześniej nie widziałem cię przy pracy. Odpocznij przez chwilę. Ja muszę wywołać rewolucję.

Zepchnął połamane ciało z konsoli komunikacyjnej, włożył uprzednio nagrany dysk, ustawił dźwignię i na wszystkich kanałach przesłał główny sygnał.

– Tu Michael Liberty. Nadaję z Antigi Prime. Główne centrum dowodzenia tej planety zostało opanowane przez siły rebelii. Powtarzam: główne centrum dowodzenia tej planety zostało opanowane przez siły rebelii. Władza Konfederacji została podważona i istnieje poważna możliwość, że może być zupełnie obalona, jeżeli mieszkańcy Antigi powstaną, żeby przejąć kontrolę nad własnym przeznaczeniem. Konfederacyjni marines stacjonujący w centrum są albo martwi, albo uciekli, podczas gdy straty rebeliantów są... – spojrzał na Sarah

Kerrigan łkającą w dłonie – ... minimalne. Mamy wiadomość od Arcturusa Mengska, przywódcy Synów Korhala. Proszę poczekać.

Mike wsunął zaprogramowany kartridż do stacji i pozwolił, żeby gładkie, melodyjne słowa przywódcy terrorystów nakłoniły ludzi do działania. Mike z powrotem podszedł do Kerrigan, tym razem okrążając ją, żeby wiedziała, że nadchodzi.

Jej oczy były już suche, ale trzęsa się, obejmując się skrzyżowanymi ramionami i oddychając urywanymi haustami.

– W porządku – powiedział Mike. – Dostałaś wszystkich.

– Wiem – odrzekła, spoglądając na Mike'a. – Dostałam ich wszystkich, a gdy zabijałam każdego po kolei, wiedziałam, co czują. Strach. Panika. Nienawiść. Brak nadziei. Śniadanie.

– Śniadanie?

– Jeden z techników opuścił śniadanie i naprawdę żałował, że nie zjadł gofrów. – Kerrigan zachichotała, pociągając nosem. – Zaraz miał mieć podejrzięte gardło, a martwił się o gofry. – Dotknęła dłońmi skroni i przeczesała palcami rude włosy. – Nie warto być telepatą.

– Możesz się założyć – powiedział Mike, świadomy, że strach wciąż w nim tkwił. Strach, że Kerrigan mogła otworzyć mu żołądek, zanim mógłby zareagować, i że wiedziała, że o tym myśli.

– Wiem, że się boisz – zauważyła Kerrigan. – Ale potrafisz się do tego przyznać. To czyni cię mądrzejszym niż większość. Boże, przez co ja przeszłam, żeby się taką stać, co konfederaci mi zrobili. Wiesz?

– Wiem, że Konfederacja ma wiele głębokich dziur, w których ukrywa sekrety. Głębszych i czarniejszych niż sobie kiedykolwiek wyobrażałem. Szkolenia duchów były przygotowane dla elitarnej grupy starannie kontrolowanych telepatów...

Kerrigan potakiwała w miarę, jak mówił.

– Używali narkotyków, grózb i przemocy, dopóki nie posiadli twojego ciała i duszy. Nie byliśmy lepsi niż Zergowie, żołnierze stworzeni dla powiększenia imperium. Nie mieliśmy własnego życia, oprócz tego, na które pozwalała nam Konfederacja, dopóki nie byliśmy już dłużej potrzebni. Wtedy pozbywano się nas, żebyśmy nie stworzyli dalszych problemów. Chyba że...

– Chyba że uciekłaś – dokończył Mike. – Albo ktoś pomógł ci uciec. – Nagle zrozumiał, dlaczego ten były duch pracuje dla Arcturusa Mengska. Zawdzięczała mu życie.

– Chodzi o coś więcej, ale ogólnie rzecz biorąc tak – przytaknęła Kerrigan.

Usłyszeli ciężkie kroki od strony wejścia i Mike podniósł się z przyszykowanym karabinem. Opancerzona postać Raynora pojawiła się w przejściu.

– Wszystko w porządku, dzieci?! – krzyknął.

– Wszystko zrobione – odpowiedział Mike. – Centrum przechwycone. Wiadomość wysłana.

– Dobrze – stwierdził kapitan Raynor. – Dlatego, że duża część szwadronu Alpha zbliża

się do nas z południa i będziemy potrzebowali wszystkiego co możliwe, aby sobie z nimi poradzić. Ona w porządku?

– Tak. – Kerrigan wstała. – Możesz mówić bezpośrednio do mnie.

– Może będę po prostu *myślał* do ciebie – powiedział Raynor.

– Jim! – ostro zareagował Mike. – Wystarczy.

– Co? – Raynor wyglądał na zdumionego tonem Mike’a.

– *Wystarczy* – powtórzył Mike mniej zapalczywie, ale wciąż śmiertelnie poważnie.

Ogromny kapitan spojrzał na Mike’a i powoli przytaknął.

– Tak, myślę, że wystarczy.

– Przepraszam za obrazę – zwrócił się do Kerrigan.

– Przywykłam – odpowiedziała Kerrigan. – Powiedziałeś, że mamy więcej konfederatów do zabicia. Ruszajmy więc.

Przepchnęła się, mijając obu mężczyzn, i stopniowo stała się niewidzialna.

– Kobiety – pokręcił głową kapitan Raynor.

– Ostatnio żyje w dużym stresie – Mike zmiękczył swój ton.

– Mógłbym dać się zwieść – parsknął Raynor.

Pospieszyli za Kerrigan i wyszli z budynku. Wzdłuż horyzontu widać było niewielkie błyski bitwy między Antiganami a konfederatami.

Ponad nimi, na ciemniejszym niebie widać było inne błyski innej bitwy. Tańczyły na niebie niczym nowe gwiazdy i nikły dopiero wtedy, gdy olśniewający meteor przemknął przez niebo, rozdzierając w ślad za sobą atmosferę.

Rozdział 10

Wrak Norada II

Jest takie słowo ze starej Ziemi. Nazywa się schadenfreude – uczucie radości, które pochodzi z poznawania cierpienia innych. To tak jakby usłyszeć, że twój rywal dziennikarz nagle przeklął do mikrofonu, będąc na wizji, albo że szczególnie skorumpowany radny został przejechany przez śmieciarkę. Jest to radość z towarzyszeniem ukłucia winy z powodu czucia się tak dobrze i z cichą żarliwą modlitwą, żeby coś równie złego nigdy cię nie spotkało.

Obserwując Protossów i Zergów wgrzających się głęboko w terytorium Konfederacji, mieliśmy w bród schadenfreude.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Inni mężczyźni i kobiety poszli na wojnę, Mike powrócił do bazy Mengska i nadzorował przepływ wiadomości. Zapanowała ślepa panika, jakiej nauczył się oczekiwać w czasie wojny – jednostki nagle odcięte i żądające, a później błagające o posiłki, potem wsparte, a ostatecznie uratowane. Inne wiadomości z oddziałów, które nagle nikły w mgiełce promieniowania. I jeszcze inne wiadomości, tym razem od cywilów proszących o pomoc którejkolwiek ze stron.

Były też niezwykle raporty, te o nagle pojawiających się potworach przypisywanych siłom Konfederacji bądź rebeliantom, lub inwazji z zewnątrz. Ilość tych raportów wzrastała z godziny na godzinę i przekonały one Mike’a, że Kerrigan miała rację: Zergowie byli na Antidze.

Chciał walnąć pięścią w konsolę, kiedy coś sobie uświadomił. Obecność Zergów była podobna do raka, i o wiele bardziej śmiertelna. Dopóki nie znajdą sposobu, jak ich pokonać, Zergowie pożrą ten świat żywcem. Albo Protossi – śmiertelna chemioterapia – wysterylizują go, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się Zergów.

– Ale tak się nie dzieje – powiedział Mike do komunikatora. – Kilku komórkom zawsze udaje się przeżyć i rak rośnie dalej.

Furia tkwiła w nim tylko przez moment i została zastąpiona przez zdumienie wywołane przez wiadomość docierającą do niego przez słuchawki.

– *Tu mówi generał Duke z flagowego statku szwadronu Alpha Norad II. Lądowaliśmy awaryjnie i jesteśmy atakowani przez Zergów. Prosimy o natychmiastowe wsparcie od każdego odbierającego ten komunikat. Powtarzam, to sygnał SOS nadrzędnej ważności. Tu mówi generał Duke...*

Wołanie o pomoc szło w kółko i Michael wysłuchał go jeszcze trzy razy, zanim nie sprawdził pozostałych kanałów.

W kilku komunikatach proszono o potwierdzenie, mrowie innych odpowiadało, opisując ataki Zergów i antigańskich rebeliantów, a w jednym przypadku innego oddziału Konfederacji. Pojawiły się też raporty o statkach Protossów wewnątrz systemu, walczących z czymś, prawdopodobnie z Zergami podobnymi do tych, które strąciły *Norada II* gdzieś w zewnętrznym pierścieniu lodowych światów. Trafiły się też relacje o naziemnych siłach Protossów. Dużo hałasu, ale nic, i co przypominałoby szczerą, konkretną ofertą pomocy.

Jest ugotowany, pomyślał Mike. Stary Duke jest w końcu ugotowany.

Raynor wpadł do środka jakieś dziesięć minut później.

– Mike, idziesz ze mną. Wskakuj w kombinezon.

– Co jest grane? – zapytał Mike, sięgając po swój pancerz.

– Siedząc tutaj, nie słyszałeś wiadomości? – Raynor spojrzał tak, jakby świetlisty grom miał zaraz wyskoczyć z jego oczu.

– Zwykła panika i rozpacz – odpowiedział Mike, wskazując na pulpit. – Ach tak. Słyszałem, że Duke został w końcu awansowany na generała. Powinniśmy mu wysłać koszyk z owocami?

– Bardzo śmieszne, pismaku. Mengsk chce, żebyśmy poleciełi tam i go uratowali. Myśli, że Duke będzie dobrym sojusznikiem.

– Mam przywidzenia – zamrugał oczami Mike.

– Jest tak, jak powiedziałem – rzekł Raynor, trzymając hełm Mike'a.

– On zwariował.

– Przyjąłem do wiadomości – ponuro powiedział Raynor.

– I Mengsk chce, żebym *ja* pojechał? To wydarzenie, które mogę zrelacjonować stąd.

– To *ja* chcę, żebyś pojechał. Ten sukinsyn zamknął mnie i moich chłopców. Będę potrzebował kogoś, z kim będzie chciał rozmawiać.

– Czy wspomniałem, że kiedy rozmawiałem z nim ostatni raz, siłą wyrzucił mnie z mostka? – rzekł Mike, biorąc hełm.

– Teraz już tak, ale przynajmniej jestem pewien, że z miejsca go nie zastrzelisz.

Mike zamknął swój hełm i wyszedł za Raynorem z radiostacji.

– Nagle mam straszną ochotę na papierosa – zauważył.

– Może wydebisz jakiegoś od Duke'a.

Dopiero w drodze Mike pomyślał, żeby zapytać – Kerrigan wie o tym?

– Uhm.

– I uważa, że to dobry pomysł?

– Właściwie – powiedział były strażnik – to ona jest jedną z osób, które Mengsk nazywa szalonymi.

– Więc wy dwaj zgodziliście się co do czegoś. Jestem zdumiony.

– Tak – potwierdził Raynor. Potem była przerwa. – Tak, sądzę, że tak.

Arcturus Mengsk rozpoczął już rekrutację ludzi pod swoją komendę i kiedy Raynor i Mike przybyli na powierzchnię, wyprawa ratunkowa po zestrzelony krążownik już trwała.

Do oddziałów, które ostrzeliwały się poprzez równinę, należeli teraz rebelianci z Antigi, Synowie Korhala i dezercerzy z sił Konfederacji, którzy zatrzymali broń. Raynor jechał na skrzydle oddziału powietrznych motorów Vulture, ponad którym unosił się szwadron myśliwców A-17 Wraith. Potężne Goliathy zostawiały w miękkim mule platfusowate ślady i wkrótce wyprzedziły kolumnę czołgów obłędniczych Arclite, przedzierających się przez równinę z podporami podniesionymi na czas drogi.

Połączone siły niemal natychmiast napotkały opór. Zerglingi i hydryliski zaatakowały ze wszystkich stron, rozpryskując się niczym robaki o przednią szybę pojazdu. Niebo było pełne zarówno organicznych dział (teraz znanych Mike'owi i reszcie ludzkości jako mutaliski), jak i stworzeń, które wyglądały jak mózgi meduz ze szczypcami homarów; dryfowały one nad obcymi siłami niczym burzowe chmury nad pustynią.

Grupka marines na prawo od Mike'a tłoczyła się wokół czegoś, co wyglądało jak gigantyczny, wyprostowany zergling, tytanicznego stwora z przednimi szponami niczym ogromne, wygięte szable. Na horyzoncie coś, co wyglądało jak skrzyżowanie latającej kałamarnicy z wielką rozgwiazdą, uciekało przed atakiem myśliwców Wraith.

Przedarli się przez siły Zergów, część omijając, część eliminując. Grupa zerglingów wyskoczyła spod ziemi i wykończyła cały oddział marines, zanim Vulture'y zdążyły przybyć i położyć miażdżący ogień zaporowy.

Zergi cofały się, powracały w większej liczbie i znowu cofały. Mike miał wrażenie, że walczą z morzem. Fale były odpychane, ale był pewny, że to było złudzenie. Nadchodził przypływ i napór fal miał się zwiększyć.

Gdzieś w głębi Mike wiedział, że Antiga Prima była przeklęta, tak jak przeklęte były Chau Sara i Mar Sara. Te stworzenia przekopywały się przez serce planety i albo zwyciężą, albo Protossi spalą ich z kosmosu.

Obrona Zergów wzmocniła się na chwilę, potem znów pękła i ludzie wdarli się do środka, zmierzając w kierunku wyżyn, gdzie wylądował *Norad II*. Po jednym spojrzeniu na statek Mike wiedział, że stary behemoth już nigdy nie wzniesie się w górę. Tuby jego tylnych silników były skrzywione pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do reszty konstrukcji, a podpory służące do lądowania, jeżeli w ogóle zostały wysunięte, zupełnie

utonęły w mule. Przedni mostek statku niebezpiecznie zwisał na krawędzi wzniesienia, stanowiąc dobry punkt widokowy na spustoszenie poniżej.

Mike i Raynor podlecieli do otwartego luku i wprowadzili Vulture'y na pokład. Podczas gdy ręcznie zamykali właz, następna fala mutalisków pojawiła się nad horyzontem.

– Którędy – zapytał Raynor, ściągając hełm.

– Za mną – odrzekł Mike, zmierzając w kierunku mostka. Mimo że miał pancerz, bez wysiłku poruszał się ciasnymi korytarzami *Norada II*. Zauważył, że Mengsk na swoim statku zapewnił szersze korytarze, niż to się udało zrobić Konfederacji.

Duke wyglądał tak, jak gdyby nigdy nie opuścił mostka. Srebrnowłosey goryl wciąż garbił się nad swoją stacją w opancerzonej kryjówce. Jediną zmianą były ekrany wokół niego, które nie pokazywały nic oprócz śnieżenia, i wiązka kabli wzdłuż jednej z przegród. Duke obrócił się do przybyszów i zachmurzył się.

– Jesteście ostatnimi, których spodziewałbym się tu ujrzeć – warknął.

– Taa, my też pana kochamy, generale – odpowiedział Mike, przepychając się do komunikatora statku. Wpisał kod komunikacyjny bazy Mengska.

– Po co to wszystko? – prychnął Duke.

– Słowo od sponsora – powiedział Mike. – Wydaje mi się, że minęły lata od chwili, kiedy to po raz ostatni powiedziałem. Czy ma ktoś fajkę?

Na ekranie pojawiła się niewyraźna sylwetka Arcturusa Mengska. *Mengska*, pomyślał Mike, *bezpiecznego w sekretnej kryjówce, podczas gdy reszta z nas odwala za niego robotę.*

Mike sądził, że to niemożliwe, ale Duke zachmurzył się jeszcze bardziej.

– Gdzie jest haczyk, Mengsk? – zapytał generał.

– Haczyk? – warknął Raynor. – Ja ci dam *haczyk*, ty oślizgły konfederacyjny kawałku...

– Spokojnie, Jim – powiedział Mike.

– W razie gdyby pan nie zauważył – rozpoczął Mengsk – Konfederacja się rozpada, Duke. Kolonie otwarcie się buntują. Zergowie sieją niepowstrzymane spustoszenie. Co by się dzisiaj stało, gdybyśmy się tutaj nie pojawili?

– W czym rzecz? – Duke zachował kamienną twarz.

Mike sprawdził inne ekrany. Kolejny atak Wraithów rozproszył mutaliski, ale latające rozgwiadzy zdawały się być bardziej wytrzymałe.

– Daję panu wybór – gładko powiedział Mengsk. – Może pan wrócić do Konfederacji i przegrać lub też przyłączyć do nas i pomóc ocalić całą rasę przed opanowaniem przez Zergów.

– Oczekuje pan, że na to odpowiem?

– Nie sądzę, żeby to była trudna decyzja. – Niewielki uśmiech zagościł pod szpakowatymi wąsami Mengska.

– Jestem *generałem*, na litość boską – wybuchnął Duke.

– Ach tak – powiedział Mike – gratulacje. Czy mamy to umieścić na pańskim nagrobku?

– Michael, proszę – rzekł Mengsk. – Duke, jest pan generałem bez armii. Oferuję panu pozycję wśród moich współpracowników, w moim rządzie, a nie w jakimś zaścianku, gdzie umieścili pana przed wojną.

– No nie wiem... – zawahał się Duke, a Mike przez chwilę obserwował niepewność żołnierza. Mengsk miał go. Biedny Duke złapał się na haczyk. Tylko jeszcze o tym nie wiedział.

– Nie nadwerężaj mojej cierpliwości, Edmundzie – powiedział Mengsk. Gdzieś za grodziami coś eksplodowało. Prawie jakby to było zaplanowane, żeby podkreślić wypowiedź Mengska.

Duke zamilkł na chwilę dla lepszego wrażenia, a potem stwierdził – Dobra, Mengsk, Zgadzam się.

– Dokonałeś dobrego wyboru... generale *Duke* – zakomunikował Mengsk. – Kapitanie Raynor?

– Tak, sir? – Teraz Raynor się chmurzył.

– Odeskortujcie pomocników generała i sprzęt w bezpieczne miejsce. – W trakcie wypowiedzi Mengska Duke uruchomił mechanizm autodestrukcyjny statku. W ciągu dwudziestu minut będą kilka klików stąd, a *Norad II* będzie termonuklearną kulą ognia.

– Mam nadzieję, że zabierze ze sobą wielu Zergów – powiedział Mike, w czasie gdy mostek zaczął się szybko, bardzo szybko opróżniać.

Później Mike wrócił do centrum komunikacyjnego Mengska. Po wybuchu *Norada II* w walkach nastąpiła przerwa. Oddziały Konfederacji, łącznie z tymi neuronowo resocjalizowanymi, łatwo zmieniły strony, za oficjalnym przyzwoleniem, i teraz jedynymi wrogami byli nie ludzie.

Jedyną wadą było, że nie mogli się uskarżać na ich brak.

Mike sporządził reportaż o uratowaniu *Norada II* i umieścił go w sieci. Oparł się i przecesał dłonią włosy. Czuł się chudszy niż przedtem.

Nieco pognieciona paczka papierosów oraz pudełko zapalek wylądowały na konsoli.

– Jeden z załogi *Norada II* mówi, że wyrównał rachunki – zakomunikował Raynor.

– Wspaniale – odrzekł Mike, wyciągając fajkę.

– Kolejny reportaż donikąd?

– A ja myślałem, że to Kerrigan czyta w myślach. Ale tak. Ciężko pozbyć się starych nawyków. Co więcej, mam takie marzenie, że ktoś znajdzie te relacje wiele lat później i zda sobie sprawę z poświęcenia tych wszystkich kobiet i mężczyzn przeciwko tym stworom. I z głupoty również.

W czasie gdy Mike zapalał papierosa, Raynor usiadł na krześle naprzeciwko niego.

– Nie sądzę. Mengsk mówi, że to zwycięzcy piszą historię. Wspomnienia przegranych są zapomniane jak wczorajsza data.

Mike zaciągnął się głęboko i kaszlnął, robiąc grymas.

– Czym oni je nasączają, kocimi sikami?

– Najlepsze jakie mogłem w tych okolicznościach znaleźć – podniósł ręce Raynor. – Historia naszego życia.

– Możesz się założyć – powiedział Mike. – Wracając do Mengska, jak poszła rozmowa z Arcturusem?

– Powiedziałem mu, że Duke to żmija – westchnął Raynor – a on odpowiedział, że...

– Że to *nasza* żmija, tak?

Raynor pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Wierzę w sprawę Mengska, w to że czas Konfederacji się skończył, i to on wyciągnął mnie z tego całego zamieszania, ale niektóre umowy, jakie zawiera... Niektóre z rzeczy, których od nas wymaga...

– Nie zastanawiaj się nad sprawą – powiedział Mike, zaciągając się boleśnie. – To po prostu złamie ci serce. Kiedy ideały spotykają się z rzeczywistością, rzeczywistość rzadko kiedy przegrywa. Widziałem więcej polityków stających się ludźmi do wynajęcia niż zerglingów. A widziałem wiele tych ostatnich.

Pomiędzy dwoma mężczyznami zapadło milczenie. W tle przyciszony głośnik opowiadał o mutaliskach, Wraithach, Goliathach i hydraliskach, i o stworach podobnych do rozgwiazd, które nazwano królowymi Zergów. I o śmierci. Nieprzerwanie mówili o śmierci.

– Mówiłem ci, że kiedyś byłem żonaty? – przerwał milczenie Raynor.

Mike miał wrażenie, że pod jego nogami otwiera się szeroka i głęboka przepaść pełna osobistych zwierzeń.

– Nie, nie mówiłeś – powiedział spokojnie, mając nadzieję, że nie będzie musiał odwzajemniać wyznań.

– Byłem żonaty. Miałem dziecko. Powiedzieli, że ma „talent”.

– Słyszałem ten cudzysłów. Talent taki jak u duchów? Moc psioniczna? Telepatia?

– Taa. Wysłali go do specjalnej szkoły. Stypendium rządowe. Kilka miesięcy później dostaliśmy list. W szkole zdarzył się „wypadek”.

Mike słyszał o takich listach. Na nieszczęście takie listy dotyczące telepatów były aż nazbyt częste. Kolejny z małych brudnych rzadko ujawnianych sekrecików Konfederacji.

– Przykro mi – zauważył Mike, bo tylko tyle mógł powiedzieć.

– Tak, Liddy nigdy nie wydobrzała. Po prostu zmarniała tej zimy, kiedy zachorowała na gripę. Potem pograżyłem się w pracy. Odkryłem, że lubię pracować samotnie.

– Łatwo dać się złapać w tę pułapkę, pograżyć się w pracy – stwierdził Mike, spoglądając na światelko na konsoli oznaczające, że jego reportaż został wysyłany w próżnię.

– W każdym razie chciałem, żebyś wiedział – powiedział Raynor. – Mogłeś sądzić, że byłem ostry dla Kerrigan za to, że jest telepatką. Może byłem, ale mam swoje powody.

– Ona też ma problemy. Takie jak każdy inny i takie, z którymi nigdy się nie spotkałeś. Mogłbyś się trochę rozluźnić w stosunku do niej.

– To trochę trudne, kiedy ona wie, o czym naprawdę myślisz.

– Kerrigan zdaje się być dobrym żołnierzem – oznajmił Mike, a obraz jej przynoszącego śmierć tańca nieodwołalnie zagościł w jego umyśle. – Może jest trochę zbyt głęboko zraniona, to wszystko.

– Myślę, że jest niebezpieczna – zakomunikował Raynor. – Niebezpieczna dla żołnierzy wokół niej. Niebezpieczna dla Mengska. I niebezpieczna dla samej siebie.

Mike wzruszył ramionami, niepewny, jak najlepiej zwierzyć się byłemu strażnikowi.

– Miała ciężkie życie – zdecydował się w końcu.

– A my mieliśmy jak dotąd łatwe? Tak czy inaczej powinniśmy na nią uważać. Obserwuj ją. Nieważne, czy się zorientuje, czy nie, chociaż prawdopodobnie tak. Potrzebujemy wszystkich aniołów stróżów.

Po tym stwierdzeniu zmienili temat rozmowy, zastanawiając się, jakie planety przyłączą się do rebelii i jaki efekt na innych dowódców wojska będzie miała dezercja Duke'a. W końcu Raynor wyszedł, pozostawiając Mike'a w łagodnym pośpiechu pokoju komunikacyjnego.

Mike spojrział na w połowie opróżnioną paczkę papierosów. Wciąż czuł gorzki smak pierwszego.

– Do diabła – wyraził opinię, sięgając po papierosy i zapalki – myślę, że możemy się nauczyć tolerować niemal *wszystko*.

Rozdział 11

Szachy

Grałem w szachy z Arcturusem Mengskim. Nawiasem mówiąc, zwykle przegrywałem. Pewnego dnia zostaną pewnie doprowadzony przed jakiś wysoki trybunał, gdzie powiedzą mi, że to zdrada stanu, a ja nie będę miał nic na swoją obronę. Nic poza tym, że przegrałem więcej razy, niż wygrałem. Zazwyczaj Mengsk kusił mnie w grze jakąś przynętą, a ja dawałem się złapać tylko po to, żeby później odkryć, że odwrócił moją uwagę od pułapki, jaką na mnie szykował.

Cała ludzka kampania przeciwko Zergom była podobna, składająca się z serii porażek, każda bardziej drażniąca niż inna, ponieważ za każdym razem nie zauważaliśmy, o co naprawdę chodziło. Pierwsze ostrzeżenie, że Zergowie są na planecie, przychodziło zwykle zbyt późno, kiedy plecha pojawiała się przed naszymi drzwiami, albo kiedy pojawiali się Protossi w swoich gromowladnych statkach.

Myśleliśmy, że możemy przed tym uciec. Niektórzy, tak jak Mengsk, myśleli, że możemy to kontrolować. Ale wszyscy byliśmy pionkami w większej grze.

Nie, nie pionkami. Klockami domina. Każde po kolei upadało, planeta po planecie, osoba po osobie, dopóki nie dotarliśmy do największego klocka, tego zwanego Tarsonis.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

– Ktoś kiedyś porównał wojnę i szachy – powiedział Arcturus Mengsk, wykonując ruch koniem tak, żeby jednocześnie zagrozić królowej i gońcowi Mike’a.

– Jesteś w obu bardzo dobry – stwierdził Mike, przesuając królową, żeby pobić wieżę Mengska.

– Właściwie uważam, że to porównanie jest nieprawdziwe – odpowiedział terrorysta, zbijając koniem gońca. – Szach mat, nawiasem mówiąc.

Mike zamrugał oczami. Teraz strategia Mengska wydawała się oczywista, tak samo jak niewidoczna była jeszcze kilka sekund przedtem. Reporter zganił się w myślach i sięgnął po kieliszek z brandy. W tle rozbrzmiewały pradawne nuty Millera i Goodmana. Popielniczka przy szachownicy pełna była niedopałków, z których wszystkie należały do Mike’a.

Wydawały z siebie słaby zapach kociej uryny.

Znajdowali się na pokładzie *Hyperiona*, stojącego w ukrytym hangarze na Antidze Prime. Duke przekształcał oddziały rebelianckie w coś bardziej zbliżonego do sił Konfederacji. Raynor towarzyszył mu, żeby powstrzymać go przed uczynieniem totalnego bałaganu. Mike nie miał pojęcia, gdzie była Kerrigan, ale to było do niej podobne.

– Szachy nie są jak wojna? – zapytał Mike.

– Może kiedyś były – odrzekł Mengsk – na Starej Ziemi, dawno temu w otchłani czasu. Dwóch równych przeciwników, z równymi siłami na płaskim polu walki.

– Teraz już nie.

– Rzadko – powiedział terrorysta, rozgrzewając się do dyskusji. – Po pierwsze, przeciwnicy rzadko są naprawdę równi. Konfederacja Człowieka miała pociski Apocalypse, moja planeta nie. Konfederacja zgrywała tę kartę, dopóki Korhal IV nie stał się kulą poczerńiałego szkła, wiszącą w przestrzeni. Aż dotąd. Podobnie, jeśli chodzi o naszą małą rewolucję, na początku wyglądało na to, że nie mamy ludzi i funduszy, ale z każdą kolejną rewoltą Konfederacja traci coraz więcej siły do walki. Jest stara i spróchniała, i wszystko, czego potrzebuje, żeby się zawalić, to mocne pchnięcie. Tego nie uświadczysz w szachach.

– Po drugie – kontynuował Mengsk – chodzi o sprawę równych sił. Wspomniałem o pociskach, tak skutecznych w czasach mojego ojca, a będących zaledwie kapiszonami w obliczu sił będących w użyciu dzisiaj. Broń cały czas ewoluuje – broń jądrowa, telepaci, a teraz Zergowie hodowani przez Konfederację.

– Wojna z założenia miała przyspieszać rozwój – zauważył Mike.

– Tak, ale większość ludzi stosuje analogie karabinów i pancerzy: jedna strona ma lepsze karabiny, druga produkuje lepsze pancerze, co powoduje powstanie lepszych karabinów i tak dalej. Naprawdę to lepsze karabiny przyczyniają się do wymyślenia broni chemicznej, która z kolei powoduje atak telepatyczny, który wpływa na stworzenie sztucznej inteligencji operującej bronią. Wymagania wojny rzeczywiście przynoszą rozwój, ale to nigdy nie jest elegancki, linearny wzrost, o jakim uczy się w szkole.

– Albo czyta się w gazetach.

Mengsk uśmiechnął się.

– Po trzecie, chodzi o pole bitwy. Szachownica jest ograniczona przez siatkę osiem pól na osiem. Poza tym małym wszechświatem nie ma nic. Nie ma dziewiątego rzędu. Żadna zielona figura nie pojawi się na planszy, by zaatakować czarne i białe. Żaden pionek nie zostanie nagle gońcem.

– Pionek może zostać królową – napomknął Mike.

– Ale tylko gdy przejdzie wszystkie pola w swoim rzędzie, znajdując się w ciągłym zagrożeniu. Nie staje się nagle królową z własnej woli. Nie, szachy nie są wcale podobne do wojny, co jest jednym z powodów, dla których w nie gram. Są dużo prostsze od prawdziwego życia.

Nie po raz pierwszy Mike pomyślał o niemal nadnaturalnej zdolności Mengska do zakrzywania wokół siebie rzeczywistości.

– Myślisz, że Konfederacja będzie w stanie wymyślić broń przeciwko ostatnim atakom? Przeciwko Protossom i Zergom?

– To mało prawdopodobne, chociaż próbują wszystkiego, a najlepiej im wychodzi propaganda i uciszanie tych, co mówią za głośno. To ich najlepsza broń i nigdy się nie wahali przed jej użyciem. Jednak teraz tylko rzucają okruchy w kierunku atakującego ich słonia. Poczekaj, mam tu coś, co chciałbym ci pokazać. – Mengsk nacisnął liczne przyciski na zdalnym pilocie. Patrzył się na niego, jakby starał się przypomnieć sobie szyfr.

– Myślałem, że mówiłeś, że Konfederacja hoduje Zergów. Czy nie są oni jej bronią? – zapytał Mike.

– Na początku też tak myślałem. – Mengsk nacisnął jeszcze kilka przycisków. – I chociaż mogę się mylić, to jeżeli chodzi o naszą propagandę, jest to nasza wersja i trzymamy się jej. Nic nie podkopie wiary w rząd tak szybko, jak świadomość, że w wolnym czasie hodował on śmiertelną, obcą rasę.

– A prawda to... – zachęcił Mike.

– A prawda jak zawsze nadaje się do kształtowania. – Mengsk uśmiechnął się szeroko. – Tak, Konfederacja badała Zergów przez lata i te w systemie Sary zostały tam celowo umieszczone przez wysłanników Konfederacji. Tak, to był sprawdzian wielkiej broni. Ale nie, to nie oni stworzyli Zergów. Nie, oni mieli w głowach o wiele gorszy plan. Znaleźliśmy to na dyskach, które przywieźliście z Raynozem z kompleksu Jacobsa. Proszę bardzo, z pewnością to docenisz.

Nacisnął przycisk i na ekranie pojawił się zamazany obraz. Kiedy zakłócenia zniknęły, Mike spostrzegł rzędy nizin i płaskowyżów pod pomarańczowo-brązowym niebem. Scena ta mogła się rozgrywać gdziekolwiek na Antidze Prime. Znajome logo UNN widniało przy jednej krawędzi, a ceny akcji na międzyplanetarnej giełdzie przesuwają się u dołu ekranu.

Nagle przerażająco znajomy głos przemówi zza kadru.

– Tu Michael Liberty, relacjonujący z Antigi Prime.

Mike zamrugał. To był jego głos, część z jego ostatniej transmisji. Ale nigdy nie wysłał dokładnie tego materiału. Wyciągnęli to z jakiś starych nagrań?

Kamera kontynuowała panoramiczny objazd, a potem skupiła się na mówcy. Był ubrany w schludny prochowiec (dużo bardziej schludny niż ten wiszący obecnie w szafie Mike'a), jego blond włosy były spięte w kucyk, żeby ukryć łysinę, rysy jego twarzy, na których widać było piętno życia, głęboko wyżłobione, a oczy przeszywające i pełne wyrazu.

Był to Michael Liberty, ale nie Mike. Ten Michael Liberty wyglądał niemal jak wyidealizowana wersja samego Mike'a.

Postać na ekranie kontynuowała – Właśnie wydostałem się z rąk niesławnego terrorysty Arcturusa Mengska. Zostałem pochwycony przez rebeliantów na Mar Sarze, krótko przed

tym, zanim gadzi Protossi zniszczyli planetę, i dopiero teraz wydostałem się na wolność.

– To nie ja – powiedział Mike.

– Wiem – odrzekł Mengsk. – A Protossi, z tego co wiemy, nie są gadami. Ale patrz dalej.

– Podczas mojej niewoli odkryłem, że Mengsk i Synowie Korhala posiadają potężny narkotyk służący do kontroli umysłu, który użyli przeciwko ludziom – ciągnął ekranowy Mike Liberty. – Setki umarły w wyniku masowego rozsiewu, który może być opisany jedynie jako atak chemiczny przeciwko niewinnym cywilom. Inni, na skutek efektów ubocznych, podlegli dziwnym mutagenicznym wynaturzeniom.

Mengsk zaklął, ale postać na ekranie nie przerywała.

– Mengsk wysłał sabotażystę na pokład *Norada II* i zaraził załogę złośliwą toksyną. Rezultatem była niedawna katastrofa statku. Wysłannicy Synów Korhala pochwycili ludzi poddanych działaniu narkotyku, a resztę wydali na pastwę sojusznicznych Zergów.

– Sojusznicznych Zergów? Kto pisał te bzdury? – warknął w kierunku ekranu Mike.

– To wszystko jedno – głos Mengska był spokojny. – Same kłamstwa i tyle.

– Jestem przekonany, że generał Edmund Duke, potomek rodziny Duke z Tarsonis, padł ofiarą kontroli umysłu i jest teraz jedynie umysłowo zaprojektowanym zombie, będącym na usługach terrorystów. W ten sposób Mengsk i jego nieludscy sojusznicy mają nadzieję zmylić dzielnych żołnierzy Konfederacji i sprawić, by ci stracili zaufanie do przywódców.

– Dzielni żołnierze... Użyłem tego w kawałku, który zrobiłem na *Noradzie II* – zauważył Mike – A ten kawałek o „złośliwej toksynie” też mi coś przypomina.

– Zakażenie wód gruntowych przy szkole średniej – przypomniał Mengsk. – Jeden z twoich lepszych, wczesnych kawałków, jeśli dobrze pamiętam.

– Tylko dzięki stałej czujności możemy pozbyć się terrorystów takich jak Mengsk i jego umysłowo kontrolowani pomocnicy – powiedziała postać z ekranu. – W tej chwili potężny kordon Konfederacji otacza Antige Prime, a terroryści powinni zostać unicestwieni w przeciągu kilku dni. Dla UNN mówi Michael Daniel Liberty.

Mengsk nacisnął kolejny przycisk. Michael Daniel Liberty zamarł na ekranie.

– Widziałeś to!?! – krzyknął Mike, podskakując na krześle. – To nie byłem ja!

– Mam nadzieję, że nie – powiedział Mengsk ze spokojnym uśmiechem. – Wyglądasz na racjonalnego i prawdomównego reportera, przynajmniej przez większość czasu.

– Jak oni to zrobili?

– Nigdy nie używałeś fotomontażu? – podniósł brew Mengsk.

– Oczywiście – rzekł Mike i szybko dodał – Czasem, gdy nie mogliśmy potwierdzić faktów lub prawnicy mieli jakiś problem, albo gdy coś nie podobało się sponsorom. To znaczy, że miałem wcześniej nakręcone materiały i czasem trzeba było coś wstawić, żeby zmienić ogólne znaczenie informacji. Ale to... to jest...

– Kłamstwo?

– Fałszerstwo – zdenerwował się Mike.

– W rzeczy samej. Zebrane razem fragmenty poprzednich reportaży, podstawiony aktor, zmienione piksele. Przypominam ci, że to, co bardzo łatwe na płaskim ekranie, jest niemożliwe z prawdziwym hologramem. To dlatego, jak wiesz, wolę ten ostatni. To wystarczy, żeby przekonać widzów, że żyjesz, masz się dobrze i walczysz w słusznej sprawie dla UNN i Konfederacji.

– Ale moje relacje... – oburzył się Mike.

– Zostały przemontowane i ponownie użyte.

Mike rozparł się na krześle.

– Zamierzam *zabić* Andersona.

– Obawiam się, że twój Anderson może już nie żyć – oznajmił terrorysta. – Był tak samo oddanym swojej pracy dziennikarzem jak ty.

Mike prychnął.

– Albo – zastanawiał się Mengsk – współpracuje z obecnymi władzami, chociaż wie, że to straszny pomysł. Może dlatego jest tam kawałek o „toksycznych truciznach” – wewnętrzny sabotaż, rozpaczliwe wołanie o pomoc. Chodzi mi o to, że to nie ma sensu: dlaczego narkotyki służące do opanowania umysłu, miałyby być trucizną? Oczywiście jednak, sprawia to, że to zdanie pasuje do reszty.

– Tak, to byłoby podobne do Handy’ego Andersona.

– Chciałem tylko, żebyś wiedział, że twoja własna stacja jest przeciwko tobie. Nie chciałem, żebyś dowiedział się, gdy będzie za późno. Na przykład na polu walki – Mengsk nappełnił kieliszek Mike’a.

– Ale dlaczego w ten sposób?

– Propaganda to najlepsza i najcięższa broń Konfederacji. To ich młot. A kiedy masz młotek, wtedy wszystko wokół wygląda jak gwóźdź.

– Myślałem, że mają na ciebie coś lepszego niż dziennikarz – mruknął Mike i skinął głową w kierunku ekranu. – Co stało się z ich badaniami na Zergach, z materiałami, które wydostaliśmy z kompleksu Jacobsa?

– Ach. – Mengsk nacisnął inną sekwencję przycisków. – Dysk Jacobsa. Cieszę się, że pamiętasz, to znaczy, że mój opanowujący umysł narkotyk nie do końca na ciebie działa. No, nie patrz tak na mnie, to miał być żart.

– Jestem teraz po prostu trochę przewrażliwiony. To przejdzie.

– Spodziewałem się jakiejś broni, czegoś, co pozwoliłoby im zachować przewagę technologiczną. Zamiast tego znaleźliśmy coś dużo bardziej interesującego. Proszę uprzejmie. Oczywiście słyszałeś o duchach?

Mike pomyślał o Kerrigan, bezlitosnej wojowniczkę, która przeżywała śmierć każdej ze swoich ofiar.

– Telepatyczni wojownicy. Specjalność Konfederacji i przykład przewagi technologicznej.

– Interesujący przypadek, jeśli mogę pozwolić sobie na dygresję. Początkowo pasażerowie statków kolonijnych byli zwykłymi ziemianami, ale długa podróż najwidoczniej doprowadziła do zmian genetycznych, które wywołały więcej zdolności psionicznych, niż posiadało na początku społeczeństwo Terran. Interesujący zbieg okoliczności.

– Myślałem, że obaj znajdujemy się w punkcie, gdzie nie wierzymy w zbiegi okoliczności. – Mike napił się brandy.

– Na skutek manipulacji – wzruszył ramionami Mengsk – lub przez przypadek, mieszkańcy mieli zdolności telepatyczne. Później, znowu celowo lub przez przypadek, odkryliśmy to i stworzyliśmy duchy – doskonałych zabójców potrafiących czytać w myślach. To okropny proces – niewiele dzieci przechodzi go bez uszkodzeń. I, do niedawna, kontrola Konfederacji nad nimi wydawała się niezachwiana.

– Porucznik Sarah Kerrigan. Jak udało ci się złamać kontrolę nad nią?

– To przypadek, kiedy jedna strona ma lepszy pancerz, a druga potężniejszą broń – powiedział z uśmiechem Mengsk. – Wystarczy, że powiem, że kontrola nad nią została złamana i to w taki sposób, że Kerrigan pozostała niemalże nietknięta i bardzo użyteczna.

– I wdzięczna.

– I wdzięczna – przyznał Mengsk. – I działała wystarczająco często, aż zdenerwowało to Konfederację.

– Co doskonale ci odpowiada – powiedział Mike. – Ale dość już dygresji.

– Tak. Teraz przejdźmy do dysku Jacobsa. Okazało się, że nasi zaraźliwi przyjaciele, Zergowie, są podatni na emanacje psychiczne. Widocznie długość fali, na której funkcjonują duchy, jest zbliżona do tej używanej przez potężniejsze Zergi w celu kontroli nad pozostałymi. Więc na krótką odległość mogą się na nią kierować.

– Na jak krótką? – zapytał Mike, nagle myśląc o działaniach Kerrigan w systemach Sary i Antigi.

– Dla normalnego telepaty na bardzo, bardzo krótką. Dziesiątki jardów w najlepszym wypadku. Do tego czasu hydraliski i tak mogą wyczuć ich zapach. Poza tym to część technologii wykorzystywanej w detektorach Konfederacji i innych wykrywaczach duchów.

– Broń i pancerz. Czy duchy mogą czytać w umysłach Zergów, podobnie jak to czynią z ludźmi?

– To o wiele bardziej bolesne. Ale tak, konfederaci próbowali tego. Doszli do wniosku, że Zergi są ostatecznym ogniwem drabiny pokarmowej: wszystko jest albo genetycznym materiałem dla ich stworzenia, albo mięsem dla ich potomstwa. Działają na zasadzie centralnych ośrodków myśli, każdy jest potężniejszy niż ten pod nim i w sumie rozrastają się do niemal planetarnej świadomości.

– Brzmi odrażająco. – Mike ponownie napił się brandy. Wypaliła mu gardło i przypomniała, że jest człowiekiem.

– Paskudnie. Protossi są tak samo straszni – kontynuował Mengsk. – Pamiętaj, że

wszystko, co jest na dyskach, opisuje punkt widzenia Zergów, ale tym niemniej Protossi są największymi genetycznymi purystami. Uważają się za sędziów wszechświata, niszcząc każde istnienie, które wymyka się spod kontroli i nie odpowiada ich standardom doskonałości.

– Genetyczni straceńcy przeciwko genetycznym ksenofobom. Para stworzona w piekle.

– Dokładnie tak. Więc Konfederacja odkrywa Zergów i przyciąganie telepatyczne. Chce mieć więcej Zergów.

– Więcej? W imię jakiego boga chcieliby mieć więcej?

– Nelineamej natury wojny, synu. Szukali broni mającej zalety broni jądrowej i pozbawionej jej wad, takich jak promieniowanie albo złe mniemanie opinii publicznej. Zergowie byli doskonali – źli i szkaradni obcy, których Konfederacja mogła wykorzystać przeciwko komukolwiek, a później się ich pozbyć. Kieszonkowa plaga potworów.

– Mówiłeś, że myślałeś, że ich hodują.

– I myliłem się – gładko zaprzeczył Mengsk. – Rozmnażanie ich jest bardziej skomplikowane niż złapanie grupki zerglingów i wsadzenie ich do jednej klatki. Więc potrzebowali zwabić więcej do swoich pułapek i wtedy na scenę wkroczyli telepaci.

– Ale telepaci mają ograniczony zasięg.

– Tak – zgodził się Mengsk. – Więc starali się zwiększyć zasięg. To, co wydostaliście z instalacji Jacobsa, to były plany Międzywymiarowego Emitera Fal Psionicznych. Ładna i wyjaśniająca przeznaczenie nazwa. Przy użyciu tego mogli wzmacnić moc telepaty i stworzyć coś na kształt międzyplanetarnej radiolatami dla Zergów, ciągnących do niej niczym ćmy do światła.

Mike milczał przez chwilę, a potem powiedział – System Sary.

– Dokładnie. To miałem na myśli, mówiąc, że używali tych planet jako poligonu doświadczalnego dla swojej broni. Sprowadzili Zergów do Sary, a za nimi podążyli Protossi. Ale sprowadzili coś więcej niż tylko kilka zerglingów – mianowicie cały ekosystem Zergów, a tym samym potężną strukturę, której się nie spodziewali. I teraz Zergowie zmierzają od systemu do systemu wedle swojej woli, kierowani przez własną inteligencję, zdecydowani przetransformować lub pożreć ludzkość.

– A ty wiesz, jak ich pokonać? – zapytał Mike.

– Nie znam innego sposobu, niż zmieść z powierzchni ziemi każdego z nich i spalić ich gniazda. – Mengsk pochylił się do przodu. – Ale wiem, jak wysłać ich tam, gdzie chcą ich mieć.

– Jak ma to pomóc? – Mike pokręcił głową. Czy wypita brandy nagle go ogłupiła?

Mengsk ponownie oparł się.

– W relacji twojego sobowtóra był jeden prawdziwy fragment. Wokół Antigi jest poważna blokada. Konfederaci mają nadzieję trzymać tu nas tak długo, dopóki nie zniszczą nas Zergowie lub Protossi.

– A my będziemy tak siedzieć z założonymi rękami?

– Przeciwnie, już przedsięwziąłem pewne kroki. Na podstawie planów, które dostarczyłeś, zbudowaliśmy emiter. Zamierzamy go umieścić w sercu Konfederacji i uruchomić. Każdy Zerg w promieniu dziesięciu lat świetlnych się tam pojawi. Zaatakują blokadę niczym sokoły gołębnie. Rozbicie *Norada II* to przy tym pestka.

– Ale nadajnik to tylko wzmocnienie. Potrzebujesz telepaty, żeby... – Ostatnie ogniwo zaskoczyło w głowie Mike'a. – Kerrigan. Zamierzasz użyć Kerrigan, żeby sprowadzić Zergów.

– Bardzo dobrze.

– Nie możesz tego zrobić! – sprzeciwił się Mike. – Chcesz, żeby włamała się do obozu Konfederacji. Mają detektory. Nigdy jej się nie uda.

– Mam duże zaufanie co do umiejętności porucznik.

– Nie możesz tego zrobić! – powtórzył Mike.

– Mylisz czasy. Wydałem rozkazy, zanim usiedliśmy do pierwszej gry. Porucznik powinna właśnie pobierać emiter w magazynie na dole. Jeśli się pośpieszysz, to może się z nią zabierzesz.

Mike przeklął i zerwał się z siedzenia.

– I życz jej ode mnie powodzenia! – krzyknął Mengsk w stronę Mike'a, w momencie gdy ten wybiegał z kwatery przywódcy terrorystów. Potem Mengsk oparł się, podniósł swój kieliszek z brandy i wzniosł milczący toast w stronę fałszywego Michaela Liberty'ego widniejącego na ekranie.

Rozdział 12

Wnętrznosci bestii

Obcy najeżdżają ludzką przestrzeń, a ludzie zwracają się przeciwko sobie. Mogę sobie tylko wyobrazić, co Zergowie i Protossi myśleli, lądując na planetach, na których byli jedynie konfederaci i rebelianci próbujący się wzajemnie zetrzeć na miazgę. Prawdopodobnie myśleli, że to normalne zachowanie naszej rasy. I przypuszczam, że mieli rację.

Sukcesy Mengska, częściowo rozpowszechnione przez kopie moich własnych nielegalnych reportaży, wzniciły dziesiątki małych wojen. Każdy nawiedzony z jakimiś bolączkami zwracał się zbrojnie przeciwko pradawnemu reżimowi Konfederacji. Konfederacja z kolei zareagowała tak, jak zawsze to robiła w przypadku uzbrojonych dysydentów – coraz większymi represjami, które z kolei spowodowały kolejne rewolty.

A pośród wszystkiego Zergowie opanowywali kolejne planety, a Protossi zmieniali je w martwe bryły. Ludzie nie mieli tak wielu planet, aby móc je tracić jedna po drugiej. Gdyby obie strony pomyślały, to mogłyby połączyć siły, by zwalczyć prawdziwe zagrożenie.

Myślę, że wszyscy byli tak zajęci knuciem i zabijaniem, że nikt nie miał czasu poważnie się zastanowić.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

– Kerrigan! – Krzyknął Mike na lądowisku. Porucznik właśnie wkładała hełm. Nie miał czasu na włożenie pancerza, więc chwycił jedynie swój prochowiec.

– Liberty – powiedziała cierpko, a Mike dostrzegł duże urządzenie zamontowane na boku Vulture’a. – Właśnie wyruszam.

– Można się zabrać?

– Słuchaj, zwykle ja... – rozpoczęła, a potem spojrzała na Mike’a swoimi wielkimi nefrytowo-zielonymi oczami. Włoski na karku Mike’a stanęły dęba i wiedział, że ona wie.

Jej zbyt szerokie usta zadrgały przez chwilę. Potem pokręciła głową i powiedziała – To twój pogrzeb. W każdym razie i tak potrzebuję kogoś do niesienia sprzętu. Wskakuj.

Z rykiem silnika wyjechali z hangaru, zmierzając do punktu spotkania.

Antiga Prime ucierpiała od nieustających ataków. Niebo pociemniało od dymu licznych stosów pogrzebowych, a wielka, nadęta sylwetka gazowego giganta widniała na nieboskłonie niczym przygnębiony bóg okryty całunem żałobnym. Z daleka dochodził grzmot artylerii Arclite, chociaż nie wiadomo było, kto i do kogo strzelał.

Minęli opuszczone bunkry, rozbite niczym skorupki jajka, otoczone częściowo spalonymi pozostałościami wojny: zniszczoną bronią i zmasakrowanymi ludźmi. Grzmot przybierał na sile i Liberty zorientował się, że zmierzali do samego serca nawałnicy.

– Mamy czołgi oblężnicze i Goliathy – oznajmiła Kerrigan przez interkom. – Starają się zrobić wyłom w ich liniach. My prześlizgniemy się tamtędy na terytorium Konfederacji. Żałujesz, że zdecydowałeś się pojechać?

– Może trochę. – Mike wiedział, że duch zna jego odpowiedź, zanim zdążył otworzyć usta.

– Więc Mengsk odegrał przed tobą całe przedstawienie – ciągnęła. Mike zachmurzył się, zdając sobie sprawę, że telepatka tak łatwo buszowała w jego myślach. – Skłonił cię, żebyś pojechał.

– Sprawdź moje wspomnienia jeszcze raz, poruczniku – powiedział Mike. – Mengsk nie prosił mnie, żebym jechał.

– Nie musiał. Wie, jak manipulować ludźmi. Zapewne czuł, że gdyby kazał ci jechać, to z pewnością byś się sprzeciwił.

– Zapewne miał rację.

– Zwykle ma. I dlatego to prawdopodobnie dobry pomysł, żebyś ze mną jechał.

Nagle przed nimi sterta skał zniknęła w potężnej eksplozji. Kerrigan nacisnęła na gaz.

– To nie powinno było się zdarzyć – powiedziała. – Nasze czołgi wiedzą, że tędy jedziemy. Albo Duke schrzanił plany artyleryjskie, albo...

Mike usłyszał świst kolejnej serii nadlatujących pocisków.

– To ich czołgi! – wykrzyczał. – To oni rozerwali *nasze* linie!

Kerrigan przyśpieszyła w momencie, gdy to mówił, zmuszając Vulture'a do wykonania ostrego skrętu w stosunku do początkowego kursu. Na skutek następnej serii pocisków, droga przed nimi zniknęła z towarzyszeniem wylatującej w powietrze ziemi i skał. Pogruchotane kamienie przecięły ograniczoną moc silników grawitacyjnych i cały motocykl zatrząsł się.

– To trochę... – zaczął Mike.

– Przepraszam za ostrą jazdę – rzuciła Kerrigan przez interkom. – Trzymaj się mocno!

Następnym razem pozwól mi dokończyć zdanie – pomyślał Mike i poczuł, że Kerrigan wzrusza ramionami.

Konfederaci musieli mieć urządzenie namierzające. Ogień raketowy bezlitośnie podążał za nimi, pozostając około stu jardów z tyłu. Kerrigan wprowadziła ich do wąwozu, który bardzo dawno nie miał do czynienia z czymś, co przypominałoby wodę.

– Zobaczmy, jak poradzą sobie tutaj – oświadczyła.

Mike usłyszał wysoki świst metalu przecinającego powietrze.

– Wraithy! – krzyknął do interkomu.

Myśliwce nadleciały nisko, obsypując obie strony wąwozu ogniem z 25-milimetrowych działek laserowych. Ziemia została momentalnie zmasakrowana, a myśliwce wzniosły się do góry, nie mogąc dostrzec zwierzyny poprzez mgłę, jaką same spowodowały.

– Pędzą nas gdzieś – zakrakał przez interkom głos Kerrigan. – Ale dokąd?

Powierzchnia pod pojazdem nagle zmieniła fakturę, z czerwonej gliny i brązowych kawałków wyschniętego błota przekształcając się w plamiste kępki szaro-czarnego mchu.

– Plecha! – stwierdził Mike, jak tylko ją rozpoznał. – Pędzą nas na terytorium Zergów!

Kerrigan zaklęła i nacisnęła na hamulce, ale plecha pod nimi nie zapewniła wystarczającej przyczepności dla reduktorów grawitacyjnych. Motocykl stanął dęba, a potem przewrócił się okropnie na bok, orząc powierzchnię plechy niczym pianę na falach.

Mike wrzeszczał, Kerrigan krzyczała. Reporter objął ramionami pojemnik z emiterem psi, mając nadzieję, że to ochroni go przed zniszczeniem. Był pewien, że jeśli ktokolwiek może ich stąd wydostać, to będzie to porucznik.

Wtem ziemia pod nimi otworzyła się i oboje potoczyli się w ciemność.

* * *

Jakiś czas później Mike usłyszał głos Kerrigan, dobiegający jakby z oddali.

– Liberty?

– Urg – była to jedyna odpowiedź, na jaką zdobył się Mike. *Do diabła, jeśli umie czytać w moich myślach, to niech odczyta to.*

– Czy z emiterem psi wszystko w porządku?

– Ależ oczywiście. Złagodziłem jego upadek własnym ciałem.

Otworzył oczy i odkrył, że leży na miękkiej, świeżo spulchnionej ziemi. To właśnie ona musiała zatrzymać ich upadek w głąb króliczej nory.

Spojrzał do góry. W sklepieniu widniała postrzępiona dziura, musieli przedrzeć wiązania plechy. Grube włókna już zarastały wylot.

Mike splunął krwią. W czasie upadku przygryzł sobie język. Reszta jego ciała wyglądała na sponiewieraną, ale ogólnie nieuszkodzoną. Jego prochowiec był upakowany miękką ziemią. Miał wrażenie, że poczuje stłuczenia następnego dnia.

Jeśli będę miał szczęście – pomyślał.

– Jeśli oboje będziemy mieli szczęście – odrzekła Kerrigan. Już zdążyła wstać, omiatając przestrzeń światłem z latarki umocowanej na nadgarstku. Przez ramię przewiesiła karabin.

Mike podniósł się i poczuł, że choć nie jest zraniony, to się trzęsie.

– U ciebie w porządku? – zdołał wykrztusić.

– Nie jest źle – odpowiedział duch. – Uszkodziłam swoją dumę, którą, obawiam się, bezpowrotnie straciłam. Musiałam się jej pozbyć. Jesteśmy durniami. Głupcami. Idiotami.

Kretynami.

– Nikt nie spodziewał się, że konfederaci... – zaczął Mike

– Wykorzystają sytuację i teren na swoją korzyść. Dokładnie. Dlatego jesteśmy durniami. Wyszli, żeby spotkać nasz atak, a potem wepchnęli nas w miejsce, w którym nie chcemy być.

– Byłoby łatwiej, gdybyś pozwoliła mi...

– Pozwoliła ci kończyć zdania. Przykro mi. Nawyk ze zdenerwowania. Praktycznie transmitujesz swój strach, a to mnie denerwuje.

Jakby nikt w tej sytuacji nie był przestraszony – pomyślał Mike, podchodząc do szczątków Vulture'a.

– Motocykl został trafiony – powiedziała Kerrigan bez patrzenia i oczywiście miała rację. Rama była zgięta w trzech miejscach, tak że długi, smukły pojazd został zmieniony w poskręcany korkociąg. Coś ważnego zostało przebite i płyn wyciekał na ziemię.

Motocykl mimo wszystkich metalowych i ceramicznych części zniósł upadek gorzej niż Mike.

– Tędy – zakomenderowała Kerrigan, wskazując na drogę w jedną stronę korytarza.

– Masz jakąś wskazówkę dlaczego właśnie tędy?

– Nie, ale po drugiej stronie znajduje się coś dużego i źle myślącego. Ty bierzesz emiter.

Mike podniósł pojemnik z nadajnikiem i ruszył za Kerrigan. Myślał o nastroju porucznik. Po kilku minutach Kerrigan powiedziała – To sprzężenie zwrotne.

Przestań.

– Ale to prawda. Odbieram twój strach i z kolei odgrywam się na tobie. Co zwiększa *twój* gniew – przerwała na chwilę. – Tutaj jest coś naprawdę dziwnego. Złego. Zwykle mogę sobie poradzić z takimi rzeczami. Przez większość czasu.

Mike pomyślał o przypuszczalnym związku Zergów z telepatami, ale chwilę potem tego pożałował. Zbyt szerokie usta Kerrigan uśmiechnęły się ponuro.

– Tak. Wiem o tym. Raynor zdążył mi już przekazać swoje zgryzoty ze spotkania z Arcturusem, dziękuję ci bardzo. To wyjaśnia zainteresowanie Konfederacji telepatami. A poza tym wielu tych ostatnich zaginęło w akcji. Nawet poza jednostkami duchów.

– Myślisz, że Zergi gromadzą własnych telepatów? – zapytał Mike i zdał sobie sprawę, że Kerrigan pozwoliła mu dokończyć zdanie.

– Uhm. Poczekaj chwilę, wyczuwam coś przed nami. – Powoli ruszyła, jedną ręką wyciągając broń z kabury przy biodrze, a drugą, tę z latarką, wysuwając do przodu.

Coś zwiślało w środku przejścia niczym wielki pajak. Światło Kerrigan dotarło do tego, a to uciekło przed promieniem. Było to ogromne oko, ludzkie z wyglądu, a jego źrenica kurczyła się pod palącym światłem latarki.

Mike poczuł falę obrzydzenia i ogarnęły go mdłości. Najwidoczniej Kerrigan czuła się podobnie, a jej emocje zostały pogłębione przez odczucia Mike'a. Zakłęła głośno i wystrzeliła serię w pulsującą kulę.

Oko wydało pisk, który brzmiał jak odgłos tłuczonego szkła, i rozleciało się na kawałki. Jego włókna przykleiły się do ścian niczym kawałki rozerwanej gumy.

– Co to...? – zaczął Mike.

– Obserwator? Wartownik? – zgadywała Kerrigan, a Mike po raz pierwszy usłyszał cień strachu w niezłomnym głosie Sarah Kerrigan. Sprzężenie zwrotne, przypomniał sobie. Musiał się uspokoić. Inaczej spotka ich śmierć.

– Jakie to wrażenie? – zapytał, gdy przechodzili obok poszatowanego mięsa niby-oka. Mike zauważył, że w poprzek przejścia, na ścianach i dnie, znajduje się plecha.

– Co? – spytała Kerrigan, zainteresowana posoką stwora.

– Powiedziałaś, że czułaś coś dziwnego. Co dokładnie?

Kerrigan milczała przez chwilę i Mike miał wrażenie, że próbuje zebrać się w sobie.

– Trudno jest to opisać niatelepacie. To jakbyś był w korytarzu hotelowym, a w jednym z pokoi byłoby przyjęcie. Gdy obok niego przechodzisz, słyszysz, że się odbywa, ale nie jest twoje. Nie rozróżniasz niczego szczególnego, jedynie szum głosów. To właśnie takie uczucie.

– Może siła psioniczna na innym kanale? – zasugerował Mike.

– Możliwe, ale to coś potężniejszego. Jakbyś stał na zewnątrz teatru, w którym byłby właśnie koncert. Słyszysz coś uporządkowanego, ale rozróżniasz jedynie szum. To ogłupiające – przerwała na chwilę. – O mój Boże. Mike, chodź tutaj.

Przejście po prawej stronie otworzyło się w szeroką jaskinię. Mike czuł na twarzy świeże powietrze dochodzące z korytarza naprzeciwko. Musieli być blisko powierzchni.

Większa komora była wypełniona plechą. Słabo wykształcone wory protoplazmy zwisały ze ścian, a szarawy grzyb usiany był rzeczami, które mogły być organami. Wzdłuż ściany, pośród pola muchomorów, poruszała się gromada wijopodobnych stworów.

– Robaki – powiedział Mike. – Widziałem je w Anthem Base na Mar Sarze. – Przesłał Kerrigan obraz tamtejszego baru i spostrzegł, jak zadygotała. – Czy to wysypisko śmieci Zergów? Co one jedzą?

– One nie jedzą. One opiekują się jajami.

To, co Mike wziął za muchomory, było w rzeczywistości jajami, zielonymi z czerwonymi plamkami. Jajami umieszczonymi na wzgórkach z plechy. Pulsowały własnym życiem. Na oczach Mike'a pod mroczną powierzchnią najbliższego z jaj pojawiło się potworne oblicze hydaliska, wyglądającego niczym stworzenie utopione przez falę przyływu. Jajko zadygotało lekko, jakby bestia wewnątrz zdawała sobie sprawę z ich obecności.

– Gównno – powiedział Mike, nagle zdając sobie sprawę, czym są robaki.

– Larwy. Są podstawowymi jednostkami rozmnażania Zergów. Larwy zamieniają się w te potwory. To dlatego konfederatom nie udało się ich rozmnożyć, mimo tego, co mówił Mengsk. Zerglingi i hydaliski *nie mogą* się rozmnażać – wszystkie pochodzą z tego samego materiału genetycznego, stworzonego na rozkaz jakiejś potężniejszej siły.

Mike pokiwał głową, a twarz hydryliska w jaju obróciła się do niego. Jajo zaczęło gwałtownie wibrować, gdy bestia próbowała się wydostać.

– Kieruj się w kierunku, z którego napływa świeże powietrze – powiedziała Kerrigan, zdejmując karabin z ramienia. – Zaraz do ciebie dołączę.

Stępkając pod ciężarem emitera, Mike podążał w górę korytarza. Zaczął biec, gdy usłyszał warczący dźwięk karabinu i odgłos jego mechanizmu zapadkowego. Za nim rozlegał się ogłuszający grzechot ostro zakończonych pocisków, przebijających powłokę jaj. Potem zapadła cisza.

Powietrze stawało się coraz świeższe i w końcu ujrzał naturalne światło. Nogi Mike sprawiały wrażenie, jakby były z ołowiu, ale zmusił się do biegu. Potem na powierzchnię, prosto na wieczorne powietrze i...

Znalazł się twarzą w twarz ze swoim odbiciem w lustrzanej powierzchni wizjera pancerza należącego do marine z Konfederacji. Mike mimowolnie krzyknął i niemalże upadł w tył. Konfederacja postawiła strażnika przy wejściu.

Strażnik zrobił krok w kierunku reportera i Mike zdał sobie sprawę, że było z nim coś nie tak. Jego kolana zginały się dziwnie, a ramiona zdawały się żyć własnym życiem. Jedna dłoń podniosła niepewnie karabin, podczas gdy druga gmerała gdzieś w pancerzu.

Lustrzany wizjer podniósł się do tyłu, odsłaniając twarz z piekła. Połowa była wygryziona aż do czaszki pokrytej żółtymi plamami, które otaczały grubą, szarawą plechę wystającą z bezużytecznego oczodołu. Druga połowa, która przybrała zielonkawy kolor zgnilizny, była usiana ziemistymi wypustkami, które przebiły skórę niczym sztylety.

To był strażnik, ale nie Konfederacji. Kiedyś był człowiekiem, ale to było kiedyś. Kiedyś był zdrowy na umyśle, ale nie teraz. Teraz żył jedynie po to, by bronić gniazda. Podniósł broń i załkał, wydając dźwięk, jakby coś utkwilo mu w gardle. Zdrowe oko potwora zdawało się płakać krwawymi łzami.

Mike usłyszał za sobą świst karabinu i rzucił się na ziemię, obracając się na plecy, aby ochronić emiter. Niemal w tej samej chwili powietrze przeszły seria pocisków. Kilka z nich podziurawiło brzeg płaszcza Mike'a.

Zmutowany żołnierz Konfederacji na moment skamieniał pod gradem kul. Potem upadł z poszatkiwanym pancerzem, wypuszczając karabin z ręki. To, co było pod pancerzem, w żadnym wypadku nie było ludzkie, ale również poddało się strzałom.

Kerrigan podbiegła i mocno chwytając za kołnierz, postawiła Mike'a na nogi.

– Wszystko w porządku?

Przed jego oczami tańczyły plamy, ale siłą powstrzymał gorzką żółć zbierającą się w gardle.

– Co to było?

– Zergi są doskonałymi biologami. To prawdopodobnie jest tym, co chcą uczynić z ludźmi. Przeprowadzić na nich kolejny eksperyment. Uczynić z nas kolejną rasę

niewolników.

Mike wziął głęboki oddech, spoglądając na zmasakrowane, gnijące mięso.

– To mi nie wygląda na udany eksperyment.

Zmęczona Kerrigan wzruszyła ramionami.

– Może gdyby mieli lepszy materiał. Zgłaszasz się na ochotnika? Jestem pewna, że przydałby im się reporter. – Udało jej się uśmiechnąć z lekkim wyrzutem i Mike mimowolnie zachichotał.

Przerywanie sprzężenia zwrotnego, pomyślał. Zabawne żarty. Wisielczy humor w obliczu nieprzyzwoitości wojny.

Jeżeli Kerrigan czytała również te myśli, to nie kontynuowała tematu.

– Masz ochotę trochę pobiegać? – zapytała.

– Jak długo?

– Jak długo damy radę.

– Biegnij pierwsza, pobiegnę za tobą – powiedział Mike, przyciskając emiter do ciała.

Mieli szczęście. Znajdowali się na granicy plechy. Jednak nawet stamtąd Mike mógł dostrzec linię wież znajdujących się w kierunku przeciwnym do tego, który sobie obrali. Wyglądały jak ogromne, wynaturzone kwiaty z jakiegoś gigantycznego ogrodu, a armatopodobne mutaliski krążyły wokół nich. Były też tam inne latające potwory, łącznie z rozgwieżdżystymi kałamarnicami, meduzami podobnymi do homarów i wielkimi, latającymi krabami.

– Wygrywają – zauważył Mike. – Zergi rosą w siłę z każdą przeklętą zdobytą planetą.

– Staraj się o tym nie myśleć. – Kerrigan dotknęła nadgarstka. – Właśnie wysłałam krótką, pulsacyjną wiadomość. Jeśli Arcturus jest na nasłuchu, to przynajmniej będzie wiedział, że wciąż żyjemy.

Wędrówka była łatwa, ponieważ, chociaż słońce już zaszło, gazowy gigant dawał silne, odbite światło. Na horyzoncie po ich lewej stronie pojawiały się liczne błyski i dobiegał stamtąd odległy pomruk wybuchów.

– Mówiłaś, że słyszałaś o duchach zaginionych w akcji. Słyszałaś to od innych duchów? – zapytał Mike

– Większość telepatów unika się wzajemnie. – Kerrigan zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Nie rozmawiam nawet z tymi pod komendą Duke’a. Wystarczająco źle jest być otoczonym przez ciągły szum myśli zwykłych ludzi. Przebywanie z innym telepatą jest sto razy gorsze. Ludzie nie potrafią kontrolować swoich myśli albo robią to słabo. Duch doskonale odczytuje innego ducha i nakłada się na to ich sprzężenie zwrotne. Większość potrzebuje ograniczników psionicznych, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach.

– Ale ty ich nie masz.

– Wciąż mam kilka, ale większości z nich już nie. Arcturus... – przerwała. – Nie lubisz go, wiesz? – powiedziała po chwili.

– Nigdy bym się nie domyślił. Ale ty jesteś nim zachwycona.

– On... – ponownie przerwała. – Wyzwolił mnie, myślę, że tak najlepiej to ująć. Uratował mnie, uwolnił, wyzwolił od ograniczników, strażników i z tego całego okropieństwa. Zawdzięczam mu życie, a co ważniejsze zawdzięczam mu duszę.

Jak gdyby w odpowiedzi rozległ się brzęczyk komunikatora. Mike sprawdził, czy nic się nie porusza na horyzoncie. Kerrigan otworzyła mały ekran i Mike ujrzał uśmiechniętą twarz Mengska.

– Dobrze wiedzieć, że żyjecie – powiedział przywódca rebelii. Jesteście o klik na południe za daleko od miejsca, gdzie powinniście być. Nie ma przeszkód między wami a obozem Konfederacji. Odciągnęliśmy ich rezerwy.

– Mielśmy opóźnienie – powiedziała Kerrigan. – Zergowie. Już teraz jest ich tu pełno.

– I będzie więcej, kiedy uruchomicie naszą małą niespodziankę.

– Zostaną zmiecieni z powierzchni ziemi, Arcturus – zachmurzyła się Kerrigan. Zakłócenia statyczne zmały obraz. – Arcturus? Słyszysz mnie? Zergowie nie biorą jeńców.

– Kerrigan! – zakomunikował Mengsk, a Mike mógł sobie wyobrazić surowy, ojcowski wyraz twarzy terrorysty. – To nie my wynaleźliśmy emitery, ale jeżeli ich nie użyjemy, zginiemy tu wszyscy otoczeni przez konfederatów. A jeżeli umrzemy, wraz z nami zginie jedyna nadzieja ludzkości.

– Tak jest, sir.

– Pamiętaj, jak bardzo ci ufam. I pozdrów ode mnie Liberty'ego.

Kerrigan wyłączyła ekran i zwróciła się na północ. Mike podniósł emiter i podążył za nią.

Milczał przez chwilę, a później powiedział – Myślę, że się boją.

– Kto? Ci, którzy dowodzą duchami?

– Tak. Nie chcą, żebyście przekazywali swoje odczucia innym telepatom. Konspirowali przeciwko nim. To po to te psioniczne ograniczniki i cały trening.

– Możliwe – wzruszyła ramionami Kerrigan. – Myślę, że to także po to, żeby nie stracić swojej inwestycji. Stopa śmiertelności wśród duchów jest niewiarygodnie wysoka.

– Myślałem, że skoro tak dużo w ciebie zainwestowano, to będziesz doceniana. Jak piloci Wraithów albo dowódcy niszczycieli.

– Doceniana? – Kerrigan zaśmiała się przerażająco. – Nawet pedofile wcieleni do marines są traktowani lepiej niż my. Przestępcy w wojsku są poddawani działaniu leków i indoktrynowani, żeby słuchali swoich dowódców. Codziennie byliśmy zmuszani do koszmarnego działania przeciwko naszym własnym zasadom i zahamowaniom, wiedząc, że jeśli to zrobimy, skończy się to szaleństwem z powodu niemożliwości powstrzymania cudzych myśli.

– Spokojnie, poruczniku. Nie miałem...

– Oczywiście, że nie miałeś nic złego na myśli – gorąco powiedziała Kerrigan. – To właśnie doprowadza nas do szaleństwa. Twoje słowa mówią jedno, ale twój umysł myśli coś

zupełnie innego. Raynor cały jest napalony, ale czuję jego niepokój, jego obrzydzenie. I wiem, że mnie obserwuje, nawet gdy jestem do niego odwrócona plecami. Jest to wiedza o tym, co jest w samym środku czyjś umysłu, bez możliwości odpowiedzi.

– Przepraszam.

– Wiem – Kerrigan odrobinę łagodniała. – To właśnie w tobie *lubię*, Michaelu Liberty. Zupełnie się uzewnętrzniasz. Nie zrozum tego źle. Myślisz o czymś i o tym mówisz. Twoje mechanizmy obronne działają tylko wtedy, kiedy zadajesz pytania, zgrywając twardego reportera. To sprawia, że jesteś znośniejszy niż większość ludzi.

Zamilkła, gdy wspinali się na wzgórze. W oddali wyłaniały się zrujnowane sylwetki granicznych wieżyczek bazy Konfederacji. Nie przywitały ich ogniem. Oddziały Mengska dawno się nimi zajęły.

– Wiesz, jaki jest końcowy egzamin, pozwalający dostać się na obóz treningowy duchów? – zapytała, a jej oczy zaszyły mgłą. Jej myśli znajdowały się gdzieś indziej. – Strażnik bierze pistolet i przykłada do twojego czoła albo do głowy osoby, która jest ci bliska. Musisz zabić strażnika, zanim naciśnie na spust. – Jej oczy ponownie zyskały normalny wygląd i spojrzała twardo na Mike’a. – Miałam wtedy dwanaście lat.

Mike zbladł i mimowolnie pomyślał o synu Raynora. „Uzdolnione” dziecko spotkał jakiś „wypadek”.

Kerrigan zareagowała tak, jakby Mike ją spoliczkował. Osunęła się na kolana i objęła czoło dłonią.

– Chryste – powiedziała po chwili.

– Przepraszam, nie miałem zamiaru ci mówić – szybko zareagował Mike. – To po prostu się wymknęło.

– Chryste – powtórzyła Kerrigan. – Powinnam była się domyślić. Po prostu nie wiedziałam.

Mike pokręcił głową.

– Jesteś telepatką. Jak mogłaś nie wiedzieć?

Kerrigan spojrzała w górę, a w kącikach jej oczu błysnęły łzy.

– Telepaci nie grzebią w myślach, przynajmniej jeśli nie chcą oszaleć. Wyczuwamy tylko powierzchowne myśli, wszystko co jest na wierzchu. To, o czym myślisz. Luźne myśli. To, że tamta kobieta ma ładne nogi. Wszystkie te bzdury. Nie rzeczy, które są ukryte. Nie te naprawdę ważne – milczała przez chwilę. – Hej, kiedy to się stało? – spytała po chwili.

Mike pokręcił głową i odwrócił się, częściowo po to, żeby wypatrywać patroli Konfederacji, a częściowo, by dać porucznik szansę zebrania się w garść.

Zapewne to wiedziała, ale kiedy Mike odwrócił się do niej z powrotem, podniosła się na nogi, a jej oczy były suche.

– Umieścimy ten sprzęt. Podstawa jednej z tych wieżyczek powinna się nadać.

Bez kłopotu dotarli do szkieletu umocnienia i Mike pozbył się ciężaru, który taszczył

przez ostatnie kilka kilometrów. Zręczne dłonie Kerrigan z wprawą zajęły się emiterem psi, chociaż nigdy go jeszcze nie obsługiwała. Mike zrozumiał, że musiała otrzymać instrukcje w wiązce telepatycznej, podczas gdy odbierała urządzenie.

Mechanizm był porządnie zapakowany i porucznik potrzebowała kilku minut, by go rozpakować i sprawdzić wszystkie przewody. Następnie wyciągnęła coś, co wyglądało jak hełmofon w kształcie rozgwiazdy. Założyła to na głowę. Delikatna korona z miedzi zniknęła pośród rudych loków.

– Międzywymiarowy emiter fal psionicznych – wyjaśniła Kerrigan – jest czymś na podobieństwo pudła rezonansowego skrzypiec. Przechwytuje, wzmacnia i multiplikuje sygnał psychiczny, który do niego dociera. To dlatego potrzebuje ducha, żeby działać.

Nacisnęła kilka przycisków, przesunęła dźwignię, a następnie zdjęła hełmofon. Jej twarz wyglądała na zmęczoną.

– Dobrze. Zmywajmy się stąd.

– To wszystko?

– Chciałeś fanfar i promieni światła? Kurantów z nieba? A może wielkiego zegara z odliczaniem? Przykro mi. – Twarz Kerrigan przybrała popielaty kolor i Mike zdał sobie sprawę, że chociaż nie mógł tego czuć, to Kerrigan mogła, a fale stawały się coraz „głośniejsze”.

– Tak – rzekła Kerrigan. – Chodźmy.

Mike i Kerrigan skierowali się wzdłuż linii opuszczonych posterunków, z których każdy był strzaskanym pomnikiem walki na Antidze Prime. Musiała się zatrzymać, krzywiąc się z powodu niesłyszalnego hałasu. Miała wrażenie, że słyszy swoje paznokcie drapiące szkolną tablicę, zgrzytliwy dźwięk niesłyszalny dla Mike’a.

Dotarli do czwartej wieżyczki, gdzie ból zmniejszył się. Przy szóstej czuła się już prawie normalnie. Otworzyła mały ekran na nadgarstku.

– Emiter psi na miejscu – powiedziała.

– Doskonale, Sarah – pochwalił niewidoczny Mengsk. – Wiedziałem, że ci się uda. Musimy wydostać cię stąd, zanim przybędą tu wszystkie Zergi z Antigi. Statek w drodze.

– Wiem – odrzekła Kerrigan, oddychając ciężko. Jej usta zacisnęły się w cienką kreskę. – Obiecuj mi... – powiedziała następnie – obiecuj mi, że już nigdy nie będziesz chciał, żebym zrobiła coś takiego.

– Sarah. – Mike wyobraził sobie Mengska kręcącego przecząco głową. – Zrobimy wszystko, co będzie konieczne, żeby ocalić ludzkość. Nasza odpowiedzialność jest zbyt wielka, żeby tego nie zrobić.

I rozłączył się, wielki, mądry przywódca na dalekim końcu elektronicznego połączenia, kierujący wojną w bezpieczeństwie brandy i szachów.

– Dlaczego mu ufasz? – zapytał Mike. Do głowy przyszła mu inna myśl. – Dlaczego wykonujesz jego polecenia? – powiedział ją na głos.

– Ocalił moją duszę. – Kerrigan zdołała się słabo uśmiechnąć.

– A ty od tego momentu zabijasz dla niego. Czy nigdy nie spłacisz długu? Nie powinnaś już odzyskać wolności?

– To jest... złożone. Mengsk jest bardzo podobny do ciebie. Dobrze, przepraszam, jest właściwie twoim przeciwieństwem. Ty cały jesteś na zewnątrz, jak zapisana kartka. On jest samą głębią. Mówi ci, co myśli, i jest tak bardzo o tym przekonany, aż do samego sedna swojej osoby, że efekt jest właściwie podobny. Sprawia, że mu wierzę.

– Jest politykiem. Jeśli zajrzysz wystarczająco głęboko, przekonasz się o tym. Gdzieś jest dno bagna jego duszy.

– Czy to cokolwiek zmieni? Czy mam ochotę tam sięgnąć?

– Czasami docieranie do głębi nie jest złe. Gdybyś przyjrzała się bliżej Raynorowi, to może nie wydawałby ci się być takim osłem.

Kerrigan otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, następnie zmieniła zamiar i przytaknęła.

– Tak, zapewne masz rację. Przynajmniej jeżeli chodzi o Raynora. Sądzę, że przynajmniej tyle jestem mu winna.

– „Nasza odpowiedzialność jest zbyt wielka, żeby tego nie zrobić” – zacytował Mike.

Kerrigan zaśmiała się krótkim chichotem. Było to nieoczekiwane, spontaniczne i bardzo ludzkie.

Mike westchnął głęboko i zastanowił się, co przybędzie pierwsze, Zergowie z pobliskiej kolonii, czy obiecany statek desantowy Mengska.

Rozdział 13

W poszukiwaniu dusz

Przez szkło powiększające historii wojna wydaje się działać z zastraszającą dokładnością niczym mordercza pozytywka. Bitwy są niczym więcej jak tylko zegarowym mechanizmem śmierci, dramatem destrukcji, której działania przechodzą naturalnie z jednego w drugie, aż do zupełnego zniszczenia jednej ze stron. W retrospekcji upadek Konfederacji wygląda jak logiczny proces, który raz rozpoczęty nie pozostawia wątpliwości co do swojego zakończenia.

Dla tych z nas schwytych w pułapce wojny nie istniało nic oprócz czystej paniki, przerywanej okresami zupełnego wyczerpania. Nikt, nawet ci, którzy podobno tworzyli plany, nie zdawał sobie sprawy z istoty sił, z którymi się zmierzaliśmy, było już za późno.

Mechanizm zegarowy? Możliwe. Ale ja wolę myśleć o tym jak o regulatorze czasowym na bombie, którą gorączkowo próbowaliśmy rozbroić, mając nadzieję, że zdążymy to zrobić, zanim ta przeklęta rzecz wybuchnie nam w twarze.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Statek desantowy miał dołączyć do *Hyperiona* na niskiej orbicie Antigi. Mengsk opuścił powierzchnię natychmiast po aktywacji emitera, ale nie chciał próbować przedarcia się przez kordon Konfederacji, zanim nie zbierze wszystkich swoich rozproszonych na planecie dzieci. Przynajmniej tak to wyglądało dla Mike’a.

Gdy odlatywali z powierzchni, Mike obserwował ekrany. Wszystkie kamery statku zostały skierowane w dół. Emiter już zaczął wywierać wpływ na Zergów. Stworzenia wyskakiwały ze swoich gniazd niczym wielkie, rozwścieczone mrówki, poruszając się chaotycznie i czasami nawet atakując się wzajemnie w psionicznym szale. Wkrótce jednak zaczęły gromadzić się wokół wieży, gdzie Kerrigan i Mike umieścili transmiter. Huragan żywych stworzeń otoczył nadajnik niczym émy zebrane wokół płomienia.

Gdy statek wzlatywał w górę, jego sensory odkryły kolejne gniazda, kolejne reakcje wzbudzone przez nieustający dźwięk odbijającego się echem, rosnącego z sekundy na sekundę akordu pochodzącego z umysłu Kerrigan. Przez radio docierały do nich krzyki

naziemnych oddziałów Konfederacji, zalanych masą przeciwników, a nocną stroną Antigi Prime usiały ogniki małych eksplozji. Rebelianci zostali uprzedzeni, ale ci, którzy spóźnili się z opuszczeniem powierzchni, zostali pochłonięci przez fale zerglingów i hydralisków.

Statek nadal się wznosił i Mike mógł już dojrzeć krzywą horyzontu. Na krawędzi planety pojawił się błysk, a kilka sekund później statkiem wstrząsnęło potężne wyładowanie elektromagnetyczne. Ekrany momentalnie zbieleły, zanim zdążyły włączyć się osłony. Jeden z ogromnych krążowników klasy *Behemoth*, bliźniak *Norada II*, poddał się rosnącemu naporowi.

Kordon Konfederacji ponad nimi ulegał rozsypce. Dostępne statki, które mogły lądować, zostały wysłane na dół, a inne próbowały ostrzeliwać wszechobecne Zergi.

Blisko nich przemknęła trójka świecących trójkątów i Mike zamrugał, kiedy pozostawiły po sobie palące ślady na jego siatkówkach. Protossi już tu byli, co prawda nieliczni, ale potężni.

Potem nadeszły raporty od statków znajdujących się najdalej od planety. W kosmosie otwierały się przejścia podprzestrzenne, przez które zmierzały hordy Zergów. Homaromózgo-meduzy, królowe, mutaliski i dziwaczne, latające kraby przybywały z przestrzeni i lądowały na Antidze, wezwane i schwymane przez jej syreni śpiew.

Statek desantowy zadekował na większym *Hyperionie* i cała załoga opuściła mniejszy pojazd, który następnie został wypuszczony z doku i wirując spadł w kierunku powierzchni planety. Jego obecność tylko spowolniłaby ucieczkę *Hyperiona*, a poza tym nie było czasu, żeby go należycie zabezpieczyć.

Statek Mengska unosił się niczym bańka mydlana między ogarniętymi paniką konfederatami i zlatującymi w dół Zergami. Zergowie walczyli tylko wtedy, gdy coś wchodziło im w drogę, ale konfederaci nie rozczarowywali ich, wlatując statkami wprost na drogę ataku. Nastąpiły kolejne eksplozje, ale z *Hyperiona* wyglądały one niczym najmniejsze, błyskawicznie gasnące isierki, z których każda oznaczała śmierć następnym pięciuset ludzi Konfederacji, pochłoniętych przez termonuklearną kulę ognia.

Kerrigan była wyczerpana i błada. Mike był pewny, że wciąż, nawet na tej wysokości, mogła słyszeć psioniczne wezwanie. Nie wiedział dokładnie, na jakim poziomie to działało, ale sięgało przez otchłanie kosmosu, żeby sprowadzić wroga. Mike pomógł Kerrigan wyjść z lądowiska.

Raynor spotkał ich w przejściu.

– Gratulacje – powiedział ciepło. – Naprawdę podłożyliście ogień pod tyłki Zergów. Nie wiem, co powiedziałaś poruczniku, ale to z pewnością zmusiło je do biegu.

Kerrigan podniosła głowę, a jej oczy błyszczały z wściekłości i nawet Raynor dostrzegł szal i frustracje kryjące się za nimi. Wtem, tak samo nagle jak się pojawiła, wściekłość zniknęła, zużyła się, pozostawiając po sobie jedynie wyczerpanie.

Raynor sięgnął, by dotknąć ramienia Kerrigan.

– Poruczniku, wszystko w porządku? – Jego głos złagodniał, a czoło zmarszczyło się w trosce.

Mike zauważył, że rozdzielił słowa krótkimi pauzami.

Kerrigan ponownie spojrzała w oczy Raynora i nie było w nich złości. Mike pomyślał o sprzężeniu zwrotnym – strach rodzi strach, troska rodzi troskę.

– Tak – odpowiedziała, odgarniając z twarzy pojedynczy kosmyk rudych włosów. – To po prostu bardzo wyczerpujące.

– Mengsk? – powiedział Mike.

– U góry, w swojej kopule obserwacyjnej – odrzekł Raynor. – Myślę, że chce zobaczyć bitwę. Zostawiłem go tam. Raczej nie chcę tego widzieć.

– Ja mogę mu zdać relację, jeśli chcesz odpocząć – zaproponował Mike Kerrigan.

Milczała przez chwilę i zadrżała.

– Gdybyś mógł, Michael – poprosiła, wciąż patrząc na Raynora.

– Wyglądasz na okropnie wyczerpaną – Raynor odezwał się do porucznik z tak oczywistą troską, że nawet Mike mógł ją dostrzec. – Masz ochotę na szklaneczkę w kambuzie?

– Przydałaby mi się kawa – oznajmiła Kerrigan i nieśmiały uśmiech zaczął błąkać się w kącikach jej ust. – Rozmowa też. Tak. Rozmowa też by się przydała.

Michael pomachał ręką i poszedł w kierunku windy, zostawiając parę w korytarzu. Kiedy nacisnął przycisk przywoływania windy, na samym wierzchu swojego umysłu, tam gdzie Kerrigan mogła łatwo dotrzeć, umieścił szczególną myśl.

Pamiętaj, żeby pozwalać mu dokańczać te przekłete wypowiedzi, pomyślał i pojechał do góry na spotkanie architekta zniszczenia Antigi Prime.

* * *

Mengsk był na pokładzie obserwacyjnym sam. Stał wpatrzony w główny ekran z rękami założonymi do tyłu. Szachy zostały ustawione do kolejnej gry, a świeża paczka papierosów leżała obok popielniczki. Na stoliku stały dwa kieliszki do brandy, a wciąż zamknięta butelka koniaku spoczywała na barze.

Wszystkie ekrany oprócz głównego były wyłączone, a ten centralnie pokazywał Antigę Prime w czasie rzeczywistym. Małe, żółte trójkąty reprezentowały siły Konfederacji, a czerwone, wciąż się mnożące – Zergi. Kilka biało-niebieskich plamek, które Mike widział po raz pierwszy, pojawiło się na powierzchni planety. Ponadto nad powierzchnią planety znajdowały się kółka – siły rebeliantów, którym zabrakło szczęścia i nie zdążyły wydostać się z planety na czas. Podczas gdy Mike obserwował, zostały zalane falą czerwonych trójkątów.

Podobnie było na orbicie. Więcej czerwonych trójkątów symbolizujących dziesiątki setek latających Zergów zmierzało w kierunku Antigi Prime. Unoszące się statki były nietknięte. Wystarczająco wiele stało i walczyło, żeby utworzyć zbiorowiska, które przyciągały chmury Zergów, rozdzierających je na części w kosmosie.

Mike przypomniał sobie obraz *Norada II*. Ten był sto razy gorszy.

– Odlatujemy z maksymalną prędkością – uspokajająco powiedział Mengsk. – Zaprogramowałem komputer statku tak, aby cały czas utrzymywał tę samą skalę.

Mike zbliżył się do baru, wyciągnął korek i nalał sobie cal koniaku. Nie nalał nic Mengskowi.

– Na podstawie siły emisji wyliczyliśmy, że ściągamy każdego Zerga w promieniu dwudziestu pięciu lat świetlnych – ciągnął Mengsk. – Może nawet więcej. Porucznik Kerrigan jest zupełnie jak syrena wabiąca żeglarzy na ich zgubę.

– Bardzo ją to wyczerpało – powiedział Mike, pociągając długi łyk z kieliszka.

– Ale nie tak bardzo, by tego nie wytrzymała. Jestem wdzięczny, że tam z nią byłeś. W innym razie mogłaby nie dać sobie rady.

Mike czuł, że jego twarz pulsuje i przez moment myślał, że to tylko efekt brandy.

– Nie zostawiłeś mi wyboru.

– Raczej nie. – Wyglądający na zmieszanego Mengsk odwrócił się w stronę Mike'a. Za nim wzrastała liczba czerwonych trójkątów. Z naziemnych sił Konfederacji niemal nic nie zostało. – Ale tym niemniej jestem wdzięczny, że tam byłeś.

Mike prychnął i napił się ponownie. Mengsk nalał sobie kieliszek. Na krawędzi ekranu zaczęły się pojawiać biało-niebieskie trójkąty. Protossi przybyli w pełnej liczbie.

Mengsk spojrzał na ekran i zakomunikował – Kiedy cię nie było, dostałem ciekawy raport. – Mike milczał, więc Mengsk mówił dalej. – Naziemne siły Protossów pojawiły się, aby nawiązać walkę z Zergami, na których się natknęliśmy. Ich przywódca nazywa się Tassadar. Określa się mianem wysokiego templariusza i egzekutora floty Protossów. Jego okręt flagowy nazywa się *Gantrithor*.

– Może byli pod wrażeniem twoich dokonań i zdecydowali się przyłączyć. Musisz mieć dobrego agenta prasowego.

Mengsk obdarzył Mike'a mrozącym krew w żyłach spojrzeniem.

– Przestań, Michael. Spodziewałem się po tobie czegoś lepszego. Zastanów się nad tym, co powiedziałem.

Mike milczał przez chwilę, następnie powiedział – Siły naziemne?

– Dokładnie – rozpromienił się Mengsk. – Pojedynczy żołnierze w bardzo giętkich kombinezonach. Dziwne, robakowate pojazdy. Rzucające czary jednostki, które, jak przypuszczam, są obdarzone jakiegoś rodzaju siłą psioniczną. Każdy z nich jest silniejszy niż Zergi, chociaż ci zalewają ich wielkimi grupami. Obserwowanie ich w walce jest bardzo intrygujące. Może później będziesz chciał obejrzeć taśmy.

– Moment – powiedział Mike.

– Poczekam. – Mengsk uśmiechnął się szeroko. – Dojdiesz do tego. Wierzę w ciebie.

– Jeśli Protossi mają siły naziemne...

– Całkiem dobre. Myślę, że właśnie to powiedziałem.

– To znaczy, że walczyli już z Zergami na powierzchni. I co ważniejsze, wygrywali te bitwy.

– W przeciwnym razie po co mieć wojska lądowe? Tak! A to oznacza, że...

Oczy Mike'a otworzyły się szeroko.

– To oznacza, że Zergowie mogą być zniszczeni bez potrzeby wysadzenia w powietrze całej planety!

– Prosto w dziesiątkę! – Mengsk pociągnął łyk brandy. – To może być trudne zadanie i myślę, że Protossi mogą mieć problemy, ale tak, Zergowie mogą być pokonani na ziemi – zachichotał. – Raynorowi musiałem to tłumaczyć trzy razy, zanim zrozumiał.

– Ale – zauważył Mike – ale wobec tego skazaliśmy Antigę Prime na wysadzenie przez Protossów.

– I wraz z nią dużą część Zergów. To powinno ich na trochę zatrzymać. Na czas wystarczająco długi, żebyśmy zdążyli uzyskać przewagę nad Konfederacją.

– Wysadzą Antigę Prime i wszystkich ludzi, jacy tam zostali.

– Żaden człowiek nie przetrwałby przy takiej ilości Zergów. Zrobimy wszystko, co potrzeba, żeby ocalić ludzkość – uroczyście powiedział Mengsk.

– Nawet gdybyśmy musieli zabić wszystkich ludzi, żeby to osiągnąć – warknął Mike. Mengsk nic nie powiedział i Mike po prostu pozwolił ciszy wypełnić pomieszczenie. Na głównym ekranie praktycznie cała Antiga była zakryta czerwonymi trójkątami, a na orbicie znajdowała się grupka niebieskich. Nie było już żadnych żółtych trójkątów.

– Wiem, co sobie myślisz – powiedział Mengsk po chwili.

Mike odstawił szklanę.

– Więc teraz jesteś również telepatą?

– Jestem politykiem, jak to mi zwykle mówisz. To znaczy, że jestem wyczulony na innych ludzi. Na ich potrzeby, pragnienia, motywacje.

– Więc o czym teraz myślę? – Mike poczuł się nagle jak owad pod mikroskopem.

– Zastanawiasz się, że poświęciłbym cię dla dobra ludzkości. Odpowiedź brzmi tak, w oka mgnieniu i bez wyrzutów sumienia, ale wcale tego nie chcę. Jak to mówią, ciężko znaleźć dobrą pomoc. A ty jesteś bardzo dobry i to nie tylko jako reporter.

Mike pokręcił głową.

– Jak ty to robisz?

– Co takiego? – Mengsk pochylił głowę.

– Znajdujesz u każdego czułe miejsca i wykorzystujesz to. Grasz na ludziach jak na instrumentach. Kerrigan rzuciłaby się dla ciebie w paszczę hydraliska. Raynor skakałby przez obręcze, nawet tego twardogłowego Duke'a skłoniłeś, żeby jadł ci z ręki. Czy to cię nie niepokoi?

– Nie. To dar. Wydaje mi się, że myśli innych są zbyt rozproszone. Staram się zapewnić dla nich silne centrum. Raynor jest pochłonięty przez gniew przeciwko Konfederacji, a ja

zapewniam mu możliwość dania temu upustu. Duke szuka jedynie politycznego poparcia, żeby wyrównać stare rachunki i dalej popełniać okrucieństwa, i ja mu to zapewniam. Sarah? No cóż, porucznik Kerrigan zawsze potrzebowała aprobaty, nawet mimo jej zdolności. Zapewniam także to.

Mike pomyślał o Sarah Kerrigan, rozmawiającej w kambuzie z Jimem Raynorem nad filiżanką kawy.

– A ja? – zapytał.

Mengsk uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

– Ty, drogi chłopcze, chcesz ocalić dusze innych. Chcesz coś zmienić. O czymkolwiek byś nie pisał, o korkach na drodze, o korupcji radnych, zawsze chcesz zmienić rzeczy na lepsze. To tak jakbyś miał to w genach. I wierzysz w to. To sprawia, że jesteś bardzo cenny. To powoduje, że jesteś nieocenioną pomocą. Dzięki tobie Raynor nie jest zbyt impulsywny, a Kerrigan za bardzo odczłowieczona. Obydwoje cię poważają. Myślę, że spisałeś generała Duke'a na straty wkrótce po tym, jak go spotkałeś, ale wierzę, że masz jeszcze nadzieję, jeżeli chodzi o mnie. To dlatego tu jesteś, w nadziei, że znajdę odkupienie.

Mike zachmurzył się.

– A co ma mnie teraz powstrzymać przed opuszczeniem cię, wiedząc, że ta nadzieja na twoje zbawienie jest zapewne złudna?

– Ach – powiedział Mengsk, obserwując ekran. Protossi już prawie zupełnie otoczyli planetę. – Częściowo twoja troska o innych. Ale będąc szczery, ponieważ Konfederacja, za pomocą swojej marionetki UNN, zdradziła cię. Wykorzystała twoją twarz i słowa przeciwko tobie. Teraz masz własny powód, by z nimi walczyć. Oni sprawili, że wzięłeś to do siebie. Możesz odejść... – Mengsk zawiesił głos.

– Ale gdzie miałbym pójść – zauważył chłodno Mike. Stwierdził fakt.

– Dokładnie. Jesteś tu na dobre. Do zwycięstwa lub porażki. O, zaczyna się. Popatrzysz ze mną?

Mike spojrzał na ekran, na krąg biało-niebieskich trójkątów otaczających potępiony świat. Z powierzchni planety już zaczęły się podnosić skrawki czerwieni, ale zostały stłamszone, gdy Protossi naładowali swoją broń, żeby spalić świat, wysterylizować go do najgłębszych tuneli.

– Pasuję – powiedział Mike, a jego twarz przybrała kolor popiołu. Obrócił się i poszedł w kierunku windy bez spojżenia na ekran.

Mengsk wydawał się nie zauważać odejścia Mike'a. Stał z kieliszkiem w ręce i patrzył, jak Protossi zarzucają Antigę Prime trującym płomieniem.

Rozdział 14

Poziom zero

Użycie emitera psi na Antidze Prime było punktem zwrotnym, Rubikonem, zza którego nie było już powrotu. Było niczym pierwsze pojawienie się duchów w oddziałach Konfederacji albo masowe użycie bomb Apocalypse, które zniszczyły Korhala IV. To zmieniło wszystko.

Z drugiej strony nic się nie zmieniło. Dla zwykłego obywatela znajdującego się między konfederatami a rebeliantami i konfederatami schwytanymi między Zergami i Protossami, wojna była tak samo śmiertelna jak zawsze. Kolejne planety miały ulec niszczącej broni Protossów i kolejni ludzie mieli zostać skonsumowani w gniazdach Zergów. Tym niemniej, po wydarzeniach na Antidze Prime rebelianci odzyskali nadzieję. Teraz, przynajmniej, mieliśmy broń.

I jak to zwykle bywa z głupimi ludźmi, nie mogliśmy się powstrzymać przed jej użyciem.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Dziesięć dni później byli na Tarsonis, walcząc w gęstej zabudowie dzielnic w centrum miasta.

Miasto ciężko zniosło atak. Zachodnie dzielnice wciąż stały w płomieniach wywołanych przez krążownik, który rozbił się na ich terenie. Fala gorącego pyłu z promieniotwórczymi pierwiastkami metali ciężkich unosiła się na południe wraz z podmuchami wiatru. Okna na wyższych kondygnacjach większości ważniejszych budynków były strzaskane. W niektórych przypadkach z metalowych szkieletów zsunęły się całe fasady, pozostawiając po sobie góry szkła u stóp gigantycznych wież.

Eleganckie iglice Tarsonis nie były niczym więcej niż tylko postrzępionymi, poskręcanyimi resztkami, raniącymi krwawiące niebo swoimi połamanymi krawędziami. Wybuchy i odgłosy walczących oddziałów rozdzierały powietrze, poprzecinane dodatkowo wstęgami dymu z zestrzelonych myśliwców.

Większość ulic była zablokowana bezkształtnymi wrakami pojazdów bojowych. Ich lśniąca farba została wypalona przez ogień i spieczona do szarości, a barwione kiedyś okna

były potłuczone. Początkowo Mike zaglądał do tych pojazdów, żeby przekonać się, czy może rozpoznać tych w środku, ale po pierwszej godzinie po prostu nie zważał na poczerńnięte ciała z ich spalonymi do kości kończynami i wysuszonymi krzyczącymi twarzami.

Na ulicach jedynymi żyjącymi osobami byli żołnierze, twardo próbujący się wzajemnie pozabijać.

Zapchane wrakami ulice zmusiły oddział Raynora do przedzierania się głównymi bulwarami, szerokimi ulicami, kiedyś opanowanymi przez parkowe wyspy w środku jezdni. Teraz drzewa były przewrócone i spalone, a posągi niegdyś sławnych konfederatów zostały zredukowane do poczerńniętych kikutów.

Jednostka Raynora dostała się pod ogień w pobliżu jednej z trójpoziomowych fontann wzdłuż głównego placu. Zniszczona, pocięta tablica opisywała ją jako pomnik umieszczony przez córki weteranów wojen Gildii. Sama fontanna była jedynie kupą gruzu, jedyną pamiątką po wcześniejszej świetności była kamienna armata wystająca z pogruchotanych kamieni. Mike pomyślał, że chciałby, żeby armata była prawdziwa.

Po drugiej stronie placu, za pośpiesznie wzniesioną barykadą ze zniszczonych wozów, pomiędzy dwoma budynkami, rozłożył podstawy czołg Arclite. Stał wprost na ich drodze, zupełnie rozłożony, z bocznymi podstawami wbitymi głęboko w asfalt. Działo zasypywało ich burzącymi pociskami, podwójna, osiemdziesięcimilimetrowa armata przeczesywała gruzu fontanny. Czołg obłączniczy stał się punktem zbiorczym sił obronnych Konfederacji. Większość z nich to niedobitki szwadronów Delta i Omega. Teraz przegrupowane, bezpieczne pod ciężkim ogniem czołgu, położyły na pozycję Raynora ogień zaporowy.

Za kamienną armatą Mike trzymał nisko głowę i desperacko walił w bok komunikatora, który burczał na niego frustrująco.

– *Muszę* zastanowić się nad gruntowną zmianą profesji – wymamrotał, a następnie instynktownie skulił się na dźwięk kolejnej serii pocisków huczącej w kamiennych kanionach miasta.

Raynor zsunął się w dół góry gruzów w stronę Mike'a, wznecając chmury kurzu swoimi ciężkimi butami.

– Udało się? – zapytał.

Mike pokręcił przecząco głową.

– Prawdopodobnie używają jakiejś jednostki zagłuszania, bo gdyby użyli impulsu elektromagnetycznego, rozwaliliby całe radio. To znaczy, że po prostu nie mogą przebić się przez zakłócenia. Coś z większą mocą dałoby radę.

– Po prostu cudownie. Jesteśmy ugotowani, nie możemy się wycofać i nie możemy przejść obok tego czołgu. Musimy podjąć ewakuację, ale nie możemy tego zrobić bez skontaktowania się z *Hyperionem*.

– Czyżbyście potrzebowali pomocy, chłopcy? – Sarah Kerrigan zmaterializowała się obok nich. Była ubrana w swój kombinezon, a na ramieniu miała karabin. Na mankietach

spodni widniały plamy krwi, tak jakby brodziła przez jej rzeki.

Jej oczy były jasne i bardzo, bardzo czujne.

– Dobrze cię widzieć, poruczniku – oznajmił Raynor. – Po prostu użalamy się nad naszym położeniem.

– Byłam w okolicy i usłyszałam strzały – powiedziała Kerrigan. – Co jest grane?

– Namierzył nas Arclite – odpowiedział Raynor. – Jest tam, między budynkami, osłaniany przez cały szwadron marines.

– To wszystko? Myślałam, że macie kłopoty.

– Każda pomoc będzie mile widziana – uśmiechnął się Raynor.

– Bułka z masłem – odrzekła Kerrigan, sięgając ponad ramieniem i wyciągając karabin z pokrowca niczym miecz. – Dajcie mi ogień osłonowy, kiedy się tam będę zakradać, co wy na to?

– Prawa czy lewa flanką? – zapytał Raynor.

– Myślę, że lewa – odrzekła Kerrigan, uśmiechając się. Ten śmiech dodatkowo zaakcentował dzikość w jej oczach. – Chodzi o *twoją* lewą, Jimmy.

– W porządku, Sarah – zgodził się Raynor.

Kerrigan nacisnęła urządzenie na pasie. Jej mechanizm maskujący włączył się i zniknęła im sprzed oczu w momencie, gdy Raynor wydawał rozkazy reszcie oddziału. Karabiny plunęły ogniem własnych niszczących pocisków w odpowiedzi na ogień konfederatów. Ich nagły atak uciszył marines, ale pociski z działa czołgu Arclite nieprzerwanie huczały nad głowami rebeliantów.

– No, co, „Jimmy”, myślisz, że da radę? – zapytał Mike.

James Raynor zarumienił się i wzruszył ramionami ukrytymi w pancerzu.

– Prawdopodobnie. Ale to nie pomoże ani odrobinę, jeżeli nie mamy jak wezwać pomocy.

Zasłona karabinowego ognia połączyła oba obozy, a Mike zastanawiał się, jak Kerrigan może poruszać się po takim polu walki. Jeden zabłąkany pocisk mógłby rozwiać jej maskowanie i dostałaby się pod ogień karabinowych kul tak jak każdy z pozostałych żołnierzy.

Wtedy odległa flanką skrzydła Konfederacji zaczęła kurczyć się z towarzyszeniem przeszywającego dźwięku strzelby Kerrigan. Jeden po drugim żołnierze Konfederacji zginali się i padali pod kulami niewidzialnego snajpera. Skrzydło odsłoniło się, bo marines zaczęli bezwładnie strzelać tam, gdzie podejrzewali, że znajduje się zabójca.

Zamigotało i Sarah Kerrigan na krótko pojawiła się na szczycie barykady z samochodowych wraków. Zniknęła ponownie, a powietrze, w miejscu gdzie przed sekundą stała, zostało przeszyte pociskami.

Raynor wezwał żołnierzy do ataku. Resztki oddziału podniosły się z kryjówek i pobiegły przez plac, gruchocząc ciężkimi buciorami granitowe płyty chodników.

Ochronny kordon marines Konfederacji wokół czołgu oblężniczego został rozproszony, chociaż Arclite, którego ochraniał, w dalszym ciągu bombardował pozycje rebeliantów. 80-milimetrowe działa szybko zmieniły zasięg, aby wciąż razić atakujących rebeliantów, podczas gdy główne działo szokowe złożyło się, żeby wciąż strzelać 120-milimetrowymi pociskami.

Kerrigan pojawiła się znowu, tym razem na głównej płycie pancerza czołgu, dokładnie pod lufą. Wepchnęła lufę karabinu w pierścień wieżyczki, a potem nagle zrobiła salto w tył, gdy ogień konfederatów zbliżył się do niej zbyt niebezpiecznie.

Mike wykrzyczał ostrzeżenie. Raynor i jego ludzie nie potrzebowali go i padli na ziemię.

Czerwony błysk wykwitł przy podstawie wieżyczki czołgu, wybuch, który nastąpił chwilę potem, rozproszył pozostałych przy życiu konfederatów. Mniejsze działa ucichły, ale główna armata, z powodu zakłóconego oprogramowania, wciąż wystrzeliwała pocisk za pociskiem, próbując zrobić pełny obrót.

Działo szokowe trafiło w narożnik jednego z dwóch budynków znajdujących się po bokach i ziemia pod nimi zatrzęsała się. Działo wciąż się poruszało, a jego lufa zaczęła świecić czerwonym blaskiem, gdy próbowało dokonać pełnego obrotu, uniemożliwionego przez przeszkodę w postaci budynku. Nadal strzelało, a ogromna budowla dygotała pod gradem pocisków. Wierzch czołgu otworzył się i załoga próbowała wydostać się na zewnątrz niczym cyrkowi klauni wyskakujący z przepełnionego samochodu.

Nie udało im się to. Przez cały plac przeszło drżenie, w momencie gdy nadwerżony budynek zawalił się na czołg stojący u jego stóp. Tony stali i kamienia wzniosły chmurę gorącego pyłu, a pogrzebany zwałami gruzu Arclite w końcu przestał strzelać.

Raynor oraz reszta oddziału podnieśli się z pogruchotanego chodnika. Mike pozbierał się również i krzyknął – Kerrigan? Poruczniku? – Jego głos wydawał się być nikły i kruchy w porównaniu z eksplozją, jaka nastąpiła przed momentem.

Kerrigan podniosła się obok nich, szara jak prawdziwy duch. Mike zdał sobie sprawę, że pył przylgnął do pola maskującego, tworząc dodatkową pokrywą otaczającą telepatkę. Nacisnęła inny przycisk na pasie i ponownie stała się namacalna. Zmarszczki zmęczenia i wyczerpania pojawiły się na jej twarzy, ale oczy wciąż miała jasne. Znikanie kosztowało ją wiele, ale nie chciała tego przyznać.

– Cel zneutralizowany, kapitanie – zameldowała Kerrigan. – Obawiam się jednak, że teraz nie możemy iść tą drogą.

– Nieważne – odrzekł Raynor. – Konfederaci na pewno się teraz przegrupowują. Zapewne wkrótce rozpoczną kontrofensywę. Więc po prostu nie możemy utrzymać tego obszaru. Musimy się jakoś pozbyć zagłuszania.

– Jim – odezwał się Mike. – Trzy kwartały stąd jest centrala UNN. Jej obwody mają osłony, a generatory są w piwnicach. Być może wciąż ma wystarczającą moc, żeby przezwyciężyć zakłócenia.

– Do tej chwili mogły zostać z niej gruzy – pokiwał głową Raynor – ale myślę, że warto

spróbować. – Wysłał patrol do przodu. Kerrigan ustawiła się obok Mike’a.

– Więc byłaś w okolicy – Mike zwrócił się do telepatki. – Po prostu przypadkowo byłaś w pobliżu?

– Idę tam, gdzie Arcturus Mengsk uważa, że jestem najbardziej potrzebna.

– A co *teraz* zamierza nasz bajeczny przywódca? – zapytał Mike. – Jim ma rację. Odbieram cząstkowe raporty o posiłkach zmierzających z peryferii. Maszyny kroczące, czołgi i motory. Wkrótce będzie tu naprawdę gorąco. Ma na to jakiś plan?

– Powiedział mi, że ma.

Budynek Universe News Network ucierpiał mocno, ale wciąż stał. Okna po wschodniej stronie były niczym więcej jak tylko pustymi dziurami, a jedna z wielkich liter spadła, żeby nabić się na poskręcany kawałek betonu setki stóp poniżej.

Raynor spojrział na budynek. – Mam nadzieję, że sprzęt, o którym myślisz, wciąż jest w nadbudówce.

– Wyższe kondygnacje są przeznaczone dla kierownictwa – powiedział Mike. – Pracujące pszczołki trują się na czwartym piętrze. A przekładnik i generatory są w piwnicy.

Mówił to lekkim tonem, chociaż z ciężkim sercem. To była przez lata jego baza operacyjna, dom z daleka od domu. Tam gdzie teraz spoczywało wielkie „N”, zwykł kupować hot doga i wodę sodową, dyskutując na temat polityki planetarnej i lokalnych rozporządzeń z dziennikarzami i reporterami. Obok tablic pamiątkowych stała budka z preclami. Teraz z leżącej tam kupy betonu wystawał poskręcany, metalowy legar. Nie było żadnego śladu ocalonych ludzi.

Patrol podążył do środka. Mike i tak nie spodziewał się żadnych użytkowników, ale upiorna martwota okrywała to miejsce niczym całun. Nawet w weekendy panował tam nieustanny zgiełk. Teraz leżały tam jedynie porozrzucane papiery i azbestowy pył strząśnięty z płytek na suficie.

Poza odgłosami ich własnych butów panowała zupełna cisza. Mike popatrzył na szerokie schody wiodące do antresoli i na ruchome schody (szybsze niż windy, gdy te jeszcze działały), i pomyślał o znalezieniu swojego biurka. Zastanawiał się, czy jego rzeczy wciąż tam są.

Zastanawiał się też, czy jest tam cokolwiek, czego rzeczywiście by potrzebował.

Raynor zobaczył, że patrzy na górę.

– Myślałem, że mówiłeś, że sprzęt jest na dole.

– Tak, po prostu walczyłem z własnymi koszmarami – powiedział Mike ponurym tonem. Poprowadził oddział przez gruz do głównej piwnicy budynku.

Cokolwiek Mike myślał o kierownictwie, to jego członkowie byli kiedyś w wojsku, co znaczyło, że byli potrójnie przezorni. Główne zasilanie zostało odcięte, ale studio nadawcze posiadało własne akumulatory, a w razie potrzeby stare generatory na benzynę. Połączenie z nadajnikiem, mimo walk, wciąż działało, UNN miało podziemne kable łączące centralę z

różnymi placówkami w gigantycznym mieście. Wiele z nich zostało zerwanych, a oznaczające to czerwone światełka migają diabelsko na głównej tablicy.

Nawet klimatyzacja wciąż działała i ich wizjery zaparowały na skutek nagłej zmiany temperatury.

Raynor niepewnie rozejrzył się wokół. Przypadkowy pocisk z panującego na zewnątrz chaosu zbyt łatwo mógł zaważyć cały budynek wprost na ich głowy i stworzyć im grobowiec.

– Czy to potrwa długo? – zapytał Mike’a.

Mike pokręcił głową i połączył swój komunikator z główną tablicą.

– Potrzebuję tylko wzmocnić sygnał. Bułka z masłem. Już. – Przesunął dźwignię. – Strażnicy Raynora do statku matki. Czy słyszycie? Strażnicy do statku matki. *Hyperion*, jesteście tam?

Głośniki zacharczały i zakrakały, a na miniekranie pojawiła się łysiejąca głowa.

– Statek matka. Do cholery, Liberty, prawie rozwalileś mi bębni. Czym ty to nadajesz? – Głos był jakby znajomy.

– Stare wzmocnienie z UNN. Potęga prasy – powiedział Mike. – Jesteśmy w siedzibie sieci. Oddział został nieźle przetrzebiony, a bandziory się przegrupowują. Musimy się ewakuować.

– Pracujemy nad tym – powiedział głos na drugim końcu, a Mike rozpoznał go. To technik z mostku *Norada II*. Jeden z ludzi Duke’a.

– Cztery kwartały na południe od was jest parking. Możecie tam dotrzeć?

Mike spojrzał na Raynora i Kerrigan. Obydwoje potaknęli.

– Potwierdzam – zakomunikował. – Do zobaczenia tam. Przewidywalny czas przybycia trzydzieści minut.

– Zrozumiałem – odrzekł technik. – Poczekajcie. Łączę was z kwaterą główną.

Mike zmarszczył brwi, zły na opóźnienie. Chwilę potem na ekranie pojawiła się siwiejąca głowa Mengska.

– Michael – powiedział ponuro, a Mike spostrzegł kurze łapki znamionujące zmartwienie w kącikach jego oczu. – Czy Kerrigan i Raynor są tam z tobą?

– Cały czas – odparł Raynor. – Porucznik jest tu również.

– Doskonale. Zgłóście się do raportu, kiedy wrócicie. – Coś piknęło na prawo od terrorysty i sięgnął w tamtym kierunku. Generał Duke zmaterializował się na innym ekranie.

– Tu Duke. – Coraz bardziej przypominał źle usposobionego goryla. – Emitery są zabezpieczone i gotowe. Powracam do statku dowodzącego.

– Emitery? – zapytał Mike. – Emitery psi?

Kerrigan pochyliła się ponad ramieniem Mike’a, zbliżając twarz do ekranu.

– Kto autoryzował użycie emiterów psi?

Twarz Mengska stała się kamienna.

– Ja, poruczniku.

– Zamierzasz sprowadzić tu Zergi? Szczucie ich na konfederatów na Antidze było wystarczająco straszne. To jest wprost szalone.

– Ona ma rację. Przemyśl to ponownie – włączył się Raynor.

Mengsk gniewnie wypuścił powietrze.

– Dobrze to przemyślałem, wiercie mi – przerwał, przyglądając się ich trójce za pomocą podłączonych do sieci kamer. Na drugim ekranie generał Duke wyglądał jak kot, który właśnie połknął kanarka. – Otrzymaliście rozkazy. Wykonać je.

Potem ekran zgasł.

– Przesadził – powiedział Raynor. – Przekroczył granicę.

– Nie – pokręciła głową Kerrigan. – Musi mieć jakiś plan.

– Tak, ma plan – stanowczo odrzekł Raynor. – Planuje pozwolić Protossom i Zergom spalić główną planetę Konfederacji, a później wziąć to, co zostanie.

Kerrigan ponownie pokręciła głową.

– Zawsze potrafi zadbać o sprawy. Nie boi się poświęceń, ale nie jest durniem.

– Nie boi się poświęceń – ponuro powiedział Raynor. – Konfederaci. Zergi. Protossi. Kiedy przyjdzie nasza kolej?

– Porozmawiam z nim, kiedy wrócimy – odrzekła Kerrigan.

Mike siedział, wpatrując się w wyłączony ekran.

– Jest politykiem – powiedział. – Rozważa każdą decyzję, czy posuwa go dalej na drodze do władzy. Nigdy o tym nie zapominajcie.

Raynor otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale na górze zagrzemiał karabin.

– Goście – rzekła Kerrigan.

– Byliśmy dosyć głośno – dodał Raynor. – Zapewne przechwycili część sygnału, który przesłaliśmy. Chodźmy.

– Zgoda. Jest jeszcze jedna rzecz – powiedział Mike, wstając od konsoli i zмирzając w głąb piwnicy.

– Liberty? – zawołał Raynor. – O co chodzi, do cholery?

– Szuka czegoś – odpowiedziała Kerrigan. – Pójdę za nim. Ty zajmij się gośćmi. Odkryłam tylko garstkę marines. Poradzisz sobie z nimi. Uważaj, jeden to firebat. – I poszła również.

Podążyła za Mike'em do następnych schodów, tym razem spiralnych, wiodących do błado oświetlonych głębi. Ładując swój karabin, ostrożnie zaczęła schodzić.

Mike stał przed stalowymi drzwiami, waląc kolbą swojego karabinu w kłódkę.

– Musimy iść – powiedziała Kerrigan.

– Za momencik. To sekretny schowek Handy'ego Andersona. Z jego tajemnicami. Nie myślałem o nim aż do teraz.

Zwykle nikt nie mógł tu schodzić. To przypuszczalnie magazyn zapasowych nagrań, kostnica wiadomości, ale także miejsce, gdzie Anderson trzymał brudy dotyczące każdego w

mieście.

– To materiały, które możesz wykorzystać – stwierdziła spokojnie Kerrigan, wychytując powierzchowne myśli Mike’a. – Możesz je przejrzeć i zobaczyć, czy nie ma w nich jakiegoś ostrzeżenia, czegoś trzymanego w tajemnicy o Zergach i Protossach. Rzeczy, które mogłyby coś zmienić, gdyby tylko ludzie o nich wiedzieli.

– Dokładnie – odpowiedział Mike.

– Odsuń się – zakomenderował duch. Karabin jęknął pod napięciem i błyskawica uderzyła w zamek. Kawałki metalu rozleciały się na wszystkie strony.

Skład, nie większy niż szafka na szczotki, był poprzecinany cienkimi półkami. Na wszystkich stały pudełka z dyskami.

– Nie damy rady wziąć wszystkiego – zauważyła Kerrigan.

– Weź, ile dasz radę. – Mike otworzył swój plecak i wyjął z niego zapasy i dodatkową amunicję, zastępując je dyskami.

– Jeśli Mengsk rzeczywiście zamierza zabić tę planetę, to chcę, żeby choć trochę z tych wiadomości przetrwało. Może pomogą nam odgadnąć, co tu się naprawdę stało.

Kerrigan otworzyła plecak i również zaczęła chować dyski. Wciąż jednak musieli zostawić całkiem sporo.

– Nie trudź się wcześniejszymi rzeczami – powiedział Mike.

– Sądzisz, że Mengsk mówił poważnie o emiterach psi? – zapytała Kerrigan, odczytując odpowiedź Mike’a, jak tylko wypowiedziała pytanie.

Mike odpowiedział mimo tego.

– Jak mówiłem, jest politykiem. Jeżeli może zmusić konfederatów do poddania się groźbą użycia emiterów, zrobi to. Jeśli mu się to nie uda, no cóż, Tarsonis będzie kolejną ofiarą w jego wojnie. Może to usprawiedliwić. Ktoś na Tarsonis wydał rozkaz, żeby zniszczyć jego rodzony świat.

– Ale to serce ludzkich światów. Największe i najjaśniejsze. Centrum ludzkości.

– Taki właśnie jest Mengsk. Z emiterami psi jest potężniejszy niż światy.

– Nie mogę uwierzyć w to, że mógłby to zrobić. Czytałam jego myśli, tak samo jak twoje i Jima. Nie zrobiłby tego.

– Mówiłaś sobie, że kiedy z nim jesteś, głęboko wierzy w każde wypowiedziane przez siebie słowo.

– Tak.

– Więc następnym razem zajrzyj głębiej. Dobrze. To wszystko, co możemy wziąć. Jak tam na górze?

Kerrigan nie odpowiedziała i Mike zastanawiał się, czy myśli nad jego pytaniem, czy też wcześniejszą sugestią.

– Wszystko w porządku – odezwała się w końcu. – Zbliżają się następni konfederaci. Chodźmy już.

Mike podniósł swój plecak i wyszedł z pomieszczenia.

– Pomyśl nad tym, co powiedziałem, dobrze?

– Myślenie – odrzekła Kerrigan, uśmiechając się smutno – to jedyna rzecz, jakiej telepaci *nie mogą* uniknąć.

Rozdział 15

Rozłam

Nikt nie lubi niespodzianek. W ostatnich dniach Tarsonis niespodzianki stały się naturą rzeczy. Oddziały pojawiały się tam, gdzie nikt ich się nie spodziewał, tajne transmisje przemykały między sojusznikami, plany bitew, o których nie mieliśmy pojęcia, zostawały wcielone w życie. Dowiadaliśmy się o nich dużo później i odcyfrowaliśmy ich przebieg. Jednym słowem byliśmy zdezorientowani.

Ale nawet ci w dowództwie mieli własne niespodzianki. Gdy operacje stawały się większe i większe, coraz więcej szczegółów przeciekało między palcami, inne zostawały pominięte, aż w końcu pojawiły się wydarzenia, których wcale się nie spodziewaliśmy. To w końcu spotkało Mengska, kiedy nagle jego żołnierze zaczęli mieć wątpliwości, a bierki szachowe przestały się przesuwac po planszy tak, jakby sobie tego życzył.

Zapewne dlatego przewrócił szachownicę. Diabelska, ale skuteczna strategia kończenia gry.

Przypuszczalnie, jeżeli panujecie nad wszystkim, nienawidzicie niespodzianek. Ale, jeśli powiem wam, że straciliście kontrolę, znenawidzicie je jeszcze bardziej.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Statek desantowy spotkał ich na placu Atkina. Wsiadające resztki oddziału Raynora minęły się z grupką lekko opancerzonych techników. Towarzyszył im jeden z duchów Duke’a z twarzą ukrytą za opalizującym wizjerem.

– To nie miejsce dla mięczaków – powiedział Raynor. – Wy chłopcy nawet nie macie porządnych pancerzy.

– Tak, ale mamy rozkazy – odburknął dowodzący kapitan i jego ludzie przepchnęli się pośród oddziału Raynora i podążyli do miasta, w kierunku, z którego właśnie przybyli strażnicy.

Mike przypuszczał, że Mengsk wpadł na to, co można znaleźć w budynku UNN. Nagle poczuł się bardzo dobrze z powodu plecaka pełnego tajemnic, który miał przy sobie. Było to coś, co mógł wykorzystać w rozgrywce z przywódcą rebelii.

Potem spojrział na Kerrigan. Patrzyła na ducha od Duke'a. Z jej twarzy odpłynęła krew.

– Co się stało? – zapytał Mike.

Kerrigan jedynie pokręciła głową i powiedziała – Lepiej wracajmy do statku.

Gdy tylko wrócili na *Hyperiona*, Raynor miał – „tak szybko, jak to tylko możliwe” – zgłosić się do kajuty generała Duke'a, żeby omówić strategię. Mamrocząc pod nosem wiązanki przekleństw, były strażnik ruszył naprzód, nie pozbywając się nawet swojego kombinezonu. Mike otworzył swój wizjer i zatraski i wy dostał się z pancerza. Kerrigan, zdjawszy lżejszy kombinezon z łatwością znamionującą doświadczenie, była już w drodze do wyjścia.

– Poczekaj! – zawołał reporter. – *Uber-Mengsk* chciał, żebyśmy stawili się do raportu, kiedy wrócimy. Pójdę z tobą.

– Pozwól mi porozmawiać z Arcturusem na osobności – odpowiedziała Kerrigan. – Przy mnie bardziej się otworzy.

Ruszyła w dół korytarza w kierunku windy, która miała ją zawieźć na pokład obserwacyjny *Hyperiona*.

Mike rozważał pójście za Kerrigan, ale miała rację. Przywódcę rebelii i ducha łączyła wspólna przeszłość i Mengsk będzie przy niej bardziej dostępny.

I może, pomyślał Mike, Kerrigan będzie w stanie wyciągnąć coś pożytecznego z umysłu terrorysty. Na przykład to, co sobie myślał, ustawiając kolejne emitery psi.

Mike rozejrzał się wokół. Większość członków oddziału zdążyła się już rozebrać i kierowała się pod prysznic. Raynor był z generałem w jego kajucie. Nie chodziło o to, że towarzystwo generała było akurat tym, które uważał za najlepsze, ale w tym momencie z pewnością uspokoiłoby go przed rozmową z Mengskiem.

I nie chciał być złapany pod prysznicem, w razie gdyby potrzebowała go Kerrigan.

Gdy Mike przemierzał statek, myślał o techniku, z którym rozmawiał przez komunikator. Teraz to zauważył: członkowie szwadronu Alpha w przeciwieństwie do dawnych rebeliantów Mengska z czasów przed *Antigą Prime*. Jeden po drugim, rebelianci nie dali sobie rady lub zostali przeniesieni na inne statki. Częścią planu Mengska było rozprzestrzenienie swoich agentów po wszystkich statkach floty. A może zamierzał on zastąpić wysłużone strażę profesjonalnymi żołnierzami?

Cokolwiek to było, Mike był pewien, że była to część planu Mengska.

Mike dotarł już niemal do kajuty, gdy nagle drzwi eksplodowały, a zza nich wytoczyli się dwaj mężczyźni w kombinezonach bojowych.

To byli Raynor i Duke, zwarci w walce, były strażnik zdążył oderwać naramiennik z pancerza generała i strzaskać neostalową pięścią jego wizjer. Duke również się nie lenił i na i tak już pogniecionym napierśniku Raynora przybyło kilka kolejnych wgnieceń.

– Jim! – krzyknął Mike. Raynor mimowolnie obrócił się do reportera.

Generał Duke nie przegapił szansy i obiema pięściami walnął mocno w hełm Raynora.

Były strażnik zachwiał się, robiąc krok do tyłu, ale nie upadł.

Wyzwolony z neostalowego uścisku przeciwnika Duke sięgnął po swoją broń znajdującą się na biodrze, nieprzyjemnie wyglądający pistolet, zdolny do przestrzeliwania grodzi. Raynor oprzytomniał w momencie, gdy generał podnosił broń i złapał starszego mężczyznę za nadgarstek. Następnie, z towarzyszeniem zgrzytu serwomechanizmów w obu kombinezonach, Raynor uderzył ramieniem Duke'a o gródź.

Jeden raz. Dwa razy. Za trzecim razem w rękawicy Duke'a coś pękło i generał krzyknął. Upuścił pistolet i osunął się na pokład. Broń potoczyła się po podłodze. Mike przyklęknął, chwycił ją i podniósł się, chowając ją dla bezpieczeństwa za własny pas.

Dopiero wtedy Mike zdał sobie sprawę, że nie byli sami w korytarzu. Przed i za nimi byli uzbrojeni marines celujący w Raynora i jego samego.

– Właśnie podpisałeś na siebie wyrok śmierci, chłopcze! – warknął Duke. W kącikach jego ust była krew i obejmował swoją rękę. Nie tylko metal poddał się ciosom Raynora.

– Właśnie podpisał pan wyrok śmierci na swoją planetę, generale! – odkrzyknął Raynor.
– Właśnie uruchomił emitery – powiedział do marines. – Ściąga tu Zergi! Do cholery! On i Mengsk nie dają konfederatom żadnej szansy na poddanie się! Zergi właśnie tu zmierzają i to ten skurczybyk rozwinął przed nimi czerwony dywan!

Część marines obniżyła broń. Wyglądało na to, że nagle zaczęli mieć wątpliwości co do rewolucji albo nagle zaczęli się martwić tym, że Zergi zamierzają się wkrótce pokazać na progu ich domu. Inni pozostali nieruchomo, z obojętnym spojrzeniem, wciąż mierząc w Raynora.

Mike domyślił się, że ci, którzy się zawahali, nie byli neuronowo resocjalizowani. Pozostali czekali na rozkaz zabicia.

– Zajmie się tobą sąd wojenny! – powiedział generał. Mike lekko odetchnął. Duke groził Raynorowi śmiercią, ale to wszystko. Nie mógł posunąć się dalej. Obawiał się, że Mengsk może tego nie pochwałać.

– Chcesz mój stopień, to go bierz – zareagował gorąco Raynor. – A tak w ogóle, to nie jestem pod twoją komendą. Podlegam Mengskowi, tak samo jak ty. Nie możesz nawet odetchnąć bez pozwolenia ze strony Mengska.

– A myślisz, że czyje rozkazy wykonywałem, aktywując emitery, chłopcze? – Duke uśmiechnął się mimo ogarniającego go bólu.

– Rozmieściłeś na Tarsonis z tuzin emiterów – rzekł Raynor. – Ludzie zostaną wprost zmiecieni z powierzchni ziemi.

– Umieściliśmy je w środku dużych placówek Konfederacji – oznajmił Duke – i ewakuowaliśmy większość naszych oddziałów liniowych. Do diabła, chłopcze, czy nie zdałeś sobie sprawy, że podłożyliśmy jeszcze jeden, kiedy *was* odbieraliśmy?

Mike nagle pomyślał o duchu i oddziale techników, i o reakcji Kerrigan. Oczywiście, że Mengsk nie przejmował się informacjami z siedziby UNN. Miał zamiar opanować całą ludzką

przestrzeń.

Raynor splunął.

– Ty skur... – Zrobił dwa kroki w kierunku generała.

Generał Duke, w swoim opancerzonym kombinezonie, podniósł zdrowe ramię. Nie do ataku, ale żeby osłonić się przed ciosem. Generał bał się, stary człowiek trzęsący się w neostalowej skorupie.

Raynor przystanął na moment, po czym ponownie splunął. Obrócił się i podążył w kierunku windy do kopuły obserwacyjnej.

Niektórzy marines nie mieli tyle odwagi, żeby zacząć strzelać do jednego ze swoich. Niektórzy nie dostali rozkazu. A inni nie wiedzieli, który z dwóch mężczyzn jest prawdziwym przestępcą.

Mike podążył za Raynorem. Za nimi generał Duke rozkazał żołnierzom powrócić na stanowiska.

Reporter położył rękę na ramieniu Raynora, a wielki mężczyzna obrócił się. Przez moment Mike obawiał się, że Raynor zamierzy się na niego, ale ogień w jego oczach został zastąpiony głębokim, gorzkim smutkiem.

– Nie dali im nawet cienia szansy – powiedział. – Mogli wykorzystać je jako groźbę, ale po prostu je odpalili. Bez ostrzeżenia, bez niczego. Kiedy wracaliśmy na statek. Uruchomili je.

– Więc co zamierzasz zrobić? – zapytał Mike.

– Zamierzam rozmówić się z Mengskiem osobiście – odpowiedział Raynor. – Ktoś musi przemówić mu do rozumu.

– Nie dotrzesz tam. Duke zapewne właśnie teraz rozmawia z nim przez komunikator, żądając twojego tyłka. Masz około dziesięciu minut, zanim przekona kilku zwolenników do aresztowania cię. Z pozwoleniem Mengska lub bez.

– Taa – gorzko parsknął Raynor. – I w tym stanie prawdopodobnie zastrzeliłbym Mengska.

– O to chodzi. A Mengsk *rozkazuje* zabić cię, jeżeli to zrobisz.

– Więc co pan radzi, doktorze Liberty? – odrzekł Raynor.

– Idź znaleźć sojuszników. Reszta jednostki z twojej planety. Ktoś ze starych kolonialnych oddziałów z systemu Sary, jeżeli któryś z nich został jeszcze na pokładzie. Idź do kajuty i poczekaj tam, aż się z tobą skontaktuję. I masz – wręczył Raynorowi plecak. – Pilnuj tego. Na tych dyskach jest parę soczystych informacji.

– A ty gdzie idziesz? – zapytał Raynor.

– Idę na pokład obserwacyjny. Muszę sam porozmawiać z tym wspaniałym człowiekiem. I nie będę starał się go uderzyć.

Raynor potaknął i odszedł ciężkim krokiem z plecakiem wyglądającym na śmiesznie mały i niepozorny w jego ciężkiej rękawicy. Mike wziął głęboki oddech, zamknął oczy i

powtórzył mantrę.

– *Nie uderzę go* – powiedział miękko. – *Nie uderzę go.*

Drzwi do windy otworzyły się i wyszła z niej Kerrigan. Jej twarz wyglądała jak chmura burzowa, pełna gniewu i zwątpienia.

Mike odskoczył w tył, jakby była generałem Duke'em zamachującym się opancerzoną pięścią.

– Poruczniku – powiedział – Sarah, co się stało?

– Rozmawiałam z Arcturusem – powiedziała Kerrigan, i jak się wydawało Mike'owi, po raz pierwszy zająknęła się, niepewna jak ująć myśli w słowa. – On... on wytłumaczył mi wszystko. Jego wyjaśnienia były pełne przykładów i sloganów, cytatów, omletów i rozbitych jajek, wolności i obowiązku i wszystkiego innego. I wierzyłam mu, Mike. Naprawdę chciałam wierzyć, że miał informacje, o których nie wiedzieliśmy, o tym, że w centrum Tarsonis były królowe Zergów władające miastem poprzez marionetkowych władców, poświęcające ludzi i jedzące dzieci na ulicach. – Wzięła głęboki oddech. – Ale gdy słuchałam, patrzyłam na mapę Tarsonis za jego plecami.

– Znam ten ekran – powiedział Mike. – To jego ulubiona zabawka.

Kerrigan parsknęła szyderczo.

– Gdy na niego patrzyłam, ekran stał się czerwony. Cały przykryty przybywającymi Zergami. – Spojrzała na Mike'a, szukając potwierdzenia w jego oczach.

– Na Tarsonis nie było żadnych Zergów, dopóki nie uruchomił emiterów psi – wyszeptała. – Żadnych. To nie tak jak na planetach Sary, albo nawet na Antidze Prime, gdzie Zergowie już byli i praktycznie już straciliśmy planetę. – *Tu nie było nic*, co mogło nam zagrozić, oprócz innych ludzi.

Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy.

– I teraz Zergowie przybywają zewsząd. Są na planecie. Arcturus nie wycofał żadnej z walczących obecnie jednostek. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby odwołać z planety oddziały, które umieściły emitery psi. Zostawił je tam. „Nie da się obejść bez poświęceń”, powiedział, i powiedział to swoim spokojnym, miłym głosem, tak jakby zamawiał kawę.

Mike pomyślał o oddziale, który wylądował na placu Atkina, i miał nadzieję, że Kerrigan była zbyt przygnębiona, żeby wychwycić jego przypuszczenia.

– W porządku – rzekł. – Powiedział ci to. I co się później wydarzyło?

– Później przysłała wiadomość z mostka o walce Jima z Duke'em – twarz Kerrigan na powrót przybrała podobieństwo do chmury burzowej. – I kazał mi się odmeldować. Powiedział mi, żebym sobie poszła, tak po prostu. I... i... straciłam panowanie nad sobą.

– Ostatnio często się to zdarza. Ale są ku temu powody.

– Mike, dla tego, co on zrobił, nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia. Myślałam, że to błąd, albo że Tarsonis było zarażone, albo że to genialny plan. Chodzi o to, że Arcturus ma młotek, a kiedy masz młotek wszystko wokół wygląda niczym gwóźdź.

Mike przypomniał sobie, że Mengsk użył tego samego porównania. Teraz wydawało się, że było to wieki temu.

– Już dobrze – rzekł Mike, sięgając, by chwycić ją za ramiona. Nie odsunęła się.

– I Mike – szepnęła – kiedy się na niego wściekłam, *spojrzałam*. To znaczy naprawdę *spojrzałam* w jego umysł.

Mike czekał, aż powie coś więcej, ale ona tylko kręciła głową. Kiedy przemówiła, jej głos był cichym sykiem.

– To bękart.

– Posłuchaj – odezwał się Mike. – Wysłałem Raynora do jego kwatery i powiedziałem mu, żeby zebrał sojuszników. Myślę, że powinnaś tam pójść.

Kerrigan spojrzała na Mike'a i przez najkrótszą chwilę wyglądała niepewnie. Potem lekko drwiący uśmiech zakwitł w kącikach jej ust.

– Nie, nie sędzę – stwierdziła. – Jestem teraz tak przygnębiona... Jim sprawiłby, że czułabym się... – Wypuściła powietrze i pokręciła głową. – Muszę przez chwilę zostać sama. Muszę wiedzieć, że wciąż mogę na sobie polegać. Po to, żeby upewnić się, że potrafię zrobić to, co potrzeba. Mimo tego wciąż jestem dobrym żołnierzem i mam robotę do zrobienia. Może wyjdzie z tego coś dobrego. W porządku?

Mike nie zgadzał się, ale przytaknął.

– Nawet gdybym nie była telepatką – uśmiechnęła się Kerrigan – to wiedziałabym, że kłamiesz. Mengsk ma rację co do tego. Chcesz każdego ocalić przed nim samym. Chcę, żebyś wiedział, że to... doceniam.

– Uważaj na siebie.

– Potrafię o siebie zadbać. – Kerrigan zdołała się szeroko uśmiechnąć. – Nie jestem niczym męczennikiem. Do diabła, pewnego dnia sama w to uwierzę. Po prostu powiedz Jimowi... – przerwała i ponownie pokręciła głową.

– Co? – zapytał Mike, oczekując na jej następne słowa.

– Nic – powiedziała w końcu. – Po prostu powiedz mu, żeby też na siebie uważał, okay? Dla mnie.

I odeszła, zmierzając do lądowiska statków desantowych. Mike obserwował, jak idzie w dół korytarza, niespokojna i niepewna niczym motyl opuszczający swój kokon.

Reporter pragnął, by jego żołądek go tak nie bolał, i był pewien, że minie długi czas, zanim ją z powrotem zobaczy.

Mike pojechał windą na pokład obserwacyjny. Arcturus Mengsk był tam, stojąc z założonymi do tyłu rękami i obserwując, jak Tarsonis zapełnia się czerwonymi trójkątami. Stanowiły one niemal tło obrazu, złamane przez żółte oznaczenia oddziałów Konfederacji.

Mike zauważył, że szachownica została rzucona przez pomieszczenie, a bierki były porzucane wokół. Kerrigan zupełnie straciła panowanie nad sobą.

Mengsk odwrócił się od mapy, a jego szpakowata broda była już bardziej biała niż czarna.

– Ach trzeci z moich cudownych rebeliantów – powiedział. – Zastanawiałem się, kiedy się pojawisz. Właściwie spodziewałem się, że ty pierwszy, a nie dobra porucznik, pojawisz się tutaj z żądaniami i obelgami. Musiałeś naprawdę do niej dotrzeć.

– Nic nie zrobiłem – odpowiedział Mike – oprócz tego, że byłem z nią, gdy skazałeś na śmierć kolejną planetę.

– Jedna śmierć to tragedia, milion śmierci to statystyka.

– Czy masz spis powiedzonek mających usprawiedliwiać twoje występki? – zapytał Mike, a jego oczy zwęziły się.

Mengsk uśmiechnął się ponuro.

– Mam przyjąć, że to oznacza, że porzuciłeś nadzieję na ocalenie mojej duszy? Mam nadzieję, że nie, bo kiedy zwyciężymy, będę potrzebował ludzi takich jak ty bardziej niż kiedykolwiek, aby pomóc mi w utworzeniu nowego, uniwersalnego porządku. Aby pomóc stworzyć porządek potrzebny, żeby uporać się z obcą inwazją.

– Z obcą inwazją? – parsknął Mike. – Czy chodzi o tą inwazję, którą sam sprowadziłeś na ten świat? Czy tę obcą inwazję masz na myśli?

Mengsk przekrzywił głowę i ściągnął brwi, jakby rozczarowany odpowiedzią Mike'a. Za nim ekran wciąż pulsował i świecił, dodatkowo teraz biało-niebieskie trójkąty pojawiły się na krawędzi obrazu.

– Nie spodziewałem się, że Sarah tu przyjdzie – zauważył Mengsk. – I nie spodziewałem się, że Raynor rozpocznie bójkę z generałem. To było głupie. I kłopotliwe. Będę musiał uspokoić parę gwałtownych uczuć.

– Gwałtownych uczuć? Oni się prawie pozabijali.

Mengsk ponownie pokręcił głową i Mike zdał sobie sprawę, że ten człowiek minimalizuje problemy, tak samo jak zminimalizował sytuację na Tarsonis. Minimalizuje je do stopnia, w którym mogą zostać zignorowane, przyćmione, zapomniane.

Ma własne pole załamujące rzeczywistość, pomyślał Mike.

– Generał Duke w istocie jest tchórzem – przywódca rebelii wyraził swoją opinię. – Jestem dla niego jak kręgosłup, dzięki któremu może się wyprostować. James, z drugiej strony, to sama odwaga i honor szukające miejsca, żeby wybuchnąć. Naładowany pistolet szukający celu. Ja pokazałem mu kierunek. Obydwaj są bardzo użyteczni w tym, co robią, i kiedy przejmemy Tarsonis, wszystko to przeminie. Nikt z nich nie potrafi tak naprawdę przetrwać beze mnie i żeby coś osiągnąć, muszą zdać sobie sprawę, że muszą wykonywać moje polecenia.

– Są dla ciebie jedynie bierkami? – zapytał Mike.

– Nie bierkami. Narzędziami. Utalentowanymi, pożytecznymi narzędziami. I tak. Raynor, Duke, Zergowie, Protossi. Tak, nawet ty i droga porucznik Kerrigan, wszyscy jesteście narzędziami do uzyskania większego dobra, lepszej przyszłości. Tak, w tej chwili sprawy wyglądają ponuro i przyznają się do winy. Ale pomyśl, jeżeli teraz sprawy mają się okropnie,

to jak dobrze będziemy wyglądać, kiedy przejmemy kontrolę, co?

– Nie patrz teraz – powiedział Mike, spoglądając na ekran za Mengskiem – ale wydaje mi się, że część twoich narzędzi atakuje inne.

– Co? – Mengsk obrócił się w miejscu i spojrzał na monitor. Pierwsze biało-niebieskie trójkąty oznaczające Protossów zbliżały się do powierzchni planety. Czerwone trójkąty Zergów tworzyły fale po ich przejściu. Wyglądało to tak, jakby Protossi byli kamieniami wrzuconymi do szkarłatnego stawu.

– Niedobrze – miękko stwierdził Mengsk. – Bardzo źle. Nie spodziewałem się, że przybędą tak szybko. To naprawdę źle.

– O mój Boże. *Naprawdę* się tego nie spodziewałeś? – Mike zamrugał ze zdumienia. Potem niepokój w jego żołądku przerodził się w zimny strach. – Dlaczego to ani trochę nie poprawia mi samopoczucia?

Rozdział 16

Mgła wojny

Nie oszukujmy się, Zergowie i Protossi podali nam nasze głowy na tacach. Tak, byli czymś, czego nigdy przedtem nie widzieliśmy. Tak, ich biologia była inna. Tak, ich technologia, albo to, co moglibyśmy określić mianem technologii, była bardziej rozwinięta w dziesiątkach dziedzin. I oczywiście byli maksymalnie groźni i agresywni, wiedzieli, gdzie jesteśmy, i mieli przewagę zaskoczenia.

Ale (i to raczej duże ale) my ludzie byliśmy najbardziej zaciętym gatunkiem w galaktyce. Walczyliśmy między sobą tak długo, jak tu byliśmy, i rozwinęliśmy nasze własne technologie wojskowe tak, że mogliśmy im dorównać w wielu miejscach. Mieliliśmy przewagę w postaci wewnętrznych linii zaopatrzenia (to wojskowy termin oznaczający „otoczeni”) i znanego pola walki (to wojskowe określenie oznaczające „walczymy z nimi we własnej jadalni”). Moglibyśmy ich zwyciężyć, gdybyśmy działali razem.

Więc co się stało? To samo, co spowodowało, że byliśmy dobrymi żołnierzami – fakt, że walczyliśmy między sobą, sprawił także, że byliśmy niezdolni do współdziałania w godzinie kryzysu. Nie mogliśmy się połączyć pod jednym sztandarem albo nawet stworzyć koalicji. Właściwie, za każdym razem, gdy istniała ku temu jakaś szansa, jedna lub druga frakcja robiły coś, żeby wzmocnić pozycje własnego stronnictwa wobec innych. Często kosztem reszty ludzkości. Nie mogę sobie wyobrazić centralnie sterowanych Zergów albo świetlistych Protossów poddających się takim podstawowym instynktom ludzi jak chciwość, władza i dziki upór.

Oczywiście wszystko to zupełnie ludzkie instynkty i dlatego zagrożenie ze strony innych ras zaglądało nam w twarz.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

– Naprawdę nie sądziłeś, że przylecą? – Zapytał Mike. – Nie wiedziałeś, że Protossi się tu pojawiają? Jak mogłeś nie wiedzieć?

– Zuchwały młodzian – stwierdził Mengsk, zbliżając się do konsoli i śledząc dwanaście monitorów naraz. – Oczywiście, że wiedziałem, że Protossi tu przybędą. Podążają za Zergami niczym gospodyni goniąca muchy ze zwiniętą gazetą, czekająca, aż usiądą, żeby można je

było trafić. Po prostu nie spodziewałem się, że przylecą tak *szybko*.

Mike uśmiechnął się mimowolnie. Cokolwiek, co mogło przeszkodzić wielkiemu Arcturusowi Mengskowi, wystarczało, żeby wprawić go w zadowolenie. I, po namyśle, jeżeli Protossi kontaktowali się z Mengskiem, zapewne zorientowali się, z jakim dwulicowym politykiem mają do czynienia i po prostu czekali w przestrzeni na taki krok, jaki właśnie zrobił. Mengsk przejrzał kilka ekranów, a następnie zmełł przekleństwo w ustach. W końcu przesunął dźwignię i zawołał – Duke!

Obita twarz generała pojawiła się na ekranie.

– Sir, czy rozważał pan moją prośbę dotyczącą kapitana Raynora?

– Oszczędź mi swoich drobnych utarczek – ostro odrzekł Mengsk. – Połącz mnie z lokalnymi dowódcami. Przybyli Protossi.

– Tak sir, wiemy – dumnie zauważył Duke. – Ale unikają naszych sił, koncentrując się głównie na gniazdach Zergów – przerwał i zamrugał, nieświadomy, że nowina, którą przekazał, może być niepomyślna.

– Jeżeli Protossi zajmują się Zergami – rzekł Mengsk, starannie wymawiając każde słowo – wtedy Zergowie walczą z *nimi* zamiast z konfederatami. Jeśli Protossi zajmują się Zergami, to konfederaci mogą uciec. Stare Rodziny mogą się wydostać, a sedno władzy Konfederacji wraz z nimi!

Duke zamrugał powtórnie, potem schylił głowę.

– Wobec tego musimy zatrzymać Protossów. Mogę przesłać transmisję, żeby te świecące myszołowy się wycofały.

Mengsk zignorował go i nacisnął kilka przycisków.

– Wyślijcie porucznik Kerrigan z oddziałem uderzeniowym w celu przechwycenia awangardy Protossów. Kapitan Raynor i generał Duke pozostaną na statku dowodzenia.

Wściekła twarz Raynora, czerwona jak powierzchnia Tarsonis, pojawiła się na innym ekranie.

– Najpierw oddajesz wszystkich na tej planecie w łapska Zergów, a teraz chcesz, żebyśmy zaatakowali Protossów? Tracisz kontrolę. Poza tym zamierzasz wysłać tam Kerrigan bez wsparcia, tak?

Twarc Mengska już zdążyła przejść od zdziwionego zaniepokojenia do spokojnej pewności. Stabilność bańki rzeczywistości została zakłócona, ale nie przerwana. Mike zastanawiał się, ile więcej byłoby potrzeba, aby zburzyć fasadę, którą wybudował ten człowiek. I co stałoby się, gdyby maska spadła? Czy w środku tego człowieka było coś, co mogło być odkryte?

Mike uświadomił sobie, że mógł zostać, wytykając błędy i kłócąc się, i może nawet terrorysta odpowiedziałby mu gniewnie. Mengsk zaczynał wyglądać, jakby tracił cierpliwość, ale co do jednego miał rację: Michael Liberty porzucił nadzieję na zbawienie duszy Arcturusa Mengska.

Po za tym istnieli inni, bardziej zasługujący na jego pomoc.

Mike ruszył do windy. Za nim Mengsk mówił spokojnie – Z całą pewnością twierdzą, że porucznik Kerrigan jest w stanie powstrzymać Protossów.

Drzwi do windy zamknęły się w momencie, gdy głos Raynora mówił – To głównopr... – I Mike zjeżdżał w dół, tam gdzie Raynor zebrał kilku sprzymierzeńców, przynajmniej miał taką nadzieję.

I wbrew zdrowemu rozsądkowi, miał nadzieję, że Kerrigan zmieniła zdanie i będzie tam również.

* * *

W kwaterze Raynora było ponad dwudziestu ludzi. Niektórzy z nich już ubrani w swoje kombinezony bojowe. Inni pośpiesznie się ubierający. Raynor był przy konsoli komunikacyjnej.

Kerrigan nie było tam, ale jej głos, metaliczny przez naręczny komunikator, rozbrzmiewał w pomieszczeniu.

– Nie jesteś mu tego winna! – powiedział Raynor. – Do diabła, ocaliłem twój tyłek kilka ładnych...

– Jimmy, przestań być rycerzem w lśniącej zbroi. Czasami ci to pasuje, ale... – przerwała na chwilę, jakby ważąc słowa – ... nie teraz. – Jej głos sprawiał wrażenie, że jest wyczerpana i znużona. Niemal pokonana. – Nie potrzebuję być *uratowana*. Wiem, co robię. Kiedy uporamy się z Protossami, będziemy mogli coś zrobić z Zergami.

Wzięła głęboki oddech.

– Arcturus przybędzie z pomocą – powiedziała, dla Mike'a brzmiało to tak, jakby nie miała za wiele nadziei. – Wiem, że tak zrobi.

Usta Raynora stały się cienką linią okoloną przez jego piaskową brodę.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, kochanie... Udanych łowów.

Rozłączył się i spojrzał na Mike'a.

– Lecimy za nią – powiedział Mike. Było to beznamienne stwierdzenie faktu.

– Możesz założyć się o swój tyłek, że tak. Ubieraj się. Przynieś swój sprzęt. Później możemy być tu niemile widziani.

Mike wślizgnął się w jeden z wolnych pancerzy.

– Mengsk pomylił się co do jednego – mówiąc to, Raynor zapinał się, a jego ręce płynnie i automatycznie zapinały wszystkie zamki i zatrzaski. – Kiedy Kerrigan zaatakuje Protossów, zaczną nas traktować jak wrogów. Nas wszystkich. A na orbicie wokół Tarsonis jest teraz wystarczająco dużo ich ciężkiego sprzętu.

Mike chrząknął na zgodę i sprawdził systemy własnego kombinezonu. Naprawił większość uszkodzeń spowodowanych wcześniejszą bójką z Duke'em, ale Mike zauważył, że kilka wskaźników pod wizjerem wciąż migało ostrzegawczą żółcią.

– Więc musimy unikać Zergów, jak również i Protossów – napomknął Raynor. – Tutaj nigdy nie jest lekko.

– To dlatego kochamy wyzwania – odpowiedział Mike, mówiąc to bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. Sięgnął po plecak z ukradzionymi danymi i, pod wpływem chwili, po swój stary płaszcz, podarunek od kolegów z redakcji. Prochowiec był podziurawiony promieniami lasera, poplamiony krwią i innymi mniej rozpoznawalnymi płynami, i spieczony pod obcymi słońcami. Był postrzępiony, podarty i wyświechtany.

Zupełnie jak ja, pomyślał Mike, chowając płaszcz na dnie plecaka. To wszystko, co chciał zabrać z szafki. Podniósł plecak, przewiesił go przez plecy i pośpieszył za Raynorem.

Statek, wraz z pojawieniem się Protossów, został postawiony w stan najwyższego pogotowia i teraz ludzie Raynora przemierzali korytarze zalane czerwonym światłem.

Mike czuł siłę ciężkości dociskającą go do płyt pokładu; wielki statek dowódcy przedzierał się przez coś, ale nie potrafił powiedzieć, czy był to gruz, czy ogień nieprzyjaciela.

– Myślisz, że uda nam się wydostać ze statku? – zapytał Mike, gdy wkroczyli na lądowisko.

– Taa – odrzekł Raynor. – Piloci desantowców to weterani. Nie boją się gniewu Duke’a i niczego w tym guście. Zawsze mogą powiedzieć, że zmusiłem ich do przewiezienia nas.

– Oni mogą się nie bać mojego gniewu – odezwał się generał Duke z cienia po jednej stronie lądowiska – ale wy powinniście.

Światła z czerwonych stały się żółte i Mike ujrzał Duke’a stojącego pośród dwóch oddziałów marines. Broń mieli wycelowaną w ludzi Raynora. Duke ścisnął broń, pożyczony miotacz, lewą ręką, prawa zwisała beużytecznie wzdłuż boku.

– Wybierasz się gdzieś, chłopcze? – zapytał Duke, a nad obramowaniem jego hełmu pojawił się serdeczny uśmiech. W kąciakach jego ust wciąż była zaschnięta krew. Mike pomyślał sobie, że generał mógł uważać to za oznakę honoru albo obrazę do pomszczenia.

– Lecimy za Kerrigan – powiedział Raynor. – Potrzebuje nas, obojętnie co o tym sądzi Mengsk.

– Ta dziewczyna potrzebuje tego, co *mówi* Mengsk, że ona potrzebuje. – Duke przeciągał samogłoski. – Ale miło, że się staracie. Teraz, kiedy mam solidny dowód buntu, mogę odpowiednio potraktować zdrajców.

Mike przyjrzał się marines. Wszyscy byli neuronowo resocjalizowani, a co gorsza, aż po uszy napakowani stymulantami. Ich oczy praktycznie były pozbawione źrenic. W tym stanie na dobrą sprawę byli podłączeni do systemu nerwowego Duke’a. Na rozkaz generała automatycznie, bez zastanowienia, otworzyliby ogień albo padli na ziemię, żeby zrobić dwadzieścia pompek.

Jedynym rozwiązaniem było powstrzymanie generała przed wydaniem tego rozkazu.

– Mengsk będzie bardzo niezadowolony, jeżeli nas zabijesz – powiedział Mike.

Duke zaśmiał się.

– Po prostu przytoczę mu jedno z jego powiedzonek: „łatwiej jest uzyskać przebaczenie niż pozwolenie”. Teraz, chłopcy z Raynorem, rzućcie broń i poddajcie się, a może zostawię was przy życiu.

Raynor nie poruszył się. Mike usłyszał, że za nim niektórzy ze strażników powoli kładą karabiny na pokładzie.

Wtem *Hyperion* przechylił się nagle na jedną burtę. Coś dużego uderzyło w jego bok. Marines w swoich ciężkich butach zakołysali się, a Duke na chwilę opuścił broń.

Kiedy podniósł jaz powrotem, Raynor już czekał z odbezpieczonym i gotowym do strzału impalerem.

– Robi się coraz lepiej i lepiej. – Duke uśmiechnął się, szczerząc żółtawe, koślawe zęby.

– Myślę, że nie masz odwagi – prowokował Raynor.

– Wystarczy, że mrugniesz i moi ludzie naszpikują cię taką ilością metalu, że nadasz się na złom. A teraz opuść broń na trzy. Jeden... Dwa...

Rozległ się głośny trzask i lewe ramię Duke’a eksplodowało w ulewie stopionego metalu. Marines Duke’a podskoczyli i wycelowali broń, ale nie strzelili. Rozkazano im czekać na komendę.

Generał powoli osunął się na kolana, upuszczając broń na ziemię. Jego pancerz zasyczał, gdy pierścienie otaczające zacisnęły się wokół zranionego ramienia, a system medyczny zaczął pompować środki przeciwbólowe do krwi.

Wstęga dymu unosiła się z lufy karabinu. Mike odsunął zapadkę i do komory wskoczył kolejny pocisk.

– Myślę, że powinieneś się zamknąć – Mike odezwał się do generała.

– Mogę was spalić tam, gdzie stoicie – odrzekł Duke. Narkotyki w jego kombinezonie już działały i jego głos był niewyraźny.

Mike zrobił dwa kroki do przodu i powiedział – No dalej, ty będziesz pierwszy. Wydadź rozkaz, generale.

Duke zawahał się, jego oczy straciły ostrość, poddając się potężnemu działaniu narkotyków. Starał się pozostać przytomny dzięki złości.

– Nie masz jaj, żeby to zrobić – wykrztusił.

– Wypróbuj mnie – odrzekł Mike. – W końcu nauczyłem się strzelać do ludzi.

Na lądowisku na moment zapadła cisza.

– Ludzie, podnieście broń, zabieramy się stąd – odezwał się Raynor.

Sojusznicy Raynora zebrali karabiny i przeszli obok żołnierzy rebelii. Pozbawieni konkretnych rozkazów Duke’a marines nie strzeliliby do, być może, przyjacielskich celów. Raynor przystanął przy Mike’u i klęczącym Duke’u.

– No idź – powiedział Mike. – Dogonię was.

Twarz Duke’a spopieliała, a jego oczy zaszyły mgłą. W jego umyśle nie pozostała żadna

racjonalna myśl, jedynie walczące o dominację wściekłość i tchórzostwo.

– Jeżeli jeszcze raz cię zobaczę, to cię zabiję – wysyczał.

– Więc przyjrzyj się dobrze moim plecocom – odrzekł Mike – bo to tylko w plecy zdążysz mi strzelić, jeżeli się spotkamy.

Wtedy narkotyki całkowicie opanowały Duke'a i generał padł na pokład.

Mike odwrócił się do marines o twarzach zombie.

– Zabierzcie go migiem do lazaretu i zróbcie miejsce do startu. – Żołnierze odeszli z mruknięciem, zabierając ze sobą nieprzytomnego dowódcę.

Mike pobiegł do statku desantowego. Podczas gdy wchodził po trapie, silniki już zaczęły pracować.

Raynor miał rację co do pilotów desantowców. Pilot ustalił współrzędne i przygotował statek do lotu, zanim Mike wszedł na pokład. Teraz próżnia wyssała atmosferę i statek opuścił *Hyperiona* i wyruszył w chaos znajdujący się poniżej.

Przestrzeń wokół nich przedstawiała straszliwy widok. *Hyperion* leciał przez pole szczątków, fragmentów wciąż palących się w powietrzu wydostającym się z pękniętych kadłubów, pozostałych po jakimś ludzkim statku, który stanął na drodze Protossom. Wiązki energii myszkowały po próżni, wypalając siatkówki obserwatorów.

Mike usiadł przy konsoli nawigacyjno-komunikacyjnej, znajdującej się za platformą pilota.

– Postaram się skontaktować z oddziałem Kerrigan – zakomunikował.

– Nie spodoba jej się to – ponuro odrzekł Raynor. – Nieważne, zrób to – dodał po chwili.

Ogromne statki Protossów przemykały w przestrzeni niczym wielkie bestie, towarzyszące im myśliwce tańczyły wokół na podobieństwo złotych ciem. Statki w kształcie półksiężyca zlatywały w dół planety, a podłużne myśliwce i pojazdy zwiadowcze zrobione ze srebra i klejnotów śmigały w polu kosmicznego gruzu.

Hyperion palił się w kilku miejscach. Nic poważnego, ale w takiej chwili Mengsk będzie miał poważniejsze zmartwienie niż nieobecność grupki byłych zwolenników. Działo Yamato krążownika rozrywało niebo powtarzającymi się wystrzałami, rozpraszając klucze myśliwców Protossów.

– Mamy towarzystwo – spostrzegł pilot. – Zapnijcie pasy i trzymajcie się mocno!

Zergi wlatywały z powierzchni Tarsonis. Wielkie latające działa, pomarańczowe z fioletowymi skrzydłami, podleciały i setkami zaczęły atakować transportowce Protossów. Za nimi podążały większe latające kraby, które wyglądały na bardziej odporne na ataki małych myśliwców niż mutaliski. Mike zauważył, że jeden z krabów wleciał do luku transportowca i cały statek Protossów wybuchł, tworząc kulę biało-niebieskiego płomienia.

Para uskrzydłonych mutalisków spostrzegła desantowiec i skierowała się w ich stronę, wymiotując kulistymi wstęgami czegoś obrzydliwego.

Statek desantowy rebeliantów nie posiadał żadnej możliwości obrony i pilot przeklął,

próbując zejść z drogi napastnikom.

Mike uświadomił sobie, że to nie może się udać i nastawił się na uderzenie żrącej śliny Zergów.

Potrójna błyskawica rozerwała atakujące mutaliski na organiczne strzępy, szatkując ich skrzydła ogniem laserów. Trójka A-17 Wraith przemknęła lotem nurkowym pośród szczątków Zergów, a Mike w ułamku sekundy zauważył na skrzydłach pojazdów insygnia Konfederacji. Chwilę potem pojazdy zniknęły, szukając kolejnych sprzymierzeńców i kolejnych wrogów.

– Poszczyli ci się? – zapytał Raynor, zaglądając Mike'owi przez ramię.

– Na razie wokół jest za duży ruch – zdenerwował się Mike. – Poczekaj. Mam sygnał. Kerrigan nadaje. Przełączam ją na ekran.

– Tu Kerrigan. – Jej twarz na ekranie była wymizerowana i zabiedzona. Prerażona, pomyślał Mike i przeszedł go zimny dreszcz. – Zneutralizowaliśmy siły naziemne Protossów, ale do naszych pozycji zbliża się fala Zergów. Potrzebujemy natychmiastowej ewakuacji.

Ekran podzielił się na połowę i w polu widzenia pojawiła się twarz Mengska. Wokół tej twarzy coś migotało nieregularnie, powodując że Mengsk pojawiał się i znikał niczym kot z „Alicji w krainie czarów”.

– Unieważniam ten rozkaz – rzucił przywódca rebelii. – Wycofujemy się.

Raynor walnął przycisk mikrofonu.

– Co? Chyba nie zamierzasz ich zostawić?

Jeżeli Mengsk usłyszał komentarz Raynora, to nie dał tego po sobie poznać. Mógł go nie słyszeć z powodu zakłóceń.

– Wszystkie statki przygotować do opuszczenia Tarsonis na mój znak – rozkazał, zamiast odpowiedzieć na pytanie Raynora.

Fala szumu statycznego zagłuszyła sygnał Kerrigan. Coś dużego uderzyło w ziemię obok niej. Potem pojawiła się znowu.

– Hej, chłopcy? Co z ewakuacją?

– Cholera, Arcturus – wycedził Raynor przez zaciśnięte zęby – nie rób tego.

Mengsk wciąż pojawiał się i znikał. W końcu pokazał się na ekranie.

– Nakazuję natychmiastowe opuszczenie orbity Tarsonis. Teraz! – powiedział głośno i wyraźnie.

– Arcturus? – rzekła Kerrigan będąca w porównaniu do Mengska zaledwie cieniem na ekranie. – Jim? Mike? O co, do diabła, chodzi...?

Po tych słowach mgła wojny pochłonęła ją całkowicie i odbiorniki nie rejestrowały nic poza szumem.

Raynor desperacko tłukł pięściami w konsolę komunikacyjną.

– Jak zepsujesz, to kupujesz – stwierdził pilot, robiąc ciasną pętlę, żeby oderwać się od ścigającej ich pary latających krabów. Pilot, bez wątplenia posiadający stalowe nerwy,

podleciał statkiem pod myśliwca Protossów i kraby zaatakowały go zamiast ich.

Mike namierzył Kerrigan i wprowadził dane do systemu statku. Desantowiec skręcił na nowy kurs.

Wokół nich setki nowych gwiazd rodziły się i gasły w przeciągu sekund. Obecnie największym niebezpieczeństwem były dla nich szczątki rozbitych statków i pilot zaklął kilkakrotnie, kiedy musiał gwałtownie zmieniać tor lotu, żeby uniknąć zderzenia z większymi fragmentami.

W końcu wlecieli w atmosferę, a monitory nabrały koloru pomarańczowego z powodu licznych płomieni. Główna walka toczyła się nad ich głowami. Teraz musieli uważać jedynie na siły naziemne poniżej.

Ale sytuacja na dole była podobna do tej na górze. Zniżali się w kierunku planety pokrytej porozrzucanym gruzem. Wspaniałe miasto Tarsonis płonęło, szerokie place były wypełnione szczątkami budynków, a błyszczące w słońcu iglice były niczym więcej jak tylko wyszczerbionymi, rozrzuconymi kawałkami metalu. Szyby ogromnych budynków były zupełnie potrzaskane, widniały tylko poskręcane szkielety stalowych konstrukcji. Jedna z przewróconych budowli, rozpościerająca się na przestrzeni trzech kwartałów, zakończona była zgruchotanym wrakiem transportowca Protossów, wydzielającym z każdego pęknięcia nieziemskie promieniowanie.

Budynki zmalowały, gdy rebelianci zbliżyli się do przedmieść i pól uprawnych, ale zniszczenia wciąż były bardzo duże. Mike ujrzał kraterę po statkach wbitych w powierzchnię planety. Szalejące płomienie pożerały domy i pola, a pośród nich poruszały się sylwetki walczących.

Teraz, w zrujnowanym krajobrazie, pojawiły się także nowe budowle – należące do obcych najeźdźców. Plecha była wszędzie, a śmiercionośne twory o zwieńczeniach w kształcie kwiatów maku rozwijały się w stronę nieba. Gniazda otoczone przez pulsujące jaja usiały krajobraz planety.

Pośród gruzów pojawiły się też inne budowle. Złote, z niemożliwymi podporami, zamaszystymi konstrukcjami i opalizującymi powierzchniami niepotrzaskanego szkła. Protossi budowali swoje palcówki obronne na Tarsonis.

Może myśleli, że coś tutaj jest warte ocalenia, pomyślał Mike. To znaczyłoby, że mają więcej wiary w ludzkość, niż miał Mengsk.

Ziemia pod nimi roła się od Zergów, a między nimi niczym lśniący rycerze kroczyli żołnierze Protossów, pozostawiając za sobą śmierć. Czteronogie, mechaniczne pająki wędrowały pośród ruin, a ogromne stwory przypominające opancerzone gąsienice atakowały gniazda Zergów. Cieniutkie niczym lance myśliwce ostrzeliwały olbrzymie, wyposażone w kły podobne do kos Zergi, które zmiatały wojowników Protossów tak, jak rolnik kosi zboże.

– Powinniśmy się zbliżyć – powiedział Mike.

Radio trzasnęło i zacharczało, i odezwał się młody i przestraszony głos.

– Czekamy na ewakuację. Pośród nas są cywile i ranni. Widzimy wasz statek. Macie tam miejsce?

Raynor rzucił się do mikrofonu.

– Porucznik Kerrigan, czy jesteście tam?

– Kerrigan nie ma wśród nas, sir – nadeszła skrzecząca odpowiedź. – Ale wciąż naprawdę dostajemy baty. Zergi są wszędzie i szykują następny atak. Jeśli nie odlecimy teraz, nie wydostaniemy się stąd nigdy. – W głosie słyhać było przerażenie.

Mike spojrział na Raynora, twarz dużego mężczyzny była nieprzenikniona niczym gliniana podobizna prawdziwej postaci.

– Łądujemy – powiedział Raynor w końcu. – Powiedz im, że przybywamy.

– Ale Kerrigan... – zauważył Mike.

– Wiem – odpowiedział Raynor, a Mike, mimo szumu w tle, mógł przysiąc, że usłyszał dźwięk pękającego serca. Były strażnik wziął głęboki oddech. – Mengsk opuściłby tych ludzi tak jak resztę – dodał. – My ich nie zostawimy, mam nadzieję, że dzięki temu będziemy lepsi niż on.

Statek desantowy wylądował na krawędzi dachu szkoły przeobrażonej w bunkier, a uciekinierzy zaczęli się wpychać na pokład już w momencie, gdy pilot włączył silniki hamujące. Przewodził im wychudzony dzieciak ubrany w coś, co kiedyś było kombinezonem bojowym. Jakiś ochotnik z Zewnętrznych Światów, który przyłączył się do rebelii Mengska. Mike nigdy go przedtem nie widział.

Dzieciak zasalutował i zwrócił się do Raynora.

– Cholernie dobrze was widzieć. Słyszeliśmy rozkaz o wycofaniu się, ale nikt po nas nie przyleciał. Zergi są wzdłuż północnej flanki. Protossi odepchnęli ich na chwilę, co dało nam trochę wytchnienia, ale myślę, że robale wracają. Plecha dotarła już tutaj i nie mamy co z tym zrobić.

– Co to za jednostka? – powiedział po prostu Raynor.

Młodziak zamrugał.

– Nie jesteśmy żadną jednostką, sir. Mamy tutaj z pół tuzina oddziałów, albo raczej to, co z nich pozostało. Konfederaci i rebelianci sir. Kiedy Zergowie zaczęli się zlatywać, a Protossi uderzyli z nieba, każdy człowiek się liczył.

– Słyszeliście coś o porucznik Kerrigan? – rzucił Raynor. – Walczyła z Protossami w pobliżu tego miejsca.

– Nie, sir – odparł dzieciak. – Jeden z maruderów mówił coś o oddziale walczącym z Protossami tam na grzbiecie wzgórza – machnięciem wskazał w stronę Zergów. – Jeśli to prawda, to obawiam się, że dostały ich Zergi.

Raynor wziął głęboki oddech.

– Zabierz swoich ludzi na statek – powiedział po chwili. – Zostawcie ciężki sprzęt. Zergowie i Protossi raczej go nie użyją. Odlatujemy za dwie minuty.

Mike podszedł do Raynora.

– Wciąż możemy jej poszukać – zaproponował.

– Słyszałeś dzieciaka – Raynor potrząsnął głową – nadchodzą Zergowie. Wraz z wycofaniem się rebeliantów cała planeta w sekundę zostanie opanowana przez obcych. Statek desantowy jest bezbronny, a na pokładzie mamy cywili. Musimy się stąd wynosić i mieć nadzieję, że uda nam się stąd wydostać, zanim cały system pójdzie do diabła.

– Przykro mi – powiedział Mike, kładąc rękę na ramieniu Raynora.

– Wiem – odrzekł Raynor. – Na litość boską, wiem.

Rozdział 17

Niezdobyte drogi

Konfederacja umarła razem z Tarsonis. Przez tyle czasu cały prestiż i władza Konfederacji były zawarta w tym jednym miejscu, więc jej upadek pociągnął za sobą koniec całej reszty.

Arcturus Mengsk oczywiście odegrał rolę koronera, wykonując sekcję i oznajmiając, że pacjent zszedł z powodu zatrucia Zergami, któremu towarzyszył uraz spowodowany przez Protossów. Ironiczny fakt, że odciski palców Mengska znajdowały się na morderczej broni, znaczył niewiele dla wielu, a przez większość został zignorowany. Jak można było się spodziewać, UNN pominęła ten fakt w swoich relacjach.

Jeszcze zanim ostatni żołnierz Konfederacji został strawiony w gnieździe Zergów, Mengsk proklamował powstanie Dominium Terrańskiego, mającego zjednoczyć ocalałe planety, promiennego, nowego feniksa, który miał narodzić się z popiołów i zgromadzić ludzkość. Tylko razem, podkreślił były rebeliant, możemy walczyć z obcym zagrożeniem.

Pierwszym władcą tego świetlanego, godnego podziwu rządu był sam imperator Arcturus Mengsk I, wyniesiony na tron poprzez ogólnospołeczną aklamację.

Ironia tego ostatniego niepozornego faktu, to, że większa część tej aklamacji pochodziła od samego Mengska, również została przegapiona przez społeczeństwo.

– MANIFEST LIBERTY’EGO

Mimo że czas uciekał, jeszcze przez dwadzieścia minut krążyli wokoło, wypatrując maruderów. Wszystko, co znaleźli, to mnóstwo Zergów i ziemi pochłoniętej przez plechę. W końcu, wysłuchawszy niezliczonej liczby protestów pilota, zebrali się do odlotu. Powierzchnia planety pod nimi zapełniała się budynkami Zergów z żywego mięsa. Tu i ówdzie pojawiały się błyski broni Protossów, przemykające przez widnokrąg niczym błyskawice w czasie letniej burzy.

Gdy wzlatywali, dotarła do nich wiadomość od Mengska, generalny apel skierowany do wszystkich statków. Twarz terrorysty była spokojna, ale był to spokój wymuszony, taki, który nie emanował z przekazu. Jego oczy były jasne, ale niewiele wyrażające.

– Panowie, spisaliście się doskonale, ale pamiętajcie o tym, że dużo zostało do zrobienia.

Nasiona nowego imperium zostały zasiane i jeżeli chcemy je zebr...

Raynor pochylił się w kierunku konsoli i nacisnął klawisz.

– Do diabła z tobą! – warknął.

Mengsk usłyszał go. Krzaczaste brwi obniżyły się nad oczami przywódcy.

– Jim, mogę wybaczyć twoją porywczą naturę, ale robisz okropny błąd. Nie przekreślaj mnie, chłopcze. Nawet nie *myśl* o tym, żeby mnie przekreślić. Poświęciłem zbyt dużo, by pozwolić, żeby to się rozleciało.

– Masz na myśli to, że poświęciłeś Kerrigan? – rzucił Raynor.

Mengsk wzdrygnął się, tak jakby Raynor, mimo dzielącej ich odległości, zdołał go uderzyć. Jego twarz poczerwieniała.

– Pożałujesz tego. Wydajesz się nie rozumieć mojego położenia. Nikt mnie nie powstrzyma.

Raynor w końcu przedarł się przez grubą, głęboką patynę, która pokrywała lidera rebelii, i odkrył człowieka pod spodem. Mengsk rozłościł się i u podstawy karku nabrzmiały mu żyły.

– *Nikt* mnie nie powstrzyma – powtórzył. – Nie powstrzymasz mnie *ty*, ani *konfederaci*, ani *Protossi*, *nikt!* Będę rządził tym sektorem albo zobaczę jego śmierć w płomieniach. Jeżeli którykolwiek z was spróbuje stanąć mi na...

Raynor nacisnął przycisk dźwięku i obserwował jak Mengsk bezgłośnie krzyczy i przeklina na ekranie.

– Załazłeś mu za skórę – stwierdził Mike. – W końcu.

– To musiało być coś, co powiedziałem – zażartował Raynor, ale mówiąc to, wcale się nie uśmiechał.

– Przykro mi z powodu Sarah – odezwał się Mike w szumiącej ciszy statku desantowego. Teraz nie zabrzmiało to ani trochę lepiej niż wcześniej na powierzchni.

Raynor usiadł obok Mike'a i przez chwilę popatrzył na pokład.

– Tak, mnie też – powiedział w końcu. – Nie powinienem był jej pozwolić lecieć tam samej.

– Wiem, przez co przechodzisz.

– Co, stałeś się telepatą?

– Jestem człowiekiem – wzruszył ramionami Mike. – To się liczy. To długa wojna. Wszyscy kogoś straciliśmy. Wszyscy widzieliśmy rzeczy, których nie chcieliśmy oglądać. Jeden mądry człowiek powiedział mi kiedyś, że ci, którzy żyją, czują się winni, że pozostali przy życiu. I nie, to nie twoja wina.

– Na to wygląda – powiedział Raynor. W kabinie statku zapadła cisza. W końcu były strażnik pokręcił głową.

– To nie koniec – stwierdził. – Protossów i Zergów nie obchodzi, że teraz rządzi Mengsk. Nie przejmują się ludzkimi wojnami czy ludzkimi przywódcami. Walczą w całej ludzkiej przestrzeni. To nie koniec.

– Myślę, że to koniec dla mnie – zaprzeczył Mike. – Nie jestem żołnierzem. Próbowałem, ale jestem dziennikarzem. Nie należę do pola walki. Moje miejsce jest przy klawiaturze albo przed kamerą holo.

– Wszechświat się zmienił, synu. Co zamierzasz zrobić?

Teraz nadeszła kolej Mike'a na długą przerwę.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Przypuszczam, że coś pożytecznego. Nie umiem się powstrzymać. Ale to musi być coś innego niż to.

Zasięg statku desantowego był ograniczony, ale udało im się wydostać z systemu na *Dziecku Gromu*, starym krążowniku klasy *Leviathan*, który zaledwie cztery godziny i jeden bunt temu należał do Konfederacji. Teraz większość statków należących do ludzi wycofywała się z walki, pozostawiając Tarsonis Zergom, Protossom i tym głupcom, którzy myśleli, że ukrycie się w podziemnych bunkrach było dobrym pomysłem.

Radiotelegrafista na *Dziecku* spotkał ich w korytarzu.

– Mam dla was wiadomość od Arcturusa Mengska – powiedział.

– Mengsk! – wykrzyknął Raynor. – Potrzebuje mnie, żebym mu zrobił kolejny otwór w czaszce?

– To nie do pana, sir – odpowiedział radiotelegrafista. – To do pana Michaela Liberty'ego. Z podkreśleniem na „pan”. Jeśli pan chce, to może zająć pomieszczenie komunikacyjne.

Raynor uniósł brew. Mike pomachał mu, żeby szedł z nim. Były strażnik planetarny, były kapitan rebelii, były rewolucjonista usiadł na krześle poza zasięgiem kamery. Mike nacisnął przycisk odbioru i poczekał, aż przez przestrzeń nadejdzie wiadomość z *Hyperiona*.

Arcturus Mengsk zmaterializował się na ekranie. Każdy włos był na miejscu, każdy gest wystudiowany i wyćwiczony. Było tak, jakby uprzednie zajście nie miało miejsca.

– Michael – rozpromienił się.

– Arcturus – bez najmniejszego uśmiechu odpowiedział Mike.

Mengsk przelotnie i przygnębiająco spojrział się w dół, jakby myśląc uważnie nad następnymi słowami. Kiedyś to osiągnęłoby efekt, ale teraz było to tylko płytką, beznamietną manierą, niewątpliwie wyćwiczoną przez przywódcę rebelii. Michael niemal oczekiwał, że zaraz podejdzie i usiądzie na krawędzi stołu.

– Obawiam się, że nie jestem w stanie w pełni wyrazić żalu po stracie Sarah. Po prostu nie wiem, co powiedzieć.

– Kapitan Raynor powiedział parę dobranych słów – odrzekł Mike z gorzejącymi oczami.

– I mam nadzieję, że pewnego dnia Jim i ja porozmawiamy o tym. – Uśmiech Mengska był wymuszony i naciągany. Coś się stało, wielki bąbel otaczający Mengska pękł. – Ale nie dlatego się z tobą skontaktowałem. Jest tu ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać.

Mengsk sięgnął poza ekran, żeby nacisnąć przełącznik, i nowa twarz zastąpiła oblicze przyszłego imperatora ludzkiego wszechświata. Łysiejąca głowa zdominowana przez parę

krzaczastych brwi.

– Handy? – niedowierzał Mike.

– Mickey! – odrzekł Handy Anderson. – Dobrze cię znowu widzieć, stary! Wiedziałem, że jeśli ktoś z roboty przetrwa ten bałagan, to będziesz to ty! Jesteś jak szczęśliwa moneta, zawsze się znajdująca w potrzebie!

– Anderson, gdzie jesteś?

– Tutaj, na *Hyperionie*, oczywiście. Arcturus ściągnął mnie tu ze statku z uciekinierami. Opowiedział mi, jak wspaniale się zachowywałeś. Prawdziwy żołnierz. Dlaczego przestałeś przysyłać relacje?

– Wysyłałem je. Przerabiałeś je, pamiętasz? Mówiły, że Mengsk mnie pochwycił? Coś ci to mówi?

– Drobną montaż – powiedział Anderson. – Tylko tyle, żeby zadowolić władzę, niech spoczywa w pokoju. Wiedziałem, że zrozumiesz.

– Handy...

– W każdym bądź razie słyszałem, że odchodzisz od Mengska. I wiedziałem, że będziesz chciał usłyszeć, że mimo obecnej sytuacji, możesz z powrotem dostać swoją starą pracę.

– Moją starą...

– Jasne. Widzisz, ludzie, którzy chcieli twojej śmierci, tak czy inaczej wypadli z interesu. Rozmawiałem z Arcturusem i moglibyśmy zrobić z ciebie rzecznika prasowego jego rządu. Ma o tobie bardzo dobre zdanie. Widocznie spodobała mu się twoja zwycięska osobowość.

– Anderson, nie wiem czy... – zaczął Mike, pocierając czoło dłonią.

– Po prostu posłuchaj. Umowa jest taka – rzekł redaktor naczelny – dostajesz własne biuro, zaraz obok Arcturusa. Będziesz miał do niego dostęp o każdej porze dnia i nocy. Wyjeżdżasz w delegacje, bywasz na przyjęciach, odbierasz nagrody. Do diabła, mogę załatwić kogoś, kto będzie dla ciebie spisywał relacje. Mówię ci...

Mike wyłączył dźwięk. Anderson wciąż mówił, ale Mike już na niego nie patrzył.

Przyglądał się swojemu odbiciu w gładkiej powierzchni ekranu. Zeszczuplał od momentu, kiedy po raz ostatni widział Andersona, i jego włosy stały się bardziej rozwichrzone. Ale było coś jeszcze. W jego oczach.

Jego oczy zdawały się patrzeć poza konsolę, poza ściany statku. Było to głębokie spojrzenie, spojrzenie twarde, spojrzenie, o którym przez chwilę myślał, że świadczyło o rozpacz, ale teraz uświadomił sobie, że to była determinacja. Teraz miał przed sobą inny obraz świata niż ten, w który został wplątany.

Spojrzenie, które wcześniej widział u Jima Raynora, wtedy gdy ginęła Mar Sara.

– Jak długo będzie tak mówił, zanim zauważy, że nie słuchasz? – mruknął Raynor.

– Nigdy przedtem nie zauważył – odparł Mike. – Wiem, co chcę robić – powiedział po chwili, posawszy przedtem dolną wargę. – Powiniennem zacząć używać własnego młotka.

– Spróbuj jeszcze raz, po angielsku – westchnął Raynor.

– Kiedy jedyne co masz, to młotek, wszystko wokół wygląda niczym gwóźdź – zacytował Mike. – Nie jestem żołnierzem. Jestem dziennikarzem. I powinienem zacząć używać moich umiejętności dziennikarskich dla dobra ludzkości. Opowiedzieć historię. Opowiedzieć *prawdziwą historię*.

Mike skierował kciuk w stronę ekranu. Handy Anderson w końcu zorientował się, że nikt go nie słucha. Łysiejący redaktor naczelny popukał w ekran i wypowiedział niesłyszalne pytanie.

– Chcę się oddalić od Arcturusa Mengska tak daleko, jak to tylko możliwe – powiedział Mike. – I następnie zacząć mówić ludziom prawdę o wszystkim, ponieważ jeżeli tego nie zrobię, to ludzie *mu* podobni będą twierdzili, że było inaczej – pokazał kciukiem na ekran. – On i Arcturus Mengsk. A nie sądzę, że ludzkość mogłaby przetrwać te kłamstwa.

Raynor uśmiechnął się, a był to szeroki, najszerszy z możliwych uśmiechów.

– Dobrze jest cię mieć z powrotem – powiedział.

– Dobrze jest wrócić – odrzekł Mike, spoglądając na nieznajomego o dziwnych oczach, odbijającego się w tafli monitora. – Przydałby mi się papieros, *naprawdę* – dodał, kręcąc głową.

– Mnie też – zauważył Raynor. – Nie sądzę, żeby były jakieś na tym statku. Ale bądź optymistą, przynajmniej wciąż masz swój płaszcz.

Postbellum

Skąpany w świetle mężczyzna w postrzępionym płaszczu stoi w pokoju cieni. Dym z ostatniego z serii papierosów wije się wokół niego, a ziemia u jego błyszczących stóp jest pokryta niedopalkami wyglądającymi jak upadłe gwiazdy.

– Więc to, co widzicie – mówi Michael Liberty, błyszcząca postać przemawiająca do otaczających ją ciemności – to moja prywatna, mała wojna, tocząca się na moim terenie i za pomocą mojej broni. Bez żadnych krążowników, myśliwców i marines, tylko słowa. I prawda. To moja specjalność. To mój młotek i wiem, jak go użyć.

Postać ponownie zaciąga się i ostatni papieros dołącza do innych na podłodze.

– A wy, ludzie, kimkolwiek jesteście, musicie to usłyszeć. Prawdziwe i nieocenzurowane. To dlatego używam transmisji holograficznych: są trudniejsze do podrobienia. I nadaję to tak daleko, jak tylko mogę na otwartych długościach fal, więc każdy może dowiedzieć się o Mengsku, Zergach i Protossach. I o kobietach i mężczyznach takich jak Jim Raynor i Sarah Kerrigan, aby ci i inni im podobni nie zostali zapomniani.

Michael Liberty drapie się w kark i mówi – Szedłem do wojska z myślą, że to kolejna biurokracja wypełniona spragnionymi władzy tchórzami i zorganizowaną głupotą. No cóż, miałem rację, ale także myliłem się. – Spogląda na widzów niewidzącymi oczami. – Ale są też ludzie, którzy rzeczywiście próbują pomóc innym. Ludzie rzeczywiście próbujący ocalić innych. Ocalić ich ciała. Ocalić ich umysły. Ocalić ich dusze.

Jego brwi marszczą się.

– I potrzebujemy więcej takich ludzi, jeśli mamy przetrwać nadchodzące ciemne dni – dodaje.

– To wszystko – ponownie wzrusza ramionami. – Historia upadku Konfederacji, inwazji Zergów i Protossów, utworzenia Dominium Terrańskiego imperatora Mengska. Bitwy wciąż się toczą, planety wciąż umierają i przez większość czasu wydaje się, że nikt nie wie dlaczego. Kiedy się tego dowiem, także tę informację wam przekażę.

– Jestem Michael Daniel Liberty, już nie z UNN. Teraz jestem wolnym człowiekiem. Skończyłem.

I z tymi słowami na ustach postać zamiera w miejscu, schwytna w więzieniu światła.

Jest złapana ze zmęczonym uśmiechem na ustach. Zadowolonym uśmiechem.

Wokół hologramu zapalają się światła, świecące żarówki, wyhodowane specjalnie w tym celu. Ściany pulsują, a słodki, gęsty, lepki płyn kapie z otworów znajdujących się wzdłuż ścian, żeby utrzymać odpowiednią temperaturę i wilgotność powietrza. Przewody skonstruowanego przez ludzi projektora holograficznego znikają w cielsku głównej konstrukcji. Połączenie między dwoma światami było kiedyś kolonialnym żołnierzem, ale teraz służy wyższemu celom nowych panów.

Na semiorganicznych ekranach znajdujących się na obwodzie pomieszczenia, ważniejsze mózgi Zergów dyskutują o tym, co widziały. Są to konstrukty morficzne, stworzone wyłącznie po to, żeby myśleć i decydować. One też służą wyższemu celom w kryjówce Zergów.

W sali projekcyjnej ręka naciska na przycisk przewijania. Ręka była kiedyś ludzka, teraz zmieniona, jest wynikiem mutagenicznych odkryć Zergów. Ciało jest zielone i usiane chitynopodobnymi wypustkami. Pod powierzchnią skóry znajdują się dziwne płyny, a nowe organy skręcają się i przesuwają. Kiedyś była człowiekiem, ale została zmieniona i teraz służy wyższemu celom. Kiedyś nazywała się Sarah, ale teraz jest znana jako Królowa Ostrzy.

Inne organiczne umysły, przywódcy Zergów, hałasują w tle. Kerrigan ignoruje ich, bo nic nie mówią, przynajmniej nic, co miałyby znaczenie. Zamiast tego pochyla się, aby przyjrzeć się naznaczonej twarzy na hologramie, twarzy z głębokimi, przeszywającymi oczami. Gdzieś głęboko w jej zmutowanym sercu coś odżywa, cień wspomnienia o uczuciach do tego mężczyzny. I do innych ludzi. Do tych, którzy poświęciliby wszystko dla ludzkości, rozumianej jako coś przeciwnego do marnego poświęcenia własnego człowieczeństwa.

Kerrigan wzdrygnęła się, gdy ogarnęły ją dawne uczucia, obecnie obce uczucia niegdysiejszej człowieczej natury. Jednak, tak nagle jak się pojawiło, odczucie zostało stłumione, tak że żaden inny Zerg go nie zauważył. Tak przynajmniej myśli Kerrigan.

Kerrigan potakuje. Obwinia słowa reportera o wywołanie przykrych uczuć. To, co ją niepokoi, to musi być sama relacja, nie wspomnienia, które ze sobą niesie. Michael Liberty zawsze był mistrzem słów. Mógłby sprawić, że królowa zatęskniłaby za dniami, kiedy była zwykłym pionkiem.

Wciąż jednak w przekazie Michaela Liberty'ego kryje się wiele, a nieludzkie umysły, które są teraz jej współplemieńcami, nie zdają sobie z tego sprawy. Wiele tam cennych informacji. Wiele można wywnioskować ze słów Michaela Liberty'ego. Z tego, co mówi, i tego, jak to mówi.

Projektor pika, oznajmiając koniec przewijania, i nieludzka dłoń naciska przycisk start, a potem podnosi palec do zbyt szerokich ust.

Kerrigan, Królowa Ostrzy, pozwala sobie na nikły uśmiech i koncentruje się na mężczyźnie spowitym przez światło. Chce zobaczyć, czego jeszcze może nauczyć się od swoich nowych wrogów.